

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Lucyna Legut

**Miłosne niepokoje
pana Zenka**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rozdział I

Pies zamiast pięknej blondyny

Pan Zenek był kierownikiem sklepu z warzywami. Awansował na to stanowisko z zastępcy kierownika budki z piwem. Stanowisko zastępcy nie było najgorsze, biorąc pod uwagę dochody ze sprzedaży piwa, nie dawało jednak panu Zenkowi satysfakcji ze względu na sprawy natury osobistej. Pan Zenek marzył o wielkiej miłości przez duże M.

Marzył o tym właściwie od dziecka. W dwunastym roku życia kochał się w dozorczyńi, która na skutek nieznanego mu choroby miała jedną nogę grubszą, jednak w swojej chłopięcej miłości nie zwracał na to uwagi, dla wygody myśląc o niej tylko do połowy, czyli do krańców ciała, które już nie obejmowały grubszej nogi. Nie była to jednak TA miłość, jak stwierdził później, w latach które zatarły obraz dozorczyńi do tego stopnia, że oprócz grubej nogi nic z tej postaci nie pozostało w jego pamięci. Miłość prawdziwa miała nadejść, musiała nadejść! Wierzył w to tak mocno, że gdyby mu nawet za pomocą młotka starano się tę myśl wybić z głowy, po prostu uchyliłby głowę, albo nawet połknął młotek. Nie ma bowiem na świecie człowieka, który zgodziłby się na pogrzebanie miłości, zanim ona w ogóle się zrodziła.

Na zapleczu sklepu warzywnego pan Zenek, przyjmując towar i nie zaniehbując się w pracy, wchłaniał w siebie zapach pomarańcz i innych południowych owoców, które wytwarzały w nim gotowość do kochania i marzył. Od czasu do czasu przeszkadzał mu zapach kiszzonej kapusty, kiedy ekspedientki zapomnialy przemyć ją świeżą wodą, nic jednak nie mąciło, nie było w stanie zmącić jego wiary w wielką miłość. Miłość mogła nadejść w każdej chwili, przez niedomykające się drzwi sklepu warzywnego... Mogła przybrać postać na przykład uroczej damy z pekińczykiem na ręku. Dlatego też pan Zenek sam osobiście wydrukował ozdobny napis i przykleił go do wystawy sklepu: „Do tego sklepu wolno wprowadzać psy każdej rasy”. O rasie wspomniał dlatego, aby odstraszyć emerytki z kundelkami. Oczywiście pies nie był gwarancją wtargnięcia miłości w jego życie, ale jako człowiek praktyczny, nie chciał sobie zatrzaskiwać nawet najmniejszej furtki prowadzącej do szczęścia.

W sobotę między godziną dziesiątą a jedenastą weszła do sklepu piękna kobieta, około trzydziestu lat, a za nią pies, rasy trudnej do odgadnięcia, coś między wilkiem a bokserem. Pan Zenek zamarł w pełnym zachwycie i nawet nie drgnął, kiedy pies wsparł się łapami na ladzie, polizał go po twarzy.

Piękna blondyna trochę wystraszona próbowała zniechęcić psa do okazywania czułości kierownikowi sklepu, jednak pan Zenek, ocknąwszy się na moment z odrętwiającego zachwyty, powiedział, że nie tylko mu to nie przeszkadza, ale wręcz sprawia ogromną radość, iż zwierzę okazuje mu tyle sympatii. Wywiązała się rozmowa, może zbyt długa jak na kupno jednej cytryny, którą właśnie zamówiła piękna pani. „Był to śpiew słowika, a nie słowa”, jak stwierdził w myśli pan Zenek, nie zwracając uwagi na treść, jedynie tylko wsłuchując się w melodykę słów pięknej blondyny.

– No więc tak? Zgadza się pan? – zapytała jedyna i prawdziwa miłość pana Zenka, trzymając rękę na torebce z cytryną.

– Zgadzam się na wszystko! – odpowiedział, nie zastanawiając się pan Zenek. Było mu zupełnie obojętne, na co się zgadza. Wybranka jego serca o coś go prosiła i był gotów zgodzić się na wszystko.

– Kiedy przeczytałam ten napis na wystawie, od razu pomyślałam sobie, że pan musi kochać zwierzęta, dlatego wstałam tutaj. W tej chwili nie potrzebny mi już pretekst, że chciałam kupić cytrynę. Mój mąż przyniósł wczoraj do domu dwa kilogramy cytryn. Zostawiam więc cytrynę i psa. Przygarnęłabym go sama, gdyby nie to, że mamy w domu dwa koty syjamskie. Sam pan rozumie... Jestem pewna, że pokochacie się wzajemnie – po tych słowach piękna blondyna opuściła sklep, a pan Zenek zdał z wystawy kartkę i poszedł na zaplecze sklepu warzywnego leczyć rany po pierwszym ciosie. Wiedział, że już tak szybko nikogo nie pokocha, nie wiedział tylko, co zrobić z psem... Postanowił oddać go jako fant do pobliskiej szkoły, która właśnie urządzała loterię fantową; cały dochód z loterii miał być przeznaczony na zakup sprzętu sportowego. Psa wygrał dyrektor szkoły i w wielkiej dobroduszości ofiarował swój fant całej szkole.

Pies zamieszkał w budzie na szkolnym podwórku i był bardzo zadowolony ze swojego losu. Pan Zenek mniej. Starał się omijać szkołę, bowiem widok baraszkującego z dziećmi psa, przypominał mu o gorzkiej porażce.

Rozdział II

Zgubne rozmyślenia o pięknie

Dzień był wypełniony wiosną po brzegi, po prostu jak słoiki z kompotami brzoskwiń zapelniające półki sklepu warzywnego, którego to pan Zenek w dalszym ciągu był kierownikiem.

Brakowało dziesięć minut do otwarcia sklepu. Jakaś starsza dama w spłowiałym czarnym kapeluszu dobijała się do zamkniętych drzwi. Pan Zenek wyciągnął rękę z zegarkiem, w który stuknął palcem, dając natrętnej klientce do zrozumienia, iż czas pracy i otwarcia sklepu jeszcze nie nadszedł, potem odwrócił się do półek i pogrążył w kontemplacji nad urokiem brzoskwiniowych owoców. Żał mu było, że tkwią w syropie. Syrop zabiera brzoskwiniom ich kolor i delikatny meszek. Brzoskwini w syropie przestają być podobne do młodych dziewcząt. Pan Zenek był zdania, że wszystkie młode dziewczęta są podobne do świeżych brzoskwiń. Niestety, żeńska klientela odwiedzająca sklep z warzywami pana Zenka przypominała raczej pomarszczone jabłka, które w maju i w czerwcu czekają w skrzyniach na nabywców, najczęściej bezskutecznie.

„Taki Onasis – dumął pan Zenek – albo nawet byle jaki Król Smalcu w tym obrzydliwym kapitalizmie... każdy z tych bogaczy może mieć dziewczynę jak najpiękniejszą brzoskwinie.

Pieniądz jest potęgą. Pieniądzowi nie oprze się żadna dziewczyna. Można być starym i brzydkim, byle mieć pieniądze. Wówczas ma się najwspanialsze kobiety świata... Nie można powiedzieć, abym był ułomkiem. I wiek mój daleki jest jeszcze od nikczemnej starości. Oczywiście mam ładne, to mogę sobie szczerze i bez zakłamanego skromności powiedzieć. A jednak... Do mnie miłość nie przyjdzie, ponieważ nie przyjdą do mnie pieniądze. Chociaż, jak się tak poważnie zastanowić – miłość za pieniądze to przecież ohyda! Chcę, aby mnie kochano takim, jakim jestem! Mam prawo do miłości! Jestem gotów się zgodzić, aby to nie było dziewczę o brzoskwiniowej cerze. Niech to nawet będzie dojrzała kobieta. Kobiety dojrzałe też miewają niekiedy cerę jak brzoskwinia, oczywiście nie mówię o tych, u których brzoskwiniowy puszek zaczyna się już przeradzać w zarost...” W tym miejscu rozmyślał pan Zenek zauważył, iż w jednym ze słoików zaczyna się układać na powierzchni syropu pleśń. Sięgnął więc ręką między słoiki stojące z brzegu – rozległ się rumor i za moment podłoga za ladą została zasypana szkłem z rozbitych słoików, a buty pana Zenka zalsniły od gęstego syropu.

Na zegarze kościoła wybiła godzina ósma. Klientka w spłowiałym, czarnym kapeluszu natarczywie zaczęła dobijać się do drzwi. Pan Zenek grzęznąc w syropowej kałuży wyszedł zza lady i skierował się w stronę drzwi. Podeszwy jego butów wydawały cichutkie mlaśnięcia. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

– Boże! Ale się pan urządził! – powiedziała klientka, kierując spojrzenie na koniec trzewika pana Zenka, gdzie tkwiła połówka brzoskwini. – Takie śliczne owoce! Że też panu serce nie pękło, kiedy pękały te słoiki – dodała z prawdziwym żalem w głosie. – Właśnie chciałam prosić o słoik brzoskwiń, jeżeli wszystkie nie zdążyły się potłuc. Uwielbiam brzoskwinie! Przypominają mi moją młodość. Byłam jak ten owoc. Zresztą jeszcze dzisiaj moja cera przypomina brzoskwinie, może trochę przywiedłą, ale zawsze...

– Proszę pani – odezwał się oschle pan Zenek. – Ja jestem sprzedawcą, a nie poetą. Nie interesuje mnie, co komu przypomina brzoskwinia i do czego jest podobna. Nie mam czasu na niepoważne rozmyślenia. Dla mnie brzoskwinia to po prostu towar, który sprzedaję.

– Szkoda – powiedziała starsza pani w spłowiałym, czarnym kapeluszu. – Człowiek powinien znaleźć trochę czasu na rozmyślenie o czymś pięknym.

Pan Zenek wręczając klientce słoik z brzoskwinią pomyślał, że właśnie myślenie o czymś pięknym zgubiło go i dumał, ile będzie musiał zapłacić za dwanaście stłuczonych słoików. Była to dosyć wysoka cena. „Chociaż, kto wie, może i warta tego, co przeżyłem patrząc na brzoskwinie i widząc zamiast nich śliczne brzoskwiniowe dziewczęta” – pomyślał, nie zdradzając jednak niczym swoich myśli.

Kiedy klientka opuściła sklep, pochylił się i delikatnie, w dwa palce ujął połówkę brzoskwini, tkwiącą ciągle na czubku jego buta. Potem ryknął głośno, aż zatrzęsły się wszystkie cebule na półce:

– Panienci! Godzina ósma! Czas zająć się sklepem! A przede wszystkim proszę posprzątać szkło i wytrzeć na mokro podłogę!

Podczas kiedy pan Zenek mył pod zlewem zasyropione buty, panienci sprzątając sklep prowadziły cichą rozmowę:

– Czy nie uważasz, Władziu, że nasz kierownik ma bzika? – odezwała się jedna z nich. – Najpierw gapił się godzinę na słoiki z brzoskwinią, a potem je zwał na podłogę!

– Obecnie jest tyle urazów psychicznych – odpowiedziała ta, która miała na imię Władzia. – Może on nie cierpi brzoskwiń. Mógł się kiedyś nimi przejeść i teraz nie może na brzoskwinie patrzeć. Słyszałam o jednym facecie, któremu w młodości ktoś wrzucił za koszulę zaskrońca i potem już przez całe życie ten facet się jąkał!

– Ojej! Może nasz kierownik też się teraz zacznie jąkać! Ty wiesz, jaki by był ubaw? Brzoskwiniowy jąkała! Swoją drogą, ludzie bywają czasem strasznie kopnięci! Ale to fajnie, przynajmniej nie jest nudno na świecie.

Rozdział III

Serce puste jak beczka po ogórkach

Trudno winić człowieka za to, iż uczucia jego pęcznią do rozmiarów beczki z kwaszonymi ogórkami. Pan Zenek, pochylając się z drewnianym uchwytem i łowiąc w kwaśnym sosie dwa ogórki, rozmyślał gorzko, iż jego serce ma pojemność właśnie beczki z ogórkami, przy czym miał niejaką pretensję, iż w beczce znajduje się jeszcze spora ilość ogórków, natomiast jego serce jest puste. „Taka beczka – rozmyślał pan Zenek – jeśli nawet wyłowić z niej ostatni ogórek, zawsze może być następnego dnia zapełniona nowymi ogórkami, o ile oczywiście dowiozą na czas towar. Ale czym zapełnić moje serce? Gdyby tak można pójść do centrali i zażądać nieznośnym sprzeciwu głosem (jak przystało na kierownika sklepu z warzywami): proszę o pięćdziesiąt kilogramów prawdziwego uczucia! Moje serce jest puste. Jak wygląda interes, który świeci pustkami?... Niestety, nie ma takiej centrali uczuć. Trzeba samemu w pocie czoła starać się o ten niezbędny towar”.

Pan Zenek z nieuwagą obsługiwał klienta, stawiając przed nim słoik z dwoma ogórkami. Klient, którego kolor nosa świadczył o dużym zainteresowaniu wysokoprocentowymi napojami, spojrzał groźnie i właściwie nie powiedział, a zasyczał przez ubytek przednich zębów:

– A sos spod ogórków?! Po to taszcę ze sobą słoik, aby tam znalazł się sos przede wszystkim. Na ogórkach mi mało zależy. Ja się leczę tylko sosem, proszę pana. Jestem anemiczny. Chyba pan widzi?

– Pan Zenek utkwiał spojrzenie w czerwieni nosa klienta i bez słowa powrócił do beczki, z której zaczerpnął pełen kubek sosu. Ogórczany sos spływał po ręce i po słoju, jak wielkie ogórkowe łzy.

– Gdyby tu przyszła moja wnuczka – zasyczał znów klient, zakręcając pokrywkę na słoiku – na pewno by jej pan nie żałował tej kropli kwasu. Stary człowiek musi się o wszystko dopominać.

– Pan ma wnuczkę? – zainteresował się nagle pan Zenek; myśl przemknęła niczym torpeda i zatrzymała się na stacji świadomości pana Zenka.

– Mam wnuczkę. Jest piękniejsza od najokazalszego pomidora, jakie ma pan tutaj w tym swoim kramiku, ale nie dla psa kiełbasa! – odpowiedział impertynencko klient, zabierając się do wyjścia.

– Chwileczkę! – pan Zenek przytrzymał rękę klienta. – Co pan chce przez to powiedzieć? Czy ma pan zamiar obrażać mój zawód? A kim pan jest, jeśli można zapytać? Stawia się pan, jakby pan był przynajmniej urzędnikiem.

– Wątpię, czy stawiałbym się, gdybym był urzędnikiem – zaśmiał się lub też ściślej mówiąc, zasyczał śmiechem czerwono nosy. – Ja mam prywatny interes z obuwem! Zarabiam tyle, że mógłbym co godzina kupować całą beczkę z ogórkami i jeszcze by mi wieczorem starczyło na kupno złotego zegarka! – Klient odkręcił pokrywkę słoika i łyknął sporą ilość

ogórkowego sosu, potem oparł się łokciami o ladę i dalej rozprawiał o egzystencji człowieka, który może sobie pozwolić na niejedną beczkę ogórków.

Pan Zenek, od czasu do czasu, próbował wtrącić jakieś pytanie dotyczące wnuczki, ale klient za każdym razem robił przeczący ruch głową i dalej ciągnął opowieść o butach.

Pan Zenek postanowił być cierpliwy, licząc na pozyskanie względów czerwono-nosiego. Zdecydowanie postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o wnuczce, a nawet może skłonić klienta, aby następnym razem sam nie fatygował się po sos ogórczany, a raczej przysłał tę przepiękną osóbkę.

Przy ladzie ludzie zaczęli się denerwować i żądać obsłużenia. Pan Zenek nawet okiem nie rzucił na zdenerwowanych klientów, krzyknął tylko w kierunku zaplecza sklepu:

– Panienci! Proszę zostawić sprzątanie i zająć się klientami! Ja jestem zajęty.

Po tych słowach mrugnął do człowieka z ogórkami, zapraszając go w kąt sklepu.

– Tutaj będzie panu wygodniej – powiedział bardzo serdecznie. – Zaraz panu naleję nową porcję. Anemia to straszna rzecz. Wiem coś o tym.

Kiedy klient wypijał już trzeci słoik ogórkowego sosu, pan Zenek odruchowo spojrzał na osoby przy ladzie i wówczas zauważył wychodzącą ze sklepu śliczną dziewczynę, która jeszcze w drzwiach odwróciła się, uśmiechając się do niego i natychmiast zniknęła w tłumie na ulicy. „Być może przegapiłem moją wielką szansę!” – zadrżał pan Zenek. Pocieszył się jednak natychmiast myślą o wnuczce i przystąpił do ataku.

– Ale jak właściwie jest z tą pańską wnuczką? – zapytał. – Opowiedział mi już pan prawie całe pańskie życie, ale nic o wnuczce.

– Co ja panu będę mówić? – powiedział klient, który był już prawie przyjacielem pana Zenka, i podsunął słoik do kolejnego napełnienia. – Prześliczna dziewczyna! Najpiękniejsza, jaką widziałem. A widziałem ją na kolorowym zdjęciu. Córka moja, wie pan, dwadzieścia lat temu wyszła za mąż za Australijczyka. Wnuczka tam się urodziła. Przysłali mi zdjęcie. Mówię panu, jaka ona śliczna pod tymi ich palmami!... A teraz nalej pan jeszcze słoiczek, skoro już tak zaprzyjaźniliśmy się na śmierć i życie!

Cóż pan Zenek miał robić? Zaczął nalewać sos. Ale to nie był sos. To był jego osobisty dramat, którym napełniał po brzegi słoik z dwoma niepotrzebnymi nikomu ogórkami.

Rozdział IV

Wybór wdowy może być nie tylko trudny, ale i zgubny

W chwili gdy pan Zenek zakąsał kawałek kabanosa marynowanym grzybkiem, do sklepu wpadła panna Władzia, która oczekiwała na ulicy przyjazdu samochodu z towarem. Pan Zenek widział przez szybę wystawy, jak rozmawiała z kierowcą i nagle chwyciła się za głowę obydwiema rękami, a potem natychmiast wbiegła do sklepu.

– Panie kierowniku! – krzyczała już w drzwiach – pan wie, że kierownik ze spożywczego powiesił się?! Kierowca mówi, że miał manko, ale ja słyszałam coś niecoś o jego żonie.

Podobno zadawała się z pomocnikiem rzeźnika! Nie wiem, czy go pan zna, ale ja i Jadzia znamy go dobrze. Taki czerwony na gębie, bo on pije świeżą krew, i ten kierownik ze spożywczego nie mógł tego znieść.

Pan Zenek zakrztusił się grzybkiem. Wykaslnął zdradliwy kęs i zapytał: – Nie pojmuję, dlaczego kierownik nie mógł znieść, że ten rzeźnik pije świeżą krew?

– Ojej! Panie kierowniku! – panna Władzia zniecierpliwiała się. – Ja mówię o tym, że kierownik ze spożywczego nie mógł znieść, że jego żona zadaje się z tym pomocnikiem rzeźnika i dlatego...

– Nie należy wydawać zbyt pochopnych sądów – skarcił pannę Władzię pan Zenek. – A w ogóle może to plotka? Nie wierzę, żeby taka elegancka kobieta zadawała się z pomocnikiem rzeźnika. No! Gdyby to był kierownik sklepu mięsnego... Ale pomocnik?

– Nie ubliżając panu kierownikowi, to czasem pomocnik jest lepszy od kierownika, oczywiście jako mężczyzna. Co innego pan kierownik! Pan to musi mieć z pewnością wszystkie zalety, ale tamten był do niczego.

Za dwa dni odbył się pogrzeb kierownika sklepu spożywczego. Pan Zenek włożył ciemny garnitur, który przechowywał na inną okazję. Nie wątpił, że w tym garniturze będzie kroczył kiedyś do ślubu ze swoją wybranką, tymczasem strzepnąwszy uprzednio owadobójczy proszek z czerni, wypożyczył sobie ten garnitur na pogrzeb.

Panna Władzia i panna Jadzia nie zostały dopuszczone do uroczystości. Musiały pozostać w sklepie. Patrzyły zazdrośnie na wychodzącego pana Zenka i szeptały do siebie:

– Ten to ma dobrze – westchnęła panna Władzia – zawsze ma jakieś urozmaicenie, a my musimy tylko siedzieć w sklepie i pilnować tych zgniłych jarzyn.

Na cmentarzu pan Zenek nie poszedł do kaplicy. Przechadzał się między grobami, czekając, aż ukaże się kondukt. Był człowiekiem nader wrażliwym. Chciał skrócić do minimum widok rozpaczającej wdowy. Był świadom jej cierpienia. Nie wierzył wcale w oszczerze plotki. Widział ją rano, kiedy wpadła w żalobie do spożywczego, sprawdzając, czy ekspedientki nie zechcą wykorzystać nieobecności szefa i nie przywłaszczą sobie części dobra spółdzielczego, potem osobiście zamknęła sklep i chowając klucz do żalobnej torebki, wyruszyła razem z ekspedientkami. Kiedy przechodzili obok sklepu mięsnego, pomocnik rzeźnika, ocierając zakrwawione ręce w białych fartuch, przyglądał im się ukradkiem przez uchylone drzwi zaplecza sklepu. Pan Zenek patrząc na jego czerwoną gębę doszedł do wniosku, że to w żadnym wypadku nie był mężczyzna, który mógłby skraść serce pięknej wdowy.

Łagodny wietrzyk szumiał w liściach cmentarnych drzew. Wdowa szła sama. Pan Zenek już miał zamiar podskoczyć, aby podać jej ramię. Był oburzony, że nikt tego do tej pory nie zrobił. Widocznie z powodu plotek o tym pomocniku rzeźnika – pomyślał. – Gdyby to nawet była prawda, on nie będzie zważał na nic! Przede wszystkim elegancja. Zresztą może ona teraz rzuci tego rzeźnika? Ach! Gdybyż piękna wdowa zechciała zwrócić swoje zainteresowanie w kierunku sklepu z warzywami... Być może przeznaczenie wybrało jego na miejsce towarzysza życia u boku tej stroskanej kobiety. Będzie więc walczył o jej cześć do ostatniego tchu! Z tym zdecydowanym zamiarem już wykonał kilka kroków w kierunku żalobnej grupy, gdy wtem zobaczył drugi kondukt, a w nim poprzez pajęczą siatkę żalobnego welonu ujrzał twarz tak piękną, że po prostu wrósł w ziemię z zachwytem. „Nieprawdopodobne! – myślał. – Druga wdowa! Ale jaka??! Nic tylko LOS... Moje miejsce jest przy tej wdowie. Zwłaszcza że biedactwo jest zupełnie samotne. I takie to młodziutki...”

Kiedy kondukt rozeszły się w dwie różne strony, pan Zenek ciągle stał pośrodku ścieżki. Pierwsza wdowa boleśnie spojrzała na pana Zenka i zrobiła lekki ruch głową, który miał znaczyć, że zaprasza go do zajęcia miejsca u jej boku. Pan Zenek w popłochu zbierał myśli, nie wiedząc, jak się ma zachować. Najlepiej było udać, że nic nie widzi. Wyciągnął więc szybko białą chusteczkę i zaczął mocno trzeć nią oczy, jakby chciał zatamować gwałtowny

strumień łez. Kiedy kondukt z wdową po kierowniku ze spożywczego oddalił się, pobiegł śladem samotnej, przepięknej wdowy, i za chwilę stał już obok niej, wzdychając żałośnie. Wdowa spojrzała na niego z zainteresowaniem. „Już ją mam!” – pomyślał pan Zenek.

– Czy można zapytać, na co zmarł świętej pamięci nieboszczyk? – zagaił rozmowę, kiedy grabarze oddalili się.

– Na pęcherz – odpowiedziała.

– To bardzo przykre. I bolesne! – pan Zenek próbował szukać mądrych słów w celu podtrzymania rozmowy. – Straszny musi być los kobiety, która zostaje sama po stracie ukochanego człowieka.

– Można się przyzwyczaić – zaśmiała się wdowa. – Zwłaszcza jeżeli to już jest czwarty mąż i czwarty pogrzeb.

Pan Zenek struchlał: „Co za cynizm??! A może to jakaś trucicielka? Ale nie! W żadnym wypadku kobieta o tak słodkich oczach nie mogła być zbrodniarką. Po prostu trzeźwo patrzy na świat. To nawet dobrze. Zwłaszcza w interesach. Jako moja żona już ona umiałaby poradzić sobie z tymi leniuchami, z Jadzią i Władzią! Poczulyby co znaczy ręka szefowej!”

– Bardzo pani współczuję – pan Zenek zdecydował się wkroczyć w akcję. – Dźwigać cztery zgony na swoich pięknych, młodych barkach!... Taka kobieta jak pani nie ma prawa pozostać sama. Musi pani stanowczo rozejrzeć się za następnym mężem! Miejmy nadzieję, że pożyje dłużej niż tych czterech poprzednich. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, zdrowy, właściwie odżywiony... Warzywa sprzyjają długiemu życiu. Wiem coś o tym. Jestem kierownikiem sklepu warzywnego. A tak nawiasem mówiąc, to jestem jeszcze kawalerem.

Wdowa zaśmiała się głośno, płosząc synogarlice na pobliskim drzewie. – Po co mi nowy mąż! Mój jest wspaniały, młody i zdrowy!

– Jak to? – nie mógł zrozumieć pan Zenek. – A ten tutaj, to nie był pani mąż?

– Skądże znowu! To był mąż mojej sąsiadki. Staruszka ma osiemdziesiąt dwa lata i dostała ostrego bronchitu. Nie mogła pójść na pogrzeb, więc zrobiłam jej tę przysługę. Nieboszczykowi byłoby „tyso”, gdyby go nikt nie odprowadzał.

Pan Zenek bez słowa odwrócił się i biegł co sił w kierunku, gdzie zniknął przedtem pierwszy kondukt. „Już niejedną raz zgubił mnie złudny czar piękna” – karmił siebie w myślach. – „Tam miałem zupełnie pewną wdowę, nie żadną zastępczą, ale dałem się uwieść oszukańczej rozpaczyci tej szarlatanki! Trzeba brać to, co jest, a nie bujać w obłokach!”

Kiedy znalazł się na miejscu, gdzie przedtem rozeszły się kondukty, stał tam czerwonołęby pomocnik rzeźnika. Żałobnych gości już nie było, tylko samotna wdowa stała z załamanyimi rękami.

Pan Zenek zatrzymał się po drugiej stronie alejki, ale w prostej linii od rzeźnika. Wdowa jeszcze raz westchnęła i odwróciwszy się ruszyła w ich kierunku. Rzeźnik i pan Zenek równocześnie zrobili krok do przodu; rzeźnik miał dłuższe nogi, wyprzedził pana Zenka o ćwierć kroku. Ujął wdowę pod rękę i powiedział szeptem, ale na tyle głośno, aby pan Zenek mógł go dosłyszeć:

– Chociaż wszyscy plotkowali, że ja z panią miałem romans, pani wie, że tak nie było. Ale teraz, kiedy pani jest wolna, mogę oddać całe moje życie dla pani.

Wdowa ścisnęła jego ramię. – Zgadzam się, panie Tadius – powiedziała łkając. – Kobieta nie może być sama. Mój świętej pamięci mąż cieszyłby się, biedactwo, gdyby wiedział, że ktoś się mną zaopiekował.

„I pomyśleć, że to ja mogłem teraz trzymać jej ramię i mówić słowa, które wyrwał mi z ust pomocnik rzeźnika! – pomyślał z goryczą pan Zenek, wierząc czubkiem buta w piasku zmieszany z opadłymi liśćmi. – Był szybszy o ćwierć kroku! Takie byczysko!”

Rozdział V

Zęby białe i zdrowe jak okazałe pieczarki

Pan Zenek obrzucił badawczym spojrzeniem sklep warzywny. Wszystkie jarzyny leżały na półkach, jak piękności w haremie jakiegoś zamierchłego sułtana. Sklep był zaopatrzony przyzwoicie, a jednak panu Zenkowi czegoś brakowało. Lecz czego?...

„Wiem! – krzyknął w myślach pan Zenek, a krzyk jego myśli musiała chyba posłyszeć cebula, bowiem z lekkim chrzęstem kruchej skórki potoczyła się po ladzie i wystraszona upadła u stóp pana Zenka. – Wiem, czego mi brakuje – powtórzył w myślach pan Zenek, delikatnie podnosząc cebulę i umieszczając ją z powrotem pośród cebulkowych siostr. – Brakuje mi pieczarek! W każdym przyzwoitym sklepie warzywnym powinny być pieczarki. U mnie nie ma. Jest to moje oczywiste zaniedbanie, jako kierownika. Muszę natychmiast skoczyć do kolegi z prywatnego sklepu i dowiedzieć się, skąd on bierze pieczarki”.

– Wychodzę w sprawach służbowych – powiedział pan Zenek do ekspedientek. – Proszę mieć pieczę nad sklepem, dopóki nie wrócę. I proszę nie wyjadać truskawek pod pretekstem, że były zepsute. Sprawdziłem towar i wiem, że jest w najlepszym stanie! – Po tych słowach zniknął za drzwiami, a panna Władzia i panna Jadzia oczywiście wystawiły za nim języki, co było ich ulubionym i często powtarzającym się zajęciem.

– Pan kierownik wyszedł w sprawach służbowych! – wycodziła panna Władzia. – Szkoda, że nie wziął delegacji na to wyjście. Pewnie teraz służbowo żłopie piwo w najbliższej budce...

Była to obelga nikczemna. Pan Zenek, trudniąc się uprzednio sprzedażą piwa, podsumował całą ludzkość pijącą piwo i doszedłszy do wniosku, że picie napoju z roślin chmielowych sprowadza zgubne skutki, wyrzekł się picia piwa do końca życia i jak dotąd słowa dotrzymał.

– Dzień dobry kolego – powiedział pan Zenek, wchodząc do prywatnego sklepu z warzywami. – Ja do kolegi w pufnej sprawie... Chodzi mi o pieczarki. Czy kolega nie mógłby mi udostępnić źródła? O konkurencję nie ma się co obawiać. Jesteśmy przecież na odległych ulicach...

– Co tam konkurencja! – odpowiedział kierownik prywatnego sklepu warzywnego. – Ja się tego nie boję. Mam swoich klientów. U mnie towar jest zawsze od wczesnego rana, a u was jak już dobrze słońce przypieka. Moi klienci zostaną mi wierni. Zaraz się zjawi dostawca pieczarek. Niech pan poczeka. Mówię panu, śliczności!

– Pieczarki?

– Pieczarki swoją drogą, ale dostawca!... Palce lizać. Czarnucha! I oko bystre, i ciałka ile trzeba, a nie żeby kość o kość się objała.

– Jeżeli o mnie chodzi, to po prostu chciałem zamówić pewną ilość pieczarek – odpowiedział niby obojętnie pan Zenek, ale wiadomość zrobiła na nim wielkie wrażenie... „Dostawca pieczarek z bystrym okiem i pulchnym ciałkiem – pomyślał. – A gdyby tak zawrzeć dłuższą umowę z takim dostawcą? Powiedzmy umowę na całe życie?! Prywatna hodowla pieczarek, to nie to co sklep warzywny, choćby człowiek zajmował w nim nawet kierownicze stanowisko... Czy jednak dostawca nie ma już swojego prywatnego kierownika? Chyba nie jest możliwe, aby taki prywatny dostawca pieczarek uchwalił się w stanie

panieńskim... Musiałby być wdową dopiero co pograżoną w żałobie, inaczej już by ją ktoś zbałamucił... Zobaczymy”...

Zabrząca dzwonek nad drzwiami sklepu i weszła naprawdę piękna, czarnowłosa kobieta. Zaśmiała się odsłaniając wielkie białe zęby, przypominające najpiękniejsze pieczarki, jakie w koszyczkach ustawiała na ladzie sklepu. Pan Zenek zupełnie, jak to się mówi, stracił rozum. Zaczął chaotyczną rozmowę od pieczarek, ale każde następne słowo było pozbawione jakiegokolwiek związku z pieczarkami. Oto co mówił pan Zenek:

– Jestem kierownikiem sklepu warzywnego i chciałem właśnie w sprawie pieczarek... Ale przede wszystkim pragnę zapytać, czy te sarnie oczy, w które patrzę należą do osoby stanu wolnego, czy też...

– Jak najbardziej jestem wolna! – zaśmiała się wszystkimi białymi zębami hodowczyni pieczarek. – Ale znudziło mi się już to i chciałabym wyjść za mąż. Możliwie najszybciej!

– Jak to? Wyszłaby pani za mąż? – zdołał wyjąkać pan Zenek. – Mówi pani to całkiem otwarcie?

– Czemu nie? – Znowu błysnęły białe zęby, aż panu Zenkowi zabielało w oczach. – Mogę nawet wyznaczyć datę ślubu. Powiedzmy za miesiąc, bo tyle trzeba czekać na załatwienie formalności.

Pan Zenek oparł się o ladę. Krew odpłynęła z jego twarzy. Tego nie był w stanie przewidzieć ani przeczuć. Los rzucił go do drzwi prywatnego sklepu i w ramiona tej pięknej czarnuli. „Jak to dobrze, że jestem troskliwym kierownikiem – pomyślał. – Oto życie odplaca mi za dbałość o klienta. Gdybym był leniem, siedziałbym za ladą sklepu, a pieczarkowe szczęście przeszłoby obok mego nosa”.

– Poproszę o szklankę wody – odezwał się bardzo słabym głosem pan Zenek. – Jestem nadzwyczaj wrażliwy. Szczęście może mnie zabić.

– Rzeczywiście jest pan wrażliwy – powiedziała czarnula, podsuwając panu Zenkowi szklankę z wodą. – Żeby cudze szczęście kogoś zabiło... Ty, Franiu – zwróciła się do prywatnego sprzedawcy – mógłbyś też okazać trochę radości, że ci się nareszcie oświadczyłam. Mdleć nie musisz, jak ten pan, ale ciesz się!

Pan Zenek wyszedł ze sklepu, zataczając się. Kiedy wrócił do siebie na zaplecze, panna Władzia zaglądając przez szparkę drzwi, szepnęła do Jadzi:

– A widzisz? Miałam rację, że nasz stary poszedł na piwo! Żebyś go mogła zobaczyć! Rany! Jak mu to służbowe piwo zaszkodziło!!!

Pan Zenek do końca życia miał awersję do pieczarek. Jeżeli ktoś przychodził do niego po pieczarki, zawsze mówił ze zjadliwym uśmiechem:

– U mnie nie ma. Ale są w prywatnym sklepie.

Rozdział VI

Kiedy cierpi przywiędły koperek

Okolo dwunastej w południe zmniejsza się ruch w sklepie warzywnym. Można powiedzieć, że zamiera. Kierownik sklepu, pan Zenek, snuje się wówczas między warzywami, mając nawet za złe pęczkom zielonej pietruszki, że leżą sobie beczynnemu i obojętnie na ladzie, podczas kiedy on bez przerwy musi się zmagać ze swoimi myślami. Myśli pana Zenka dotyczą zawsze wielkiej miłości, na którą czeka, nie przeszkadzają mu one jednak nigdy w penetrowaniu sklepu i sprawdzaniu, czy wszystko jest w porządku. Właśnie rzucił okiem na pietruszkę i koperek i stwierdził, że ich zieleń jakby zszarzała, a łodyżki lekko zwisły, niby bezsilnie opadające małe zielone dłonie. „Może koperek i pietruszka też cierpią? – zadumał się głęboko pan Zenek. – Ja, który znam udreki serca czuję się czasem jak koperek. Po prostu wędnę”. Rozżalwszy się nad swoim losem zapragnął przynajmniej uratować życie koperku, przypominającego mu jego własny smutek. Pobiegł więc na zaplecze sklepu, gdzie dwie panienki, korzystając z chwilowej nieobecności klienteli, oddawały się właśnie malarstwu, z uwagą malując swoje długie i trochę przybrudzone paznokcie. Pochwycił konewkę, napełnił ją wodą i pobiegł do sklepu ratować umęczone rośliny. Poprzez sitko konewki spadały krople na koperek, pietruszkę i dodatkowo jeszcze na rzodkiewkę.

Panna Władzia, trzymając sztywno rozpostarte palce, aby nie zamazać świeżo nałożonego lakieru, wyjrzała przez zaslonę oddzielającą zaplecze od sklepu i widząc kierownika osobiście zajmującego się od świeżaniem jarzyn, poczuła widocznie wyrzuty sumienia, gdyż odezwała się w te słowa:

– Niech pan to zostawi, panie kierowniku. My z Jadzią skropimy jarzyny, tylko nam trochę lakier podeschnie. Po co pan się zajmuje takimi sprawami? Klienci i tak wszystko kupią. Niech no tylko panie wyjdą z pracy, to zaraz zaczną się tłoczyć w sklepie. Jeszcze nam zabraknie tego przywiędłego koperku.

Pan Zenek spojrział na Władzię. W spojrzeniu była pogarda dla niskich uczuć ekspedientki. Nie chodziło przecież o sprzedanie jarzyn. Ratując te zielone istnienia, pan Zenek ratował siebie. Zamarzył gwałtownie i gorąco, aby ktoś zauważył kiedyś jego mękę, tak jak on dzisiaj spostrzegł cierpienie mdlejących roślin jadalnych. Pan Zenek widział siebie w postaci pęczków koperku, trzymany w kručiej kobiecej dłoni. Nawet czuł ciepło tej dłoni i zapach delikatnych perfum, oczywiście wykwintnych, którymi ta dłoń została wcześniej skropiona. W myślach swych wędrował przez miasto jako pęczek koperku, ale w jakichże cudownych okolicznościach! Może nawet śliczna kobieca dłoń podniesie pęczek na wysokość ust i skubnie jedną gałązkę... Będąc koperkiem, pan Zenek przewędrował kilka ulic miasta, aż znalazł się w mieszkaniu swojej bogdanki. Rozgościł się na kuchennym stole, obserwując jak wybranka jego serca z wdziękiem porusza się, zakładając nylonowy fartuszek, najlepiej błękitny. Uwielbiał kobiety w błękitach. Nim jednak zdążył całkiem oszaleć z zachwytu, zobaczył nagle nad sobą potężny nóż kuchenny. „Co to, to nie”! – krzyknął pan Zenek, zorientowawszy się, iż ta szaleńcza miłość może mu zgotować ostateczną zgubę.

– O co chodzi, panie kierowniku? – zapytała panna Władzia. – Jeżeli pan nie chce, żebyśmy sprzedawały przywiędłe jarzyny, to możemy je odświeżyć. Będą wyglądały tak pięknie, jak sam pan kierownik.

Pan Zenek wzdrygnął się: czyżby panna Władzia miała dar odczytywania jego myśli? W każdym razie raz na zawsze odeszła go ochota identyfikowania się z jakimiś jarzynami. Nie miał w tej chwili już dla nich nie tylko sentymentu, ale żadnej litości. Powrócił do swojej własnej postaci kierownika sklepu warzywnego. Konewkę, pełną jeszcze wody, cisnął za kotarę i z mściwą radością patrzył jak na ladzie sklepu mdleje zielony koperek. „W każdym razie ja żyję” – pomyślał nie bez satysfakcji. Odtąd postanowił być ostrożniejszy i nie ulegać poetyckim nastrojom. O mały włos wyobraźnia poety nie doprowadziła go do zguby. I to w tak głupiej i nieefektywnej formie. „Zginać pod nożem, jako pęczek koperku! To straszne!” – pomyślał, a potem zrobił sobie kanapkę z twarogiem pełnotłustym homogenizowanym. Nie posypał jej jednak jak zwykle koperkiem, czuł się mimo wszystko trochę nieswojo; człowiek nie zawsze jest gotów natychmiast skończyć z przeszłością...

Rozdział VII

W przesady należy bezgranicznie wierzyć!

Kiedy budzik rozpoczął swoje poranne hałasy, pan Zenek wyskoczył z łóżka, najpierw szybko zestawiał budzik z blaszanego talerza, na którym leżały dwie stare łyżki, poszczerbiony widelec i nóż (przedmioty potrzebne, aby tworzyły dodatkowy hałas, inaczej bowiem istniała możliwość, iż sen pana Zenka nie zostanie przerwany), po tych czynnościach wykonał cztery przysiady oraz kilka głębokich wdechów – dbał o linię i dobry wygląd. Potem rażno podskoczył do okna, sprawdzając temperaturę na nieco zapaskudzoną przez wróble termometrze, rzucił okiem w ulicę i natychmiast zamarł ze zgrozy: przed oknem paradowało dwóch czarno odzianych panów z żałobnymi wieńcami w rękach. „Zły znak! – pomyślał pan Zenek. – Zobaczyć zaraz z rana takich żałobników, to niechybne nieszczęście! Na pewno przywiozą mi zgniętą cebulę do sklepu i klienci będą robić piekło. Albo dostawa towaru spóźni się o kilka godzin i wówczas każdy mnie obarczy odpowiedzialnością”. Panowie z wieńcami już dawno zniknęli za zakrętem ulicy, kiedy pan Zenek ciągle jeszcze stał przy oknie i zlorzeczył pod adresem niesumiennej kierowców, przywożących z opóźnieniem towar w każdy poniedziałek. Nagle ocknął się, spojrzął na zegar, przerażony, że gotów spóźnić się i nie otworzyć we właściwej porze sklepu. Pomknął do kuchni, aby podgrzać mleko. Przy okazji zapalania gazu sparzył sobie palec; to już było oczywistym znakiem, iż zaczął się dzień kłębki. Przełknął szybko skromne śniadanie, w towarzystwie myśli krążących uparcie wokół jego samotnego żywota, bo oto ciągle nie spełniały się marzenia, aby śniadanie podawała mu kobieca, kochająca ręka. Zdjął płaszcz z wieszaka, urywając przy okazji wieszak, ale już nie miał czasu na przyszybie go, więc szybko zamknął drzwi i zbiegł ze schodów. Minąwszy trzy piętra, zastanowił się, czy aby z całą pewnością przekręcił klucz w zamku?... Wiedział, że zawracać z drogi, to po prostu sprowadzać na siebie pecha, ale wolał już to, niż zastać później mieszkanie okradzione. Szybko pobiegł z powrotem na górę, nacisnął klamkę i stwierdził, że drzwi są dobrze zamknięte. Znalazłszy się na ulicy wpadł na czarnego kota.

Próbował go wyprzedzić, ale kot był szybszy. „Jeszcze i kot! – pomyślał pan Zenek. – Dzisiejszy dzień mogę zapisać na straty”. Kiedy kobieta z pustym wiadrem minęła go w drodze, nie miał już nawet siły, aby jęknąć. Zmaltretowany wszystkimi wydarzeniami, które wyraźnie świadczyły o fakcie, iż tego dnia spokojnie przeżyć mu się nie uda, dobiegł do sklepu warzywnego i ze zdziwieniem stwierdził, że nic tam się nie stało; nie było pożaru, woda nie zalała sklepu, nawet warzywa specjalnie nie przywiędły, a panna Jadzia i Władzia już czekały przed sklepem, chociaż zazwyczaj spóźniały się przynajmniej o kilka minut. „Nie należy wierzyć w przesady – pomyślał pan Zenek, kiedy w chwilę po otwarciu sklepu nadjechał samochód wyładowany towarem. Wypakowanie towaru poszło nadzwyczaj sprawnie. Panienki bez ociągania zabrały się do sprzątanego sklepu, a pan Zenek, w całej swojej okazałości pojawił się na wystawie, układając artystycznie śliczne zieleniarskie produkty. Wszystkie wspaniałe okazy owoców i jarzyn znalazły się tam. W skrzynkach towar był nieco gorszy, ale to był towar do sprzedaży, a na wystawie do oglądania. Kiedy pan Zenek przymierzał się właśnie do ustawienia cytryn w wiklinowym koszyczku i nie mógł się zdecydować, czy go postawić z lewej strony, czy z prawej, czy też na samym środku, przed wystawą zatrzymała się cud piękności dama w szerokim, słomkowym kapeluszu, ozdobionym sztucznymi wiśniami. Serce w panu Zenku podskoczyło do wysokości drugiego piętra. „To ona! – pomyślał. – Najwyraźniej moje przeznaczenie. Przecież te wiśnie przy kapeluszu to po prostu znak z nieba! Kobieta kochająca owoce musi pokochać człowieka, który tak ściśle jest z nimi związany!” Pan Zenek zapatrzył się w szeroki kapelusz i w wiśnię, o mało co nie rozgniółł szyby, tak mocno wparł się rękami, aby lepiej obejrzeć to cudo, potem stuknął palcem w szybę, szerokim gestem zapraszając damę do wstąpienia do sklepu. Uśmiechnęły się oczy spod kapelusza i zgrabna kibić skierowała się do drzwi. Pan Zenek zeskoczył z wystawy, aby osobiście otworzyć drzwi przed swoją, już na pewno prawdziwą, miłością i wówczas poczuł, że nagle coś się stało z jego wnętrzościami; być może wykonał zbyt gwałtowny skok, albo też było to działanie napoju wieloowocowego, który rano wypił natychmiast po mleku. Nie zdążył się zdecydować, którą alternatywę wybrać, musiał bowiem natychmiast i to nie szybkim krokiem, ale biegiem udać się na zaplecze sklepu. Ostatnim wysiłkiem pochwycił duży klucz, kopnął w drzwi prowadzące na korytarz, nawet nie zamknął ich za sobą, lecz zniknął jak mógł najszybciej w maleńkim pomieszczeniu z wyrysowanym trójkątem. Kiedy po dłuższej chwili wrócił (nieco zszarzały) do sklepu, nie było już ani śladu po szerokim kapeluszu z wiśniami.

Tego dnia wiele pięknych kobiet odwiedziło sklep warzywny pana Zenka. On jednak żadnej z nich nie miał szczęścia osobiście obsłużyć. Przeważnie spędzał czas w malutkim pomieszczeniu za zapleczem. Wracając wieczorem do domu, patrzył z ironią na ludzi, którzy być może nie wierzyli w zjawiska przynoszące pecha. Ten dzień mógł być najważniejszym dniem jego życia, gdyby zamiast dwóch panów w czerni, kota i kobiety z pustym wiadrem spotkał, na przykład, kominiarza. Ale w dzisiejszych czasach marzyć o kominiarzu to utopia! „Wszystko przez te przekłete elektrociepłownie! – pomyślał pan Zenek. – Szalejący postępek ukradł mi moją miłość!” I pan Zenek, chociaż sam chętnie korzystał z udogodnień, jakie przynosi postępek, stał się od tej pory jego wrogiem.

Rozdział VIII

Reklama na sposób amerykański

Pan Zenek przemierzał miejsce przed ladą, przyjąwszy jako miarę jednego metra długość jednego kroku. Z obliczeń wynikało, że przestrzeń wynosi cztery i pół metra wzdłuż i około trzech metrów wszerz. Zasepił się, mrużąc do siebie – czy to aby wystarczy? Przydałoby się jeszcze po metrze i na długość, i na szerokość.

Panna Władzia i panna Jadzia cały czas śledziły kroki kierownika i jego zasepienie. Bardzo były ciekawe, w jakim celu kierownik dokonuje tych wszystkich obliczeń.

Pan Zenek marzył o pewnej innowacji; zapragnął wygospodarować część sklepu, aby zrobić miejsce na stolik z czterema krzesłami wokół. Przy takim stoliku klienci mogliby zasiadać i pić bardzo zdrowy sok z kwaszonej kapusty albo też wieloowocowe i wielowarzywne napoje, które w zakurzonych flaszki zalegały półki. Gdyby dobrze zareklamować ten małołochodliwy towar, z zachętą, że napoje można pić na miejscu, można by nie tylko pozbyć się tych zmełniających płynów, ale może nawet przy okazji zawrzeć znajomość z jakąś sympatyczną osobą płci pięknej. Nie zrażając się szczupłością miejsca, pan Zenek zdecydował się na ten awangardowy wyczyn. Rozkazał pannom Jadzi i Władzi wyszorować stolik, który służył im do prywatnych posiłków spożywanych na zapleczu, sam osobiście ustawił przy stoliku krzesła, odstał krok w tył, zlustrował wszystko fachowym okiem i stwierdził, że całość prezentuje się zupełnie dobrze. Jako pierwszy klient usiadł przy stoliku i zamówił sobie szklaneczkę soku z kwaszonej kapusty. Panna Władzia ze zdziwienia aż wylała pół szklanki soku na spódnie pana Zenka i jeszcze bardziej przerażona próbowała swoim fartuchem rozmazać te plamy kwasu na spodniach. Pan Zenek odepchnął ją, potem nagle złagodniał, przytrzymał pannę Władzię za rękę i przyglądając się jej uważnie, zapytał:

– Panno Władziu, czy pani orientuje się, co to jest reklama?

– Orientuję się, panie kierowniku – odpowiedziała pospiesznie. – To jest takie robienie wielkiego szumu, nawet jeżeli nie ma o co.

– Niezupełnie się z panią zgadzam – odpowiedział pan Zenek. – Zasada brzmi: „Reklama jest dźwignią handlu!”... Otóż, droga panno Władziu, my tę dźwignię podźwigniemy! I właśnie pani pomoże reklamie i handlowi! Widziała pani kiedyś w filmie, jak Amerykanie załatwiają sprawę reklamy? – pan Zenek nie zamierzał czekać na odpowiedź, ciągnął swoją myśl dalej – otóż w każdej reklamie posługują się kobietą, bo kobieta przyciąga oko! Pojmuje pani, co mam na myśli?

– Pojmuje, panie kierowniku.

– Więc proszę słuchać! Zamierzam zaprowadzić u mnie w sklepie pijalnię soków owocowo-warzywnych. Żeby to chwyciło, muszę mieć reklamę, czyli kobietę. Taką wprost z amerykańskich filmów! Nikt nie oprze się chęci wypicia najgorszego soku, widząc na wystawie dziewczę przyciągające wzrok i popijające taki właśnie sok! Zgadza się pani ze mną, panno Władziu?

– Zgadza się, panie kierowniku.

– No to wszystko w porządku. Teraz proszę się bardzo dokładnie wymalować, tak jak w żurnalach malują się modelki, obnażyć się trochę, ale wyłącznie od góry, i jazda na wystawę! Siądzie tam pani na krzeselku z butelką soku warzywnego lub owocowego. Lecz nie wolno pani ani drgnąć! Musi pani sprawiać wrażenie manekina.

– Panie kierowniku, a kto będzie obsługiwał klientów, jak ja będę za tego manekina?

– O to niech panią głowa nie boli! I tak pani nie przemęcza się w sklepie. A to nie potrwa długo. Jeżeli chwyci, kupi się prawdziwy manekin. Najpierw muszę wypróbować efekt.

Podczas kiedy panna Władzia przy pomocy panny Jadzi przerabiała się na zapleczu sklepu na reklamową piękność, pan Zenek usuwał z wystawy sterty zielonej sałaty i koszyki z warzywami. Zostawił tylko owoce ułożone malowniczo na drewnianym półmisku, po namyśle dodając jeszcze kilka strączków czerwonej papryki i seler z długimi, zielonymi liśćmi.

Panna Władzia w charakterze świeżo wymalowanego obrazu stanęła przed panem Zenkiem. Przyjrzał jej się z uwagą i rozkazał w trykotowej bluzce, którą miała na sobie, wyciąć dekolt aż do miejsca, gdzie u panienek zaczynają się okrągłości. Potem czyhając na moment, kiedy przed sklepem warzywnym nie było nikogo, wepchnął pannę Władzię na wystawę, wciskając jej w rękę butelkę z sokiem wieloowocowym. Sam zaczął się w kącie za węglem, obserwując wrażenia przechodniów. Kilka osób minęło wystawę, nie rzuciwszy nawet okiem na piękną i pomyslową reklamę. Pan Zenek denerwował się: „Co za ludzie?! Gdybym ja był na miejscu tego grubasa, kupiłbym co najmniej dziesięć butelek soku, który Władzia ma w ręce” – złorzeczył mężczyźnie, który co prawda przystanął na moment, ale wzruszywszy ramionami poszedł dalej. Nagle przed wystawą zatrzymał się jakiś dryblas z długimi włosami. Wpatrzył się w palmę Władzię i najwyraźniej dech mu w piersiach zaparło. „Oho! Przynęta chwyciła! – ucieszył się pan Zenek. – Ten wypije u mnie kilka flaszek napoju wieloowocowego!” Dryblas wpadł do sklepu, pan Zenek rzucił się ku niemu z uprzejmym ukłonem i zamiarem spytania, ile butelek ma podać, nie zdążył jednak nawet słowa wydobyć z siebie, kiedy olbrzymia pięść spoczęła na jego nosie, a druga na oku. Oszolomiony, patrzył pan Zenek, jak klient podbiega do wystawy, z której wyciąga manekin, czyli pannę Władzię. Przyciskając ręką obolałe oko ruszył do ataku; nie mógł pozwolić, aby na jego oczach, a w tym wypadku na jednym oku, jakiś chuligan w biały dzień kradł ze sklepu żywą reklamę. Obliczywszy wzrost dryblasa doszedł do wniosku, iż należy raczej działać podstępnie. Skoczył obydwojma obcasami naraz na jego stopę. Tamten zaryczał z bólu, potem uchwycił pana Zenka za gardło i powłókł go w kierunku beczki z kapustą, gdzie kilkakrotnie unurzał jego głowę. Pan Zenek wyrwał się i jak przystało na sytuację z „Bonanzy” poderwał skrzynię z burakami, której całą zawartość wysypał na przeciwnika. Rozgorzała straszliwa walka, w której, o dziwo, panna Władzia stanęła po stronie przestępcy, zaś panna Jadzia pomagała kierownikowi podając mu nieopróżnione jeszcze skrzynki. W momencie kiedy zaistniała obawa, że nie będzie już czym w siebie rzucać, do sklepu z warzywami, a raczej na cmentarzysko warzyw wkroczył milicjant. Pan Zenek wyciągając miąższ pomidora z ucha, drugą ręką wskazywał na przestępcę. – Oto człowiek, który próbował ukraść moją reklamę! – krzyczał. – Proszę, aby prawo ukarało go jak najsurowiej! – Panie władzo! To tego drania należy ukarać! – zwrócił się dryblas do milicjanta. – Niech pan popatrzy, co on zrobił z moją narzeczoną! To była uczciwa dziewczyna, a jak wygląda?!

Milicjant przyjrzał się upstrzonej roznamiętnionymi jagodami twarzy panny Władzi. – Rzeczywiście, wygląda nie najlepiej – zauważył.

– No właśnie! – ryczał dryblas – jeszcze do tego wszystkiego wsadził ją, o z takim dekoltem! w sam środek wystawy! Jak on się chce dorabiać na stręczycielstwie, to niech się wynosi z jarzyn! Mogę być takim samym dobrym kierownikiem jak on, a może i lepszym!

Milicjant nie mogąc się połapać w chaotycznych wykrzyknikach obu panów, stwierdziwszy jednak zakłócenie spokoju i zdemolowanie sklepu, zabrał obydwu na komisariat, celem złożenia szczegółowych zeznań.

Z powyższego wydarzenia pan Zenek wysnuł wniosek, iż uprawianie reklamy na sposób amerykański nie jest najszcześniejsze.

Rozdział IX

Tylko jeden mały krok do kariery Rudolfa Valentino

Na Wybrzeże przyjechała znana przed wojną gwiazda polskich ekranów, obecnie obywatelka jakiegoś zamorskiego kraju.

Pan Zenek mozolił się właśnie nad ozdobnym wykonaniem ceny dla jednego kilograma selera, którą to cenę miał potem przy pomocy zapalki umieścić w soczystości białej bryłki, kiedy jakiś niezwykle ruch przed sklepem zwrócił jego uwagę; dwóch młodych mężczyzn z kamerami, jeden chudy, drugi trochę grubszy, obskakiwało dostatnio i z obca ubraną damę, a tłum gapiów napierał na nich i swoim zwyczajem machał łapami przed kamerą, aby krewni i znajomi mogli z łatwością każdego rozpoznać na ekranie telewizyjnym.

Pan Zenek z niepokojem patrzył na szybę wystawową, która groziła wgnieceniem przez tłum. Zdenerwował się i zamiast „seler” napisał „sreler”. Wziął nowy kartonik, ale spojrzawszy jeszcze raz w szybę stwierdził, że nie ma co ryzykować. Zostawił więc w spokoju rozpoczęte dzieło i wybiegł przed sklep.

– Co się tu dzieje??! – krzyknął rozjuszony. – Kto będzie płacił za szybę, jeżeli pęknie?

Panowie z kamerami jakby nagle doznali olśnienia na widok pana Zenka. – Klawo jest, Alek! – powiedział ten chudy. – Zrobimy parę ujęć w sklepie! Jarzynki, owoce, kapujesz? Taka martwa natura to zawsze gra. – Z tymi słowami popchnęli lekko artystkę w kierunku drzwi sklepu, a ten grubszy powiedział – pani pozwoli, madame. Na tle południowych owoców będzie pani wyglądała jak we własnym kraju.

– Ja mieszkam na Alasce – odpowiedziała przedwojenna gwiazda – ale to nieważne. Zresztą lubię owoce. – Z tymi słowami w obłoku egzotycznych perfum wpłynęła do sklepu. Za nią wkroczyli panowie z kamerami, a na końcu pan Zenek, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Z zaplecza wypadły panna Władzia i panna Jadzia i zatrzymały się z minami, których wyraz przekraczał wszelkie granice osłupienia. Po chwili ich inteligencja zaczęła chyba pracować, ponieważ jak na komendę wyjęły spod lady lusterka, w których poprawiały fryzury i zwilżały językiem usta, – Do zdjęć trzeba mieć zawsze wilgotne usta. Czytałam o tym w „Filmie” – powiedziała panna Władzia. Panna Jadzia chciała chyba też kilka stów na ten temat dodać, ale zanim zdążyła wydobyć z siebie głos, już została skarcona (ona i Władzia) przez kierownika; ten zły człowiek rozkazał im zniknąć na zapleczu i siedzieć cicho jak myszy pod miotłą, póki nie skończy się filmowanie.

Kiedy artystka ze swobodą, znaną jedynie prawdziwej sztuce, szperała długimi palcami między rumianością brzoskwiń, panowie z kamerami skakali po obydwu stronach lady, kamery terkotały, artystka uśmiechała się (nie zwilżywszy uprzednio ust), a pan Zenek za ladą przybierał pozy prawdziwego amanta filmowego. Nie był całkowicie pewien, czy powinien być amantem zaborczym i brutalnym, czy też lirycznym... Na wszelki wypadek na przemian układał twarz w grymasie zaciętości, to znowu lirycznego roztkliwienia (od czasu do czasu poprawiając włosy, które w zlepionych kosmykach spadały mu na czoło, ale czyż mógł

przewidzieć, że z kierownika sklepu warzywnego w ciągu paru sekund wcieli się w najprawdziwszego artystę?). Zaczął błyskawicznie opracowywać w myślach scenariusz tego filmu. Wyciągnął rękę i podał wspaniały owoc swojej partnerce. Wtedy właśnie ten grubszy powiedział: – No to, Janusz, chyba na tym koniec? – I kamery przestały terkotać.

Pan Zenek stał oszołomiony z brzoskwinia w wyciągniętej dłoni. Ten, który miał na imię Janusz i szedł ostatni, zabrał ofiarowaną brzoskwinie, burknął coś, jakby „dziękuję”, i za chwilę sklep był już dawnym warzywnym sklepem, a nie żadnym atelier filmowym. Wszystko wróciło do normalnego stanu, pan Zenek do wypisywania cen na warzywa i owoce, a panna Władzia i panna Jadzia do obsługiwania klientów. Pierwszą klientką (która zresztą obserwowała scenę filmowania spoza pleców tłumu zgromadzonego za szybą) była pani Kika, osoba urocza, ale zawsze obojętna wobec czułych spojrzeń pana Zenka. Tym razem stało się inaczej.

– No, no – powiedziała pani Kika – nie wiedziałam, że mamy pośród nas artystę. Ale nikt nie jest prorokiem w swoim własnym kraju – dodała trzepocząc sztucznymi rękami. – Kto wie, może pan zostać nawet sławnym artystą. Takie rzeczy się zdarzają...

– No chyba – odpowiedział z powagą pan Zenek. – Pani wie, jak było z Rudolfem Valentino?...

– Nie wiem – zainteresowała się pani Kika. – A jak z nim było?

Pan Zenek też tego nie wiedział, ale bezzwłocznie znalazł odpowiedź: – No cóż? Był sobie zwyczajnym chłopakiem i nagle kariera! Dosłownie z niczego!

– No właśnie – zgodziła się pani Kika. – U nich tam, to niejeden zrobił karierę, ale u nas trudno się dopchać. Chyba że się kogoś zna. Pan to się musi znać z tymi z telewizji. Jednemu przecież nawet dał pan brzoskwinie... Jakby pan mógł przy okazji napomknąć... Bo ja mam wprost fantastyczne zdolności! Brak mi tylko poparcia.

Pan Zenek prawie uwierzył, że zna wszystkich z telewizji i dał do zrozumienia pani Kice, że jest w stanie załatwić każdemu przynajmniej niewielką rolę.

Pani Kika nagle zaniepokoiła się:

– Przecież my nie wiemy, kiedy to polecą? Trzeba się dowiedzieć! – i wybiegła na ulicę. Za chwilę wróciła, sapiąc jeszcze z wysiłku i triumfalnie powiedziała: – Udało mi się ich dogonić! Byli już przy taksówkach. To polecą w najbliższej „Panoramie”. Wszyscy musimy pana obejrzyć! Zapraszam na telewizję do mnie. Wszystkich! Pannę Władzię i pannę Jadzię także. Zamknie się sklep na godzinę. Nikt nawet nie zauważy.

Kiedy nadszedł wyznaczony dzień, pan Zenek w swoim odświętnym ubraniu, panna Władzia i panna Jadzia całe w lokach (wprost od fryzjera) udali się (wywiesiwszy najpierw znaną nam kartkę o przyjęciu towaru i przerwie w sprzedaży) pod wskazany adres, do mieszkania pani Kiki.

Przy kawie i łakociach zasiedli w skupieniu przed telewizorem. Nareszcie znajomy sygnał i zaczęła się „Panorama”. Pan Zenek wstrzymał oddech na tak długo, że groziło to jeżeli nie pęknięciem płuc, to przynajmniej zawałem serca. Całe szczęście, że już na samym początku odezwał się głos komentatora:

„W tych dniach gościliśmy u nas znaną przedwojennej publiczności aktorkę, panią X.Y.”.

Pani Kika czule ścisnęła rękę pana Zenka, kiedy pojawiły się na ekranie półki z selerem („bez ceny!” jęknął w duchu pan Zenek), potem brzoskwinie, a potem uśmiechająca się artystka z rozchyłonymi ustami.

Panna Jadzia szepnęła w ucho panny Władzi: – Zobacz, jak ona staro wygląda! Bo nie zwilżyła ust!

W ekranie telewizora znów pojawiły się półki, tylko że teraz z burakami i wreszcie wyciągnięta ręka pana Zenka z tą ogromną brzoskwinia. Pana Zenka ani na moment nie uchwyciło oko kamery. Potem zmienił się obraz i ukazały się ruiny krzyżackiego zamku. Komentator zaczął coś mówić o zabytkach, ale pan Zenek niczego nie słyszał poza

wewnętrznym krzykiem o strasliwym blamażu. Zerwał się w swym odświętnym ubraniu, nie powiedziawszy ani słowa podziękowania za gościnę, pędził w kierunku drzwi, a za nim chybotwały loczki panny Władzi i panny Jadzi.

Skończyły się marzenia pana Zenka o karierze gwiazdora i o pani Kice, która omijała jego sklep jakby był tknięty zarazą. Co robić? Nie każdy ma szczęście dostać się na ekran, nawet na taki malutki...

Rozdział X

I po co chceć być rycerzem??!

Nie można powiedzieć, aby życie pana Zenka było usłane różami albo miękkimi liśćmi włoskiej kapusty. Jeżeli ktoś chciałby się pokusić o porównania, to było to życie jak szosa asfaltowa oblana olejem rzepakowym, na której z łatwością można było upaść i złamać nogę w biodrze, albo nawet i w śródstopiu. Ciężkie, niewdzięczne było życie pana Zenka.

Stał oto właśnie przed półkami wyladowanymi butelkami rzepaku. Uderzał czubkiem palców raz w zęby, raz w butelki. I znowu: zęby, butelki, zęby, butelki... Trwało to dosyć długo. Poszczególne uderzenia przedzielane były niechęcią do świata, a raczej do hurtowni, która zamiast zamówionych stu butelek oleju sojowego, przysłała dwieście rzepakowego. W dobie kiedy ludzkość przeszła na olej sojowy (zdrowszy od wszystkich smalców, maseł, margaryn), jemu zapychają sklep rzepakowym! Wiadomo, że rzepakowy wydaje przy smażeniu niemiłą woń, a żadna współczesna kobieta nie zgodzi się przesiąknąć rzepakiem, choćby nawet miał sto razy więcej wartości niż soja.

Pan Zenek zastanawiał się nad desperackim czynem: „co by było, gdyby te wszystkie butelki zabrać (bagażówką i na własny koszt oczywiście) i wylać całą ich zawartość przed samym budynkiem hurtowni?... Niechby oni spróbowali choć raz poślizgać się na rzepaku”. Nim zdążył w myślach wylać choćby jedną kroplę oleju, weszła do sklepu osoba opalona na ciemny migdał i wachlując się kuponami totolotka stanęła przed ladą i przed panem Zenkiem.

– Kochany! – zagaiła – pozwoli pan, że u pana wypełnię totka? Jeszcze pan nie ma klientów, a w punkcie totka narodu jak śledzi w becze!

Pan Zenek z ulgą oderwał się od problemu rzepaku.

– Bardzo proszę – powiedział uprzejmie i zdmuchnął z lady piórko koperku. – Ale że też ludzie tak szaleją z tym totolotkiem... – zauważył, chcąc podtrzymać konwersację.

Migdałowa pani błysnęła białkami w stronę pana Zenka. – Ludzie to już sami nie wiedzą, co ze sobą robić. Widocznie mają za dużo pieniędzy! – powiedziała, wygładzając pulchną dłonią kupony rozłożone na ladzie.

– Pani chyba też ma za dużo pieniędzy, skoro pani gra – zauważył pan Zenek z odrobiną nadziei w głosie, że oto być może trafił na kobietę, która mogłaby mu ułatwić starł życiowy.

– Ach! – zaśmiała się („i zęby ma jak środek migdała” – pomyślał z rosnącą sympatią pan Zenek). – Ja, proszę pana, robię to z zupełnie innych powodów – wyjaśniła grzebiąc w

torebce w poszukiwaniu długopisu. – Ja jestem urodzoną hazardzistką. Nie stać mnie na inny hazard, tylko na taki za trzydzieści złotych każdego tygodnia. Ale jaka to przyjemność czekać niedzieli i drzeć z podniecenia, bo może coś się trafi?!... Co prawda nigdy nie trafiłam, nawet zwykłej piątki, ale za to pocieszam się zawsze, że przyczyniam się do rozwoju sportu. Kiedy Szewińska dostaje złoty medal, to ja siedzę dumna, bo moje trzydzieści złotych też w tym pomogło. Musimy skądś brać pieniądze na sport.

– Bardzo to pani zgrabnie ujęła – wpadł jej w słowa pan Zenek. – Aż sam mam ochotę zagrać.

– No to już! Nad czym się zastanawiać? Proszę, oto kupon!... Niechże pan nie robi głupstw i nie płaci! – powstrzymała rękę pana Zenka z drobną monetą, potem powiedziała. – Może pan odpisać ode mnie numery. I tak nie wygrywam, więc nie będzie mi żal gdyby co.

– O nie! – sprzeciwił się pan Zenek, pochylając głowę w wytwornym ukłonie. – Jestem dżentelmenem. Stawiając krzyżyki w tym samym miejscu co pani, to tak jakbym kładł rękę na pani ślicznym ramieniu. Jestem tylko kierownikiem sklepu warzywnego, ale znam się na elegancji. (Pan Zenek pomyślał, łykając ślinkę, że jednak chętnie położyłby rękę na tym ramieniu, brązowym i toczonym.) – Będę zawsze wypełniał kratkę za panią – wyjaśnił. – Czyli będziemy blisko siebie, ale bez spoufaleń.

Migdałowa pani pokiwała z uznaniem głową: – Że też dzisiaj jeszcze zdarzają się mężczyźni tacy jak pan?... Jest pan prawdziwym rycerzem!

W panu Zenku aż wszystko jęknęło ze szczęścia. Ten „spieczony migdałek” coraz bardziej mu się podobał.

Pochylili się nad kuponami i stawiali krzyżyki w odpowiednich kratkach. Pan Zenek cały czas pilnował, aby jego krzyżyk znalazł się zawsze z tyłu, za krzyżykiem damy.

– O! – zmartwił się pan Zenek – w czwartej i piątej kratce postawiłem krzyżyk w tym samym miejscu co pani! Czy mogę poprosić o inny kupon?

– Jak pan sobie życzy... Ale po co ma pan wszystko przepisywać? Niech pan wypali papierosem dziurkę tam, gdzie był krzyżyk. Ja zawsze to robię. Płacą tylko za miejsca trafnie zakreślone, a nie za wypalone.

– Ale ja nie palę – powiedział pan Zenek.

– Nic nie szkodzi. Ja palę – i migdałowa dama najpierw zapaliła papierosa, a potem delikatnie przytknęła rozżarzony czubek do źle postawionych krzyżyków pana Zenka.

W szóstej kratce pan Zenek znów się pomylił i oto miał trzy wypalone dziurki obok krzyżyków.

– Nic nie szkodzi! – śmiała się hazardzistka. – I tak pan nie wygra. Ale mówię panu, frajda jutro będzie szalona! Szkoda, że w nocy już wyjeżdżam. Chętnie spotkałabym się z panem, żeby wspólnie sprawdzić nasze kupony.

To się tylko panu Zenkowi mogło przytrafić, taka cudowna kobieta i musi wyjechać!... „Może jedzie niezbyt daleko? Można by ostatecznie dojechać do niej... Co niedziela... Żeby razem sprawdzać totolotka”... Odważył się zadać pytanie: – A daleko pani jedzie?

– Na drugi koniec Polski. Jestem tu na wczasach – wyjaśniła osoba, która w panu Zenku rozpałała krew hazardzisty. – Niech pan wszystkie pięć kuponów wypełni jednakowo. Nie oplaca się łamać głowy nad innymi numerami i tak pan przecież nie trafi – dodała i natychmiast pozakreślała u siebie kratki według pierwszego kuponu. Potem żegnając się z panem Zenkiem dobiła go powłóczyстым, uwodzicielskim spojrzeniem i poszła.

Pan Zenek chciał pędzić za nią, ale właśnie jakaś wycieczka zapełniła sklep, domagając się gruszek, po pół kilograma na osobę. Nim skończył ważyć (zagoniwszy także do pracy dwie ekspedientki) i mógł pobiec do punktu totolotka, migdałowej piękności oczywiście już tam nie było. Próbował pocieszyć się, że może jutrzejsza wygrana wyrówna mu smutek z powodu tej straty. Gdyby tak padł milion, mógłby mieć kobiety... Ho! Ho!... Jeszcze młodsze i bardziej opalone.

Kiedy na drugi dzień podawano wyniki losowania, pan Zenek już nie był sobą; był kłębkim hazardowych nerwów. Patrzył w telewizor, czujny, z ołówkiem w dłoni, gotów do odfajkowania wszystkich kratek szczęścia i... – Ludzie! Za chwilę zostanę milionerem! – krzyknął nieprzytomny ze szczęścia, zakreślając trzy pierwsze krzyżyki. Przy następnych trzech dusza rozdarła mu się na strzępy: wygrane padły w tych miejscach, gdzie on miał dziurki wypalone papierosem.

– Jestem zrujnowany! – jęczał teraz pan Zenek, trzymając się rękami za głowę. – Mogłem zostawić te trzy krzyżyki! Ale nie! Ja zawsze chcę być rycerzem! Dzięki temu mam trzy dziury w miejscu, gdzie czekała na mnie wielka wygrana. Mogłem być milionerem, a jestem w dalszym ciągu kierownikiem sklepu warzywnego!

Jednak żyłka hazardzisty nie opuściła pana Zenka. Grał każdego tygodnia. Nie wypalał już kratek papierosem, ale też i nie wygrywał. No bo jak ktoś urodził się panem Zenkiem, mógł tylko zawsze liczyć na pośliznięcie się na rozlanym oleju rzepakowym, nigdy jednak nie powinien liczyć na wielką wygraną.

Rozdział XI

Klimat i zmiany pogody mają decydujący wpływ na samopoczucie człowieka

Pan Zenek aczkolwiek nie był Herkulesem, nie był też ułomkiem. Każdy lekarz mógłby stwierdzić, iż jest fizycznie i psychicznie w normie. Zdarzył się jednak dzień, w którym psychiatra (nawet z małą praktyką) miałby prawo, a nawet obowiązek, zastanowić się nad psychicznym stanem pana Zenka. Gdyby taki psychiatra ukrył się za beczką kapusty i stamtąd obserwował pana Zenka, spostrzegłby objawy, które najpierw należałoby zapisać na kartkach bloczku lekarskiego, a potem wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. Do wniosków ostatecznych można by dojść do wnętrza myśli pana Zenka. Wszystkie zjawiska zewnętrzne owego dnia były jakby specjalnie stworzone dla spotęgowania grozy sytuacji i stanu ducha pana Zenka. Stał jakby skamieniały za ladą sklepu, z rękami wspartymi o lepki od owoców blat, i z nienawiścią wpatrywał się w drzwi, przez które, jakby z poczuciem winy, wdzierali się klienci. Każde otwarcie drzwi zaznaczało się niemiłym zgrzytem, co równocześnie u pana Zenka powodowało zgrzytnięcie zębami. Pan Zenek po prostu miażdżył w zębach każdego klienta, spluwając delikatnie za każdym razem, jakby smak klienta nie był miły jego podniebieniu. Uchyleniu drzwi towarzyszyło wycie wichury i wtargnięcie wielu kropeł deszczu, które jakby chciały dosięgnąć wchodzącego, uważając widocznie, iż ilość wilgoci zgromadzona na kapeluszu i za kołnierzem nie jest wystarczająca. Pan Zenek przechylał się przez ladę, uważnie obserwując kałuże, tworzące się natychmiast u stóp klientów. Przymykał na chwilę oczy i marzył, aby to nie były kałuże, a spore jeziora, w których mógłby zanurzać głowy klientów i trzymać je tak długo pod wodą, ażby delikwent z jękiem oddał ostatnie tchnienie. Potem zostałyby na powierzchni tylko małe, okrągłe bąbelki.

Panna Jadzia i panna Władzia, podążając za spojrzeniem swojego kierownika doszły do wniosku, iż należy wytrzeć szmatą podłogę sklepu, do czego natychmiast próbowały się zabrać. Wstrzymał ich jednak warczący głos pana Zenka:

– Proszę zostawić w spokoju te kałuże! Proszę obsłużyć klientów! Kałuże należą wyłącznie do mnie!

Panna Jadzia i panna Władzia oczywiście nic z tego nie rozumiały, kto bowiem mógł przypuszczać, iż pan Zenek topi w tej chwili w kałużach klientów?... Wiedziałyby o tym tylko psychiatra, gdyby siedział za wspomnianą beczką kapusty.

„Jestem zraniony jak bezbronna sarna – pomyślał w głębi udręczonej duszy pan Zenek. – Wszystko we mnie umiera z rozpacz. Moje życie jest garścią grochu rzuconego o ścianę... Bo czymże jest groch rzucony o ścianę? Niczym. Po prostu grochem, który się rozsypał”.

Pan Zenek bywał już w niedobrych nastrojach, ale nigdy w takim jak owego dnia. A co najgorsze, nie mógł znaleźć dostatecznej przyczyny tego stanu rzeczy. Do faktu, iż nie może zaznać szczęścia w miłości, już się prawie przyzwyczał, o ile oczywiście można się przyzwycząć do podobnej myśli. Cierpiał z tego powodu przynajmniej raz w tygodniu. Owego dnia jednak cierpienia pana Zenka przeszły wszelkie granice. Postanowił nieodwołalnie skończyć ze wszystkim, czyli z całym swoim życiem.

Mężczyzna w czapce z daszkiem, z której ciurkiem ciekła na nos woda, stanął przed panem Zenkiem i uporczywie domagał się kilograma cebuli. Pan Zenek spojrzał na mężczyznę, ale w oku jego musiała widocznie być taka pustka, iż klient uznał, że i w skrzynce z cebulą musi być pustka, bo bez słowa odwrócił się i wyszedł w ten zasłaniający świat deszcz.

„Popelnię samobójstwo – pomyślał pan Zenek. – Mam w nosie cały sklep warzywny. I tak nie mogę już awansować, ponieważ jestem kierownikiem. Co mnie wobec tego może jeszcze czekać? Nic. Skoro człowiek nie może niczego oczekiwać od życia, powinien odejść. Odejdę. Tylko w jaki sposób? Nie będę się truć gazem, bo to śmierdzi. Zresztą mogłoby mi się zrobić niedobrze... Porażenie prądem elektrycznym jest dobre... Ale jak to zrobić? Wsadzić palec w kontakt czy jak? Otóż to są skutki, kiedy człowiek nie zdołał zgłębić wszystkich dziedzin nauki; nie znam się na prądzie elektrycznym... Jedyna możliwość, to utopić się. Zwłaszcza dzisiaj jest tak dużo wilgoci, że i każda mała rzeczka musiała przybrać. Ale jeżeli mam się topić, to już tak, żeby nie było możliwości wypłynięcia. Utopię się, jak przystało na sprzedawcę warzyw. Będzie to niejako pomnikiem mojego zawodu; przywiążę sobie arbuza do szyi i wskoczę do byle jakiej rzeczki”... Pan Zenek, prawie że zadowolony, zaczął przerzucać arbuzy, szukając co większej sztuki.

Panna Władzia i panna Jadzia, odgadując złe samopoczucie pana kierownika, próbowały jakoś mu się przypodobać i równocześnie zaczęły pomagać mu w przerzucaniu arbułów. Tu jednak natknęły się na twardy opór: – Proszę w tej chwili zostawić arbuzy! To moja osobista sprawa i wara każdemu od tego! – syknął pan Zenek i nareszcie znalazł, czego szukał – wspaniały, dorodny okaz arbuza. Wziął go, zważył jakby w ręce, spojrzał na niego prawie z miłością i kiedy właśnie miał wyruszyć z lady po swoje ostatnie przeznaczenie, do sklepu wtargnął promień słońca, a za nim śliczna dziewczyna. Spojrzała na pana Zenka, potem na arbuza i powiedziała:

– Cały dla mnie! Proszę o ten cały arbuza. Co za szczęście, że wstąpiłam tutaj do sklepu!

Pan Zenek mógł przed chwilą mieć zamiar skończyć ze swoim życiem, ale nigdy, jako wzór dobrego kierownika, nie pozwoliłby sobie na to, aby odmówić klientowi towaru, choćby to miał być nawet przedmiot wybawienia go ze wszystkich kłopotów życia. Zresztą wszystko się jakoś nagle odmieniło. Pan Zenek ważąc arbuza pomyślał sobie, iż zawsze kobiety były przyczyną jego klęski, tego dnia kobieta nadeszła jako wybawienie. Kobieta i słońce. Gdyby psychiatra siedział jeszcze w danej chwili za beczką kapusty, mógłby zanotować w lekarskim bloczku uwagę: „Klimat i zmiany pogody mają decydujący wpływ na samopoczucie człowieka”. Po tej uwadze psychiatra mógłby opuścić miejsce za beczką, ponieważ tamtego dnia nic już więcej się nie wydarzyło, co by warto zanotować.

Rozdział XII

Artystki i teatr to zasadzka na życie ludzkie i zęby

Kiedy pan Zenek wychodził z rana z domu, poczuł, że z jego zębem pod koronką nie jest dobrze. Już na schodach ząb zaczął zachowywać się tak, jakby pan Zenek siedział na krześle elektrycznym – w każdym razie to skojarzenie nasunęło się, kiedy ząb zaczął szaleć i miotać się pod koronką. Pan Zenek przycisnął policzek do zęba, ale bolesne drgania nie ustawały. W tej sytuacji pan Zenek pozbył się wszelkiej przychylności do otaczającego go świata, nie istniało dla niego nic, nawet przepyszna pogoda; istniał tylko bolący ząb! Przycisnąwszy dłoń do policzka, a policzek do zęba, jakby w obawie, aby ząb nie wyskoczył podczas tych szarpających drgawek, pan Zenek wpadł do sklepu z warzywami, dosłownie jak huragan.

Panna Władzia i panna Jadzia, spóźniwszy się tego dnia tylko o pół minuty, stwierdziły po cichu, że „ich stary zwariował”. Jasne bowiem było, że nie mógł się wściekać z powodu ich półminutowego spóźnienia, zwłaszcza że powinien już dawno się do tego przyzwyczaić. W milczeniu obserwowały swojego kierownika, który z wściekłością przerzucał skrzynki, jakby za chwilę miał zamiar wymordować wszystkie, Bogu ducha winne, jarzyny. Kiedy pan Zenek krzyknął: – Dzisiaj będę cały czas na zapleczu! Proszę mi nie przeszkadzać! – panna Jadzia i panna Władzia doszły do wniosku, że ich staremu przydarzyło się coś więcej niż nieszczęście z powodu utraty zmysłów, i z całą obojętnością dla wszelkiej tragedii ludzkiej, która nie była ich tragedią, zajęły się układaniem warzyw. Były nawet zadowolone, mogły bowiem spokojnie obgadywać pod nosem klientów, czego zawsze zabraniał pan Zenek, twierdząc, że „klient nie idiota i widzi, kiedy się o nim mówi”.

W półmroku zaplecza pan Zenek usiadł przy zakurzonego stoliku i oparł fragment rozbitego lusterka o wazon ze „stroikiem”. Szczerząc przed lustrem wszystkie swoje zęby, ze szczególną uwagą obserwował ten bolący. Jeżeli chodzi o lustro i „stroik”, to związane z tym było dziwne wydarzenie: otóż pewnego dnia, a był to dzień jego urodzin, udał się pan Zenek do lokalu kategorii III, aby uczcić swoje osobiste święto wypiciem jednego koniaku. Koniak posiada właściwości lecznicze, działając rozkurczowo na naczynia krwionośne, toteż pan Zenek nie widział niczego niewłaściwego w wypiciu na swoje zdrowie tak szlachetnego trunku.

W lokalu, o którym mowa, ruch był tego dnia niewielki, tylko przy jednym stoliku siedziało jakieś rozbawione towarzystwo, składające się w większej części z eleganckich kobiet. Kobiety nigdy nie były panu Zenkowi obojętne, toteż wpatrywał się w nie, oczywiście dyskretnie, niby to sącząc z uwagą swój koniak. Z prowadzonej przy stoliku rozmowy zorientował się, iż całe towarzystwo to artyści. „Gdyby tak pokochać artystkę? – pomyślał pan Zenek i w zdenerwowaniu zamówił drugi koniak. Ta mała szelma, z oczyma jak pestki i z długimi włosami, to musi być klasa! Ale oczywiście! Sklep warzywny i teatr! Przepaść! Przepaść nie do przebycia! A właściwie dlaczego??! W czym ja jestem gorszy od tego faceta nakrapianego na gębie jak strusie jajo?” Pan Zenek zamówił trzeci koniak, tak go rozżaliła niesprawiedliwość, która dzieli ludzi na artystów i nieartystów. Aż oto nagle oczy jak pestki spoczęły na panu Zenku i dał się słyszeć głos (trochę zachrypnięty i przygruby jak na taką delikatną osobkę): – Słuchajcie dzieci! – Zabrzmiął ten głos. – Cudny mężczyzna siedzi przy tamtym stoliku! (To o panu Zenku). Dajcie mi go! Błagam was! Będę go hodować jak dziką

różę albo świnkę morską! Lubię mieć w domu coś oryginalnego! – bez przerwy wpatrywała się w pana Zenka, który choć dotknięty tym, że chciano go hodować jako świnkę morską, jednak był zadowolony, że właśnie na niego zwrócono uwagę. Zamówił jeszcze dwa koniaki. Liczył, iż rozjaśni mu one umysł i pozwolą zdecydować się na jakiś krok, mogący wyrazić uwielbienie dla tych oczu jak pestki. Na razie jednak musiał się udać do pomieszczenia, przed którym urzędowała osoba pobierająca złotówkę za udostępnienie pewnego miejsca. I tu nastąpił moment objawienia: na oknie stał wazon zrobiony z opróżnionej plastikowej butelki po „Skrzacie”, wazonie cudownej piękności „stroik” – do zeschniętej starej palmy przyczepione kokardki i kwiatki z bibulek i serwetek. Kwiatki pyszniły się kolorowymi środkami z wyskubanej wełny z szalików i dywanów, na czubku „stroika” kokarda – wykrzyknik „stroikowej” urody! (Prawdopodobnie był to fragment oderwanej długiej sukni, którą ktoś chyba przytrzasnął sobie drzwiami toalety.)

– Kupuję ten wazon ze „stroikiem!” – krzyknął w zapale pan Zenek. – Chcę go ofiarować pewnej pięknej istocie!

– Jak już chce pan kupić, to razem z lusterkiem – odpowiedziała osoba pobierająca złotówki. – Zasadniczo kupują u mnie takie, „stroiki” tylko artyści, bo oni się znają na sztuce, ale jeżeli się pan uprze, to mogę sprzedać. Oni płacą zawsze pięćdziesiąt złotych.

– W takim razie ile ja płacę? – zapytał pan Zenek.

– Pan płaci tylko trzydzieści, bo pan nie jest artystą.

Zanim pan Zenek wyjął portfel, weszła dziewczyna z oczyma jak pestki i dowiedziawszy się, o co chodzi, wyraziła sprzeciw. To ona kupi „stroik” dla pana Zenka i do tego jeszcze zaprasza go do teatru.

W dwa dni później pan Zenek siedział w teatrze. Bilet był zostawiony w kasie na jego nazwisko. Na scenie oczy jak pestki. Było cudownie. Gdyby tylko nie ten przeciąg... – Skąd u licha biorą się przeciągi w teatrze? – Pan Zenek obserwował marzenie jego życia, równocześnie rozglądając się za źródłem przeciągu. – Od takiego przeciągu może człowiekowi zawiąć głowę wraz ze wszystkimi zębami...

„Aha! Teraz wiem, skąd ten ból zęba pod koronką! – pomyślał pan Zenek, wpatrując się w rozbite lustro. – Te straszne artystki! Już niejednemu mężczyźnie zrujnowały życie! Gdyby chociaż umówiła się ze mną... Ale nie! Podarowała mi „stroik”, żeby zawsze o niej pamiętał, zaprosiła do teatru i na tym koniec! Zdradziecka zasadzka!”

– Panno Władziu! – krzyknął pan Zenek w kierunku sklepu. – Proszę natychmiast wyrzucić na śmietnik to paskudztwo! – Wskazał wazon ze „stroikiem”. – I lustro także! Ja idę do dentysty.

I poszedł.

– Wiesz co, Jadzka – powiedziała panna Władzia, kiedy pana Zenka już nie było – naszego starego szurnęło z powodu zębów. Idź ty kiedyś wyrwać ten twój trzonowy, bo będzie z tobą tak trudno wytrzymać jak z nim! – I zaśmiała się wszystkimi swoimi zdrowymi zębami.

Rozdział XIII

Niebieskie oczy i banany po obniżonej cenie

Któregoś poniedziałku sklep warzywny pana Zenka stracił swoją zieleniarską sielankowość, która tu zwykle panowała, i zamienił się w coś, co pan Zenek w myślach nazywał brzydkimi słowami, jak: piekło, mordownia, rzeźnia, zamtuz i jeszcze gorsze określenia. Wszystko stało się z przyczyny dostarczenia do sklepu bananów w cenie po dwadzieścia złotych za kilogram. Kiedy banany pyszniły się na wystawie, z wbitą w środek jednego z nich normalną ceną, czyli czterdzieści pięć złotych za kilogram, można było przeżyć dzień nie tracąc zdrowia i nerwów. Pan Zenek, przeciskając się między pannami Władzią i Jadzią, i skrzynkami bananów, lżył siebie w myślach za pomysł wzięcia na swoje barki takiego kłopotu, jak przyjęcie bananów z obniżoną ceną. W dodatku te tanie banany nie różniły się prawie niczym od drogich, zdarzało się, że któryś tam miał jakąś plamkę i nie wszystkie były w kiściach, nie był to jednak powód, który mógłby zrazić klientów. Tłoczyli się w sklepie warzywnym, parli na ladę, szyba wystawowa była w niebezpieczeństwie, tak że pan Zenek, nie mając innego wyjścia, rozkazał pannie Władzi stanąć przed szybą i bronić jej. Z tego powodu jeszcze szybciej musiał obsługiwać klientów, gdyż została mu do pomocy tylko panna Jadzia. Z rękami lepкими od owoców nawet nie był w stanie otrzeć strużki potu, ciekącej mu przez środek czoła aż na nos, co w konsekwencji tworzyło obrzydliwą kapkę na końcu nosa, i tę przykrą okoliczność musiała właśnie zauważyć błękitnooka piękność, która w danej chwili zamawiała pięć kilogramów bananów. Ktoś miotający się na szarym końcu w tłumie krzyknął, że nie wolno sprzedawać jednej osobie po pięć kilogramów, bo potem nie starczy dla innych.

– Nie wydano żadnego rozporządzenia na temat, po ile należy, lub nie należy, sprzedawać – krzyknął pan Zenek w kierunku robiącego zamieszanie klienta i z troską zaczął umieszczać banany w siatce błękitnookiej.

– Co pan się tak pieści z tymi bananami! – krzyknął znowu ktoś z tłumu. – Jeżeli ta pani wzięła za małą siatkę, to niech się teraz sama męczy. Nie będziemy tu czekali godzinami, dlatego że jakiejś panience banany nie chcą się zmieścić do siatki!

– Proszę się w tej chwili uspokoić, bo przestanę sprzedawać towar! – rzucił ostrzegawczo pan Zenek i dodał jeszcze – obowiązkiem sprzedawcy jest obsłużyć klienta tak, aby klient był zadowolony.

– Ciekawe, że o tym obowiązku pomyślał pan właśnie przy tej panience – zauważył pan, którego żółta cera wskazywała wyraźnie na dolegliwości wątrobowe, wiek zaś mówił o braku zainteresowania jakąkolwiek kobietą. Po następnych słowach tego pana można było nawet domyślić się jego specjalnej niechęci do kobiet, zwłaszcza młodych. – To, że ktoś ma dwadzieścia lat, nie znaczy, aby posiadał specjalne przywileje. Raczej nam, starym, przywileje się należą, ale pan oczywiście jest innego zdania.

– Proszę nie próbować czytać w moich myślach – odciął pan Zenek. – Moje zdanie na jakikolwiek temat nie ma powodu pana obchodzić. Żyjemy w wolnym kraju i mam prawo mieć o wszystkim takie zdanie, jakie mi się podoba.

– Ale najbardziej to się panu podobają niebieskie oczy tej panienki – nie dał się zbić z tropu żółtocery wątrobiarz.

Pan Zenek mógłby jeszcze popisywać się swoją elokwencją, ale uznał, że nie warto, ponieważ błękitne oczy opuściły sklep. Rzucił tylko zjadliwe spojrzenie na wątrobiarza i

poprzysiągł sobie sprzedać mu najgorszy towar, jeżeli jeszcze kiedykolwiek zauważy go w swoim sklepie. Jego serce na malutkich skrzydłach pofrunęło za ślicznymi błękitnymi oczyma, zaś cała postać pozostała za ladą, między skrzyniami bananów i panną Jadzią. Musiał dalej pocić się, ważyć banany, odliczać pieniądze i znosić hałas i kłótnie niecierpliwych klientów. Postanowił ukarać wszystkich za to, iż ukradli mu okazję do zawarcia, być może, bliższej znajomości z błękitnymi oczyma, toteż uśmiechając się zjadliwie przemówił do tłumu:

– Ponieważ państwo mieliście pretensje, że sprzedaję za dużo bananów jednej osobie, teraz będę sprzedawał tylko po kilogramie.

– Absolutnie się nie zgadzam! – krzyknął pan naznaczony piętnem chorej wątroby. – Jeżeli tamta panienska dostała pięć kilogramów, ja też mam prawo kupić tyleż!

– Sami państwo uzgodniliście, że ma starczyć dla wszystkich – odpowiedział z okrutną satysfakcją pan Zenek. – Jeżeli będę sprzedawać po pięć kilogramów, starczy tylko dla niewielu osób.

Zdania się podzieliły: ci co stali przy ladzie, uważali, że nie powinno być żadnych ograniczeń w sprzedaży, natomiast ci ostatni upierali się właśnie przy ograniczeniach.

Pan Zenek przerwał na chwilę sprzedaż i zażądał zdecydowanej odpowiedzi. Nastąpiła burzliwa wymiana zdań, w dwóch wypadkach doszło do niegroźnych rękoczynów i w końcu zdecydowano, że towar ma być ważony po kilogramie.

W ostatniej skrzynce został jeden banan. Kupiła go staruszka, którą kilkakrotnie odpychano od lady. Wówczas coś drgnęło w panu Zenku i poczuł żal, że sprzedał niebieskookiej całe pięć kilogramów bananów. „I tak już pewnie nigdy nie zobaczę tych pięknych oczu – pomyślał pan Zenek. – Teraz przez cały wieczór będę miał wyrzuty sumienia. Miłość mnie zgubi wcześniej czy później. Ale być może, takie jest moje przeznaczenie”. Z głębokim smutkiem wręczył staruszce ostatni owoc, a kiedy klienci, widząc puste skrzynki, gromadnie opuścili sklep, oparł się o półki z pomidorami i nareszcie otarł rękawem spływający z czoła pot. Potem zwrócił się do pańienek sklepowych: – Na dzisiaj dosyć! Narobiliśmy się za cały tydzień. – Po tych słowach przekreślił klucz w zamku, wywieszając kartkę na drzwiach: „Nieczynne z powodu dezynfekcji sklepu”. I jak już nieraz robił, poszedł na zaplecze, aby w skupieniu i do końca przeżyć jeszcze jedno rozczarowanie.

Rozdział XIV

Dobre rady mądrej wróżki, czyli pani Zuli

Problem urlopu pana Zenka wybuchł po prostu jak bomba. Pewnego razu kiedy pan Zenek miał zaszczyt rozmawiać ze swoim zwierzchnikiem, nadmieniając przy okazji, iż towar, który otrzymuje, nie zadowala go, nagle zwierzchnik (człowiek, który miał oczy w kolorze przywiedłej brukselki) wycelował w jego pierś wskazujący palec (pan Zenek zobaczył w myślach ten palec jako sztucer, a siebie jako dziką kaczkę, do której broń była skierowana) i

krzyknął: – A dlaczego pan, drogi panie, nie bierze urlopu? każdy ma, panie, nie tylko prawo, ale panie, obowiązek skorzystać z urlopu i pan, panie... jak panu tam... musi z tego obowiązku skorzystać! Za tydzień bierze pan urlop i basta!

Pan Zenek próbował się bronić, że teraz w środku sezonu warzywnego w żadnym wypadku nie może, że w ogóle nie ma załatwionych wczasów pracowniczych, że lepiej odłożyć to do zimy itd. Zwierzchnik jednak nie chciał o niczym słyszeć, nawet podał nie do zbitcia argument, że właśnie teraz – w środku sezonu – z warzywami jest gorzej niż kiedykolwiek, więc bez żadnej straty dla ludzkości pan Zenek może udać się, gdzie zechce. Wcale to nie muszą być wczasy pracownicze, które już wszystkim się przejadły, może być przecież wypoczynek pod namiotem, albo w jakiejś ustronnej leśniczówce, czy też w wiejskim domku, zwłaszcza że obecnie prymityw jest jak najbardziej w modzie.

Nie było odwołania od urlopu. Pan Zenek zostawił więc sklep z warzywami na łasce losu oraz panny Władzi i Jadzi, i pełen najgorszych przeczuć zaczął przygotowywać się do wyjazdu. Nie miał pojęcia, co zabrać ze sobą, bo jeżeli będzie chłodno, to płaszcz, swetry i kalosze, no i parasol na wypadek deszczu. A jeżeli nadejdą upały?... Nie ma mowy, żeby się obejść bez płóciennych spodni i kolorowych, cienkich koszul.

Pan Zenek siedział w swoim domu między dwiema stertami rzeczy: tych na upał i tych na chłody. Absolutnie nie mógł się zdecydować i wtedy przyszła mu desperacka myśl, aby udać się do pani Zuli, która była wróżką. Zapłaci sto złotych za seans wróżbiarski i rozwiąże wszystkie problemy.

Znał osobiście panią Zulę, ponieważ kupowała u niego większe ilości sałaty dla kilku żółwi, które trzymała w domu zamiast kotów. Pani Zula była wróżką postępową i uznała koty za przeżytek. Natomiast żółwie robiły na klientach dobre wrażenie, bo żółwie żyją bardzo długo, w związku z czym muszą mieć w sobie całą mądrość świata (takie było zdanie pani Zuli).

Skoro tylko pan Zenek wkroczył w półmrok mieszkania pani Zuli, ta zatrzymała go dłonią i słowami:

– Niech pan nic nie mówi! Wszystko wiem! Przed chwilą rozmawiałam z moimi żółwiami. Widzieliśmy krzyż na pana umęczonych barkach. Zielony krzyż! Proszę to sobie zapamiętać. Nie jestem w stanie wyjaśnić panu tego symbolu; burza się zbliża, więc czuję zawroty głowy. Może wpadnie pan innym razem...

– Niestety, droga pani – odpowiedział pan Zenek – zdecydowałem się dzisiaj na wyjazd. Chciałbym tylko prosić, jeżeli pani może się jeszcze na chwilę skupić... Proszę przypomnieć sobie, jak byłem ubrany, kiedy dźwigałem ten krzyż? Czy miałem ciepłe ubranie, czy raczej jakieś lekkie odzienie?

– Hm – zamyśliła się pani Zula – widzę jak przez mgłę... Ma pan na sobie jesionkę, ale tę podniszczoną, w której widywałam pana w ubiegłym roku i dziwne... białą czapkę przeciwśłoneczną, a na niej pilśniowy kapelusz. Dwa swetry... nie, trzy! A spod tych swetrów widać kilka kolorowych koszul. I chyba ma pan więcej niż jedną parę spodni... Bardzo dziwne, bo na nogach ma pan sandały, a w rękach trzyma pan buty z cholewkami. Niesłychane! Widzę pana z parasolem i z kołem ratunkowym na szyi! Ale najważniejszy ten krzyż! Zielony! Niech pan pamięta! A teraz proszę wybaczyć, ale muszę pana pożegnać. Wyczerpały mnie te wizje. Nic pan nie płaci! Mam nadzieję, że w dalszym ciągu będę otrzymywała u pana po znajomości świeżą sałatę dla moich żółwi. Ludzkość ucierpiałaby bardzo, gdyby zmarniały moje zwierzęta. Wspólnie odgadujemy losy świata. Życzę przyjemnej podróży!

Pan Zenek wyszedł od pani Zuli z przekonaniem, iż musi zabrać ubranie na wszystkie możliwe rodzaje pogody łącznie z gradobiciem. Co do wizji zielonego krzyża nie posiadał jeszcze żadnego zdania, ale niebawem tajemnica miała się wyjaśnić i to nawet tego samego dnia, kiedy wysiadł na stacji w Lipuszu. Nieraz przysłuchując się rozmowom klientów,

słyszał o tej miejscowości, że niezbyt daleko, a bardzo ładnie, lasy, jeziora wkoło i w miasteczku bez uprzedniego zamówienia można wynająć kwatery. „Będę sobie sam przyrządzać śniadania i kolacje” – pomyślał pan Zenek. „I to wyłącznie z jarzyn! Takie letniskowe miasteczko powinno być dobrze zaopatrzone w jarzyny”. Wsiadłszy z pociągu z tymi radosnymi myślami, najpierw wciągnął kilka razy w płuca sporą dawkę wiejskiego powietrza, potem potknął się kilka razy na kocich łbach w rynku i zapytał małą dziewczynkę, gdzie znajduje się sklep z warzywami, udał się we wskazanym kierunku. Zdziwił się odrobinę, zobaczywszy na półkach kilka rzędów butelek z różnymi gatunkami wódek oraz win, potem zerknął za szybę lady, gdzie na roztopionych w słońcu cukierkach szalały osy, potem przeniósł wzrok na ladę, gdzie tkwił samotny kawałek żółtego sera, dziwnie pomarszczony ze starości czy też ze smutku. Obok sera znajdowały się torebki z cukrem i mąką, a za ladą pyszniły się ogromne bomboniere jakby symbol bogactwa sklepu. Natomiast jarzyn oko pana Zenka nie mogło dojrzeć. Co prawda na wystawie leżał ogórek, ale tak zmaltretowany, jakby przed chwilą opuścił go straszliwy atak epilepsji i śmierć zawładnęła nim nieodwołalnie, piętnując go kolorem zgniłej żółci. Obok ogórka poniewierało się coś, co kiedyś może miało prawo nosić nazwę pęczka marchewki.

Pan Zenek nie chcąc tracić czasu, krzyknął poprzez tłum przy ladzie w kierunku ekspedientki:

– Czy są jakieś jarzyny? Bo jeżeli nie ma, to nie oplaca się stać w kolejce.

– Oczywiście, że są – odpowiedziała ekspedientka, więc pan Zenek pomyślał, że pewnie przechowują jarzyny w piwnicy, żeby nie więdły w słońcu. Stał cierpliwie około pół godziny, aż przysłała na niego pora i ekspedientka zapytała, czego sobie życzy.

– Jakież jarzyny, proszę pani. Jarzyny to samo zdrowie! Niech no panienska pokaże, co tam macie w swoich zapasach! – odkrzyknął ochoczo pan Zenek.

– To, co pan widzi – odpowiedziała udreżonym głosem ekspedientka.

– Nic nie widzę, proszę pani – odpowiedział pan Zenek rozglądając się dokładniej po sklepie.

– Jak to nic nie widzi! Chyba, że niewidomy... Trzeba było od razu powiedzieć, to by pan dostał poza kolejką. Jest ogórek i marchewka. Chce pan jedno i drugie?

– Chyba nie zechce mi pani wmówić, że te zgniłe odpadki, to właśnie ogórek i marchewka? – wyjąkał zbity z tropu pan Zenek.

– Jak babcię kocham! – krzyknęła ekspedientka wznosząc w górę coraz bardziej umęczone oczy. – Przyjedzie taki nie wiadomo skąd i zaraz mu się zachciewa świeżych jarzyn. Jakby tu był jakiś, z przeproszeniem raj, a nie normalny sklep. Tu jest miejscowość wypoczynkowa, a nie ogrodnictwo! Bierze pan czy nie? Bo ja nie będę dla pana jednego czasu tracić.

Pan Zenek wyszedł ze sklepu przygnieciony tobołami, które dźwigał, i gorzkimi myślami. „Jestem autentycznym, współczesnym męczennikiem – dumiał – i dźwigam na plecach krzyż ze starych ogórków i zgniłej marchwi! Zielony krzyż! Pani Zula miała rację. Ale niech inni dźwigają zielone krzyże w letniskowych miejscowościach. Ja wracam. Mimo iż jestem na urlopie, będę mógł po znajomości kupić w moim sklepie świeże jarzyny, które panna Władzia i Jadzia chowają na zapleczu dla specjalnych klientów”.

Rozdział XV

Jeżeli nie ma za co, to trzeba wypić za zdrowie pięknych pań

Po zakończeniu przymusowego urlopu pan Zenek siedział na zapleczu sklepu warzywnego pogrążony w daleko posuniętym smutku. Coś w nim łkało w środku, ale nie chciało się to coś nad wyraz smutnego wydobyć na zewnątrz. „Płacz oczyszcza duszę – pomyślał pan Zenek w pewnej chwili. – Jakby to było dobrze, gdyby mógł się wypłakać!”

Ponieważ jeszcze sporo czasu brakowało do otwarcia sklepu i nie istniała obawa, aby panna Jadzia i panna Władzia zjawiły się w ciągu najbliższej pół godziny, pan Zenek mógłby sobie pozwolić na płacz, nawet tak ogromny jak wielka ulewa. Ale płacz nie chciał przyjść. – Mam – krzyknął głośno pan Zenek. – Należy rozkroić cebulę i powąchać ją z bliska, a łzy natychmiast się pojawiają. Potem kiedy człowiek poczuje pierwszy smak słonych łez, szlochanie będzie kwestią sekund. – Pobiegł rażno do sklepu i zaczął grzebać w skrzyni z cebulą, pragnąc wyszukać jakąś ładną sztukę, godną jego wielkiego smutku, ale (co zauważył fachowym okiem) towar był raczej podły i tylko małe, karłowate cebulki przytulały się jedna do drugiej. – Co za towar?! Co za towar!!! – mruzczał z niezadowoleniem pan Zenek. – Będę musiał zwrócić uwagę w centrali, aby przysyłano porządny towar, w każdym razie cebule muszą być w lepszym gatunku! – Wybrał dwie cebulki, uznawszy, że powinny wystarczyć, zniknął z nimi z powrotem za kotarą oddzielającą zaplecze od sklepu i tam, wielkim nożem przekroił jedną cebulkę i przystawił ją do oczu. Zapieкло trochę, ale ani jedna łza nie spłynęła z oka. „Nie ma innej rady, trzeba posiekać” – pomyślał pan Zenek – i już ciach! ciach! ciach! – nóż spadał na cebulową okrągłość czyniąc z niej siekaninę. Siekając cebulę trzymał twarz jak najbliżej noża (o mało nie dźgnął się nim w lewe oko), piekło dosyć mocno, ale łzy jednak nie chciały się pojawić. „Wszystko przez te sztuczne nawozy! – Pomyślał z urazą (do nawozów) pan Zenek. – Przed wojną nie było mocnego, który by nie płakał krojąc cebulę. Na naturalnym nawozie! Ta zapiecze i już po krzyku”. – Tak się pan Zenek rozsierdził na małe piekące cebule, że aż zapomniał o swoim wielkim smutku. Z uczuciem zemsty dosiękał te dwie cebule do końca i nożem zgarnął wszystko w niewielki kopczyk. Wówczas właśnie wkroczyły do sklepu panna Władzia i panna Jadzia. Widząc pana Zenka przy tym gospodarskim zajęciu zawołały:

– Ojej! Co to dzisiaj za święto, że pan kierownik szykuje zagrychę??! – To był wykrzyknik ze strony panny Władzi.

– Trzeba skoczyć po tatar! (panna Jadzia). Jak pan kierownik pozwoli, to ja skoczę. Ile kupić? Pół kilograma chyba starczy do tej cebulki?... Ogóreczki mamy w sklepie i grzybki też. Ale fajnie tak zaczynać dzień od bankietu!...

Pan Zenek przyłapany na krojeniu cebuli, którego | to faktu nie był w stanie jakoś sensownie wyjaśnić, sięgnął do kieszeni po portmonetkę i odliczył sumę na pół kilograma tataru.

Panna Jadzia za moment była z powrotem.

– Władka! Skocz no! Wiesz gdzie... – zwróciła się konspiracyjnie do panny Władzi, która rzeczywiście natychmiast skoczyła do kwaciarni obok i wróciła z pękiem pachnących lewkonii. Potem przekręciła klucz w zamku i zawiesiła na drzwiach kartkę z napisem: „Przepraszamy! Remanent!” Teraz już rażnie panienki krzątały się razem. Znalazł się talerz, na którym tatar został wymieszany z cebulką. Z półek zniknął słoik ogórków i słoik grzybów

zielonek, przy czym za każdym razem pan Zenek odliczał pieniądze, sprawdzając uprzednio cenę na słoiku i należną sumę umieszczał w szufladzie za ladą.

– Panie kierowniku! A jakby tak przecenić grzybki, co? – zapytała panna Władzia filuternie mrużąc oko. – W każdym sklepie przeceniają tylko my nie.

Pan Zenek ani słyszeć nie chciał o podobnym oszustwie. Nawet zamierzał wygłosić krótką przemowę na temat uczciwości, ale właśnie panna Jadzia wniosła butelkę czerwonego wina i powiedziała:

– To wino ja stawiam! Za skarby świata nie zgodzę się, żeby pan kierownik płacił.

Panienki odkorkowały butelkę i rozlały wino do szklanek po musztardzie. Przysiadły na pustych skrzynkach i umieściwszy w panu Zenku podlizujące, słodkie spojrzenia zapytały równocześnie: – No więc, panie kierowniku, za co pijemy?

Pan Zenek zatrzymał rękę z kieliszkiem w połowie drogi do ust: Właśnie! Za co? Przecież nie powie im, że pije za swoje rozdarte serce. I w ogóle ten cały pomysł z bankietem nie miał żadnego sensu. Wszystko zawsze gmatwało się w jego życiu i skutki jego poczynań były niekiedy nieobliczalne, jak na przykład w tym wypadku: zaczął kroić cebulę, żeby móc się wypłakać, a skończyło się na nieprzewidzianym bankiecie. Co tu powiedzieć, żeby miało jakiś sens, ale nic nie znaczyło?

– Piję za zdrowie pięknych pań! – powiedział bardzo uroczyście pan Zenek. Smętnie patrzył w szparę zasłony dzielącej zaplecze od sklepu i sączył cierpki trunek. Nagle! Cóż to? Cudne dziewczęce usta, oczy i nosk przysunęły się do szyby sklepu, skupiając uwagę na kartce z napisem: „Przepraszamy! Remanent!” Nosek mocniej przycisnął się do szyby penetrując wnętrze sklepu.

Pan Zenek zerwał się od stołu z zamiarem natychmiastowego otwarcia drzwi, ale panna Jadzia i Władzia przytrzymały go za poły marynarki: – Niech pan da spokój! – powiedziała panna Władzia. – Nie będzie pan otwierał byle szantrapie, zwłaszcza że pan nie wypił do końca „zdrowia pięknych pań”.

Pan Zenek musiał wypić, chociaż prawdziwe piękno stało tam, za szybą sklepu...

Co tu dużo mówić?... Dla pana Zenka LOS zawsze był szelmą i kpiarzem.

Rozdział XVI

Pan Zenek nie chce być motylem Emanuelem

Pan Zenek wybiegł z domu, kierując się wprost do przystanku tramwajowego. Na ogół chodził pieszo do pracy, wzięwszy sobie do serca wszystkie audycje w radiu i telewizji na temat „biegu po zdrowie”. Co prawda nigdy nie biegł, bo chociaż hasło było modne i nikogo nie powinien zdziwić widok biegnącego pana w średnim wieku, jednak w rzeczywistości podrygujący ulicą mężczyzna w kapeluszu zawsze wzbudzał uczucia radości i ironii obserwujących go osób. Więc chociaż pan Zenek mógł za pomocą biegu zdobyć równocześnie zdrowie i zdążyć na godzinę otwarcia sklepu, obrał inny szybki sposób dostania

się do pracy: tramwaj. Wraz z dzwonkiem zapowiadającym odjazd pojazdu wskoczył na stopień, chwilę szamotał się z zatrzaśniętymi automatycznie drzwiami, jedną ręką trzymając się uchwyty, a drugą wygrażając konduktorce wewnątrz tramwaju. Rozsunęły się drzwi i pan Zenek dostał się do zatłoczonego środka, otrzymawszy z miejsca sporą porcję uwag na temat chuligaństwa, nieostrożności i braku odpowiedzialności osób, które mają już swój wiek, a zachowują się jak niedorozwinięte dzieci. Pan Zenek przyzwyczajony do tego, że sam karcił, a nie jego karcono, odpowiedział nieuprzejmie konduktorce, nadmieniając o jej gorzkim jak piołun usposobieniu, o braku poszanowania człowieka i o tym, że współczuje jej mężowi, o ile osoba z tak obrzydliwym charakterem zdołała w życiu zdobyć jakiegokolwiek męża.

W tramwaju powstała awantura. Część osób była za konduktorką, a część za panem Zenkiem. Jakiś opryszczony i spowity w brodę i wąsy wyrostek krzyknął: – Dziadziu! Niech dziadzio tak się nie ciska, bo apopleksja może dziadzia trafić!

Do tego momentu pan Zenek nigdy nie myślał o możliwości apopleksji, w tej jednak chwili, kiedy nazwano go „dziadziem”, poczuł straszliwe wzburzenie krwi, co istotnie mogło doprowadzić do apopleksji, zwłaszcza że obok stała przywarta do niego śliczna młoda dziewczyna, w której długich włosach spoczywał nos pana Zenka, jako że ktoś napierał z tyłu i po prostu wepchnął pana Zenka w te włosy i w tę dziewczynę. Dziewczyna, nie odwracając głowy, ponieważ ścisk w tramwaju uniemożliwiał jakikolwiek ruch, rzuciła w przestrzeń słowa, które jednak były skierowane wyłącznie do pana Zenka:

– Nie ma się co przejmować takim idiotą! On myśli, że jak jest młody, to już wygrał wszystkie kupony na loterii fantowej. Młody jest, ale głupi.

– Zamknij się! – padły słowa spomiędzy wąsów i brody. – Jakżeś taka dobra, to weź sobie dziadka na zawsze! Zasadzisz go w skrzynce na balkonie; może na wiosnę wypuści młode pączki!

Pan Zenek tak się zdenerwował, że aż dostał czkawki. – Proczę nie decydować o moim losie! – wykrzykiwał, a każde słowo było w kilku miejscach przedzielone czkawką. – Jakim prawem ktoś ośmiela się mówić o mnie i to w ten sposób?!

– To jest właśnie nasza młodzież! – odezwała się z naganą gruba pani bezpiecznie spoczywająca na miejscu pod oknem. – Ci zarośnięci to wszystko przyszli narkomani i przestępcy. Takich się powinno wytrzebić jak chwasty!

Atmosfera w tramwaju zaczęła przypominać nagle ożyły wulkan.

– Tak! Tak! – krzyknął ktoś z przodu tramwaju. – Brodaci nas zniszczą! Powinniśmy dobrać się do nich, zanim oni do nas się dobiorą!

Już kilkanaście rąk wyciągnęło się w kierunku brodatego, prawdopodobnie z zamiarem usunięcia go natychmiast z pojazdu, chociaż przystanek był jeszcze daleko.

– Gadanie... – odezwał się nagle głos motorniczego. – No to co, że facet ma brodę? Znałem takiego, co nie miał brody i był całkiem łysy, a torturował swoją żonę. Bił ją regularnie dwa razy dziennie. Krzesłem. Co miesiąc musieli nowe krzesła kupować, żeby ją miał czym bić.

Uwaga motorniczego powstrzymała chętnych do wyrzucenia brodacza. Opuścili ręce i w tramwaju zapanowała cisza. Wyczerpał się temat dziadków i brodatych młokosów.

Pan Zenek ciągle jeszcze trzęsąc się z oburzenia też nic nie mówił, bo po pierwsze nie miał nic więcej do powiedzenia, a po drugie dziewczyna stała ciągle blisko i jego nos bezkarnie coraz bardziej zagłębiał się w długie włosy w okolicy karku dziewczyny. Pan Zenek upoiwszy się zapachem włosów ostrożnie wznosił oczy w górę, obserwując pozostałą część właścicielki tych perfumowanych, złotych pasemek. Na samym czubku głowy pyszniła się jedwabna chusta w kolorze oranż, beż i fiolet, upięta ślicznie z tyłu głowy. „Istny cud natury!” – zachwycił się w myślach pan Zenek, patrząc na gładkie, pięknie sklepione czoło, które przechodziło we wspaniałą okrągłość głowy, a nie, jak to widywał u innych kobiet, w placek. Pan Zenek stwierdził, że inne kobiety mają czaszki jakby obcięte nożem. Ta

dziewczyna była wyjątkiem, obok którego nie sposób przejść obojętnie. Jeszcze bardziej przycisnął się do dziewczyny, trzymając ręce wyciągnięte w górę i uczone żelaznych uchwytów; w ten sposób pragnął niejako ochronić ją przed kolebiącym się we wszystkich kierunkach tłumem.

Brodaty chłopak nie odzywał się, ale wzrokiem ostrym jak sztyletami kłuł bez przerwy pana Zenka, zwłaszcza zatrzymując się dłużej na nosie. To w pewnym sensie sprawiło pana Zenka w niepokój, tak że dał spokój włosom dziewczyny i niby niechcący podrapał się po nosie, potem ręka wróciła do poprzedniej pozycji na żelaznym uchwycie u góry, blisko głowy jasnowłosej. Pan Zenek nie odważył się przemówić głośno, ale w myślach wypowiadał najpiękniejsze, poetyczne słowa, które miały odzwierciedlać stan jego serca i duszy. Wszystko dotyczyło prześlicznego kształtu głowy dziewczyny. Właśnie przemawiał w myślach: „pani główka jest jak korona maku. Cudna łodyżka szyi uwieńczona szlachetną okrągłością makowej główki”. W tym momencie przypomniał sobie rysunkowy film z telewizji: „Makowa panienska” i poczuł się jak motyl Emanuel, który zawsze asystował makowej paniencie. Westchnął z głębi motylego serca i wówczas stało się coś strasznego! Motorniczy gwałtownie zatrzymał tramwaj, gdyż właśnie przez szyny przechodził jamnik (zamyślony filozof, albo samobójca). Motorniczy jako człowiek kochający zwierzęta nie mógł się zgodzić na śmierć jamnika. Tramwaj zgrzytnął wszystkimi hamulcami, a pasażerowie gruchnęli na siebie jak dojrzałe gruszki, spadające na trawę podczas zawieruchy. Ręce pana Zenka zostały prawie że wyrwane ze stawów, a w każdym razie oderwane od żelaznego uchwytu i z całym rozmachem spadły na głowę dziewczyny. Guzik od rękawa zaczepił się o chustkę i ściągnął ją w dół. Pan Zenek osłupiał dosłownie jak Szymon Słupnik; kiedy chustki już nie było na głowie dziewczyny, ukazały się... nie do wiary! – reformy damskie (w dodatku podniszczone) przymocowane spinkami do włosów! „Ach! Więc to było powodem ślicznego kształtu głowy” – pomyślał z goryczą pan Zenek i natychmiast wykreślił z myśli siebie jako motyla Emanuela. „Jestem idiotą po tysiąc razy! Zawsze daję się nabrać, jakbym nie wiedział, że świat jest jednym, wielkim szalbierstwem!” Być może pan Zenek nie pomyślałby tak i może nawet podarowałby dziewczynie to drobne uzupełnienie głowy, gdyby nie wąsaty i przyszczaty brodac, który przycisnął się przez tłum i nakrywając swoją czapką głowę (szamoczącej się z bielizną we włosach) dziewczyny, powiedział: – A mówiłem ci w domu, żebyś nie przypinała tych majtek! Ale ty zawsze swoje, bo ty musisz być śliczna! Dobrze ci tak, za to żeś się ze mną pokłóciła! – potem wyprowadził ją z tramwaju i pan Zenek widział z daleka, jak idą objęci, a młody, wstrętny brodac całuje dziewczynę w okolicach oczu – widocznie kapały z tych oczu łzy.

„Jestem kretynek! – pomyślał jeszcze raz pan Zenek. – Co za pomysł, żeby chcieć być motylem Emanuelem u boku makowej panienski?! Już w życiu nie będę oglądał tego programu w telewizji!” I pan Zenek dotrzymał słowa.

Rozdział XVII

To nie las ! To śmierć w leśnej postaci !

W sobotę urządzono grzybobranie. Nie dla wszystkich pracowników handlu, gdyż nie sposób, aby z powodu grzybów zamknięto sklepy w całym mieście. Postanowiono, iż pracownicy będą grupami wysyłani do lasu, aby się trochę zrelaksować oraz wyładować nagromadzone we wszystkich manie zbieraczy.

Pan Zenek, jak dotąd, gardził tego rodzaju rozrywką i wypoczynkiem. Nawet widział pewną pospolitość w tych gromadnych wyjazdach i dziwił się, że ludzi nie stać na indywidualne wyszukiwanie przyjemności dla siebie. Jednak jak to zwykle bywa, powoli można się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do wspólnego grzybobrania, które stało się już prawie nakazem mody. Do tego jeszcze pan Zenek zaczął odczuwać pewne trudności w oddychaniu i to zadecydowało, że postanowił wybrać się na grzyby, aby „pooddychać lasem” i dotlenić się, co z pewnością będzie z korzyścią dla zdrowia i być może nada ładniejszą barwę jego cerze, która normalnie przypominała swoim kolorem pasztetówkę.

W sobotę rano, zaledwie zaczęło szarzeć, pan Zenek opuścił ciepłe łóżko i rozpoczął przygotowania do wyprawy na grzyby. Na wszelki wypadek wziął ze sobą dwa noże: jeden mały, na takie mniejsze grzybki i drugi ogromny, gdyby trafiły się jakieś wielkie grzybiska. W sprawie koszyka musiał stoczyć ze sobą walkę; koszyk byłby najodpowiedniejszy, ale mężczyzna z koszykiem wydawał mu się postacią niepoważną. Siatka też była nieodpowiednia, gdyż przez dziurki z pewnością powylatywałyby mniejsze grzybki. Zdecydował się na zabranie foliowego woreczka, który można ukryć w kieszeni, jeżeli nie znajdzie się grzybów. „Ale co będzie, jeżeli okaże się, że grzybów jest zatrzęsienie?” – zastanowił się i zabrał wielki foliowy worek, w którym kiedyś zakupił kołdrę. Zjadł szybko śniadanie, ugotował kilka jaj na twardo, które postanowił zabrać ze sobą w charakterze obiadu, i stwierdziwszy, że zostało mu bardzo niewiele czasu, pobiegł na punkt zborny, gdzie oczekiwał JUŻ prawie całkowicie zapełniony autobus. Pan Zenek zajął miejsce z tyłu, w samym kącie, obok mężczyzny, który trzymał nogi w ogromnym koszu, jako że miejsca było niewiele, a każdy miał jeden kosz, albo nawet i kilka. Niektórzy ponakładali sobie nawet kosze na głowę. Skoro tylko autobus ruszył, pan Zenek pogrążył się w drzemce. Majaczył mu się las pachnący igliwem i żywicą. W sennym zamroczeniu nie mógł tylko pojąć, czemu z tymi leśnymi zapachami miesza mu się zapach gorzelni?... Nie wiedział, iż dla sąsiada obok podstawę pierwszego śniadania stanowił spory łyk z butelki, którą wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki. Po tym łyku nastąpił drugi łyk i trzeci. Pan Zenek śnił ciągle swój leśny sen, w którym oczywiście znalazła się także i piękna boginka; biegała po lesie z małym nożykiem w ręce, a złote włosy prześwitywały przez gałęzie niczym promienie porannego słońca. Po pewnym czasie autobus gwałtownie szarpnął. – Koniec podróży! – kierowca wydał rozkaz rozejścia się i zjawienia punktualnie o godzinie szesnastej. – Jak się kto spóźni, to będzie wracał na własną rękę – powiedział kierowca. – Ja nie będę czekał i zbierał pijanego narodu po lesie!

Pan Zenek zdziwił się, dlaczego kierowca wspomina o pijanym narodzie? Przecież przyjechali do lasu na grzyby, a nie na jakiś zjazd absolwentów, który ewentualnie mógłby

mieć podobne zakończenie. Niedługo jednak miał okazję przekonać się, że grzybobranie ma tę wspólną cechę ze zjazdami absolwentów. Właśnie kiedy pogrążony w gęstwinie leśnej wypatrywał choćby widoku muchomora, który także jest grzybem i choć nie nadaje się do spożycia, sprawia jednak przyjemność zapowiedzią, że skoro w lesie są muchomory, powinny być także i grzyby jadalne, natknął się w krzakach na coś miękkiego. Już krzyk przerażenia miał się wydobyć z jego gardła (sądził, iż natrafił na ciało nieboszczyka), kiedy martwo leżąca postać przemówiła:

– Mógłby się pan trochę rozglądać, po czym pan depce! A jakby tu rósł borowik, to co? Wlazłbyś pan na niego obcasem? Łachudra z pana, a nie prawdziwy grzybiarz!

Pan Zenek nawet nie zareagował na obraźliwe słowa, tak bardzo zainteresowała go leżąca postać.

– Czy mógłbym spytać, dlaczego właściwie pan tutaj leży? – zapytał uprzejmie.

– Leżę, bo czekam, aż jakiś grzyb przede mną wyrośnie – odpowiedział mężczyzna i wyciągnął rękę, w której błysnął kozik. – Podetnie się nóżkę grzybka i po krzyku. – Był to ten sam osobnik, który siedział obok pana Zenka w autobusie, trzymając nogi w ogromnym koszu. – Ale panu radzę uważać – dodał przyjrzawszy się panu Zenkowi. – Znajdzie pan „truciciela” i żegnaj życie! Umiera się cholernie długo. Jakby co, to niech pan pamięta: najpierw są zaburzenia wzrokowe, potem nudności i senność, a potem już nikt pana nie odratuje.

Pan Zenek nie słuchał dalej, tylko pobiegł w las ratować ludzkość. „Trzeba absolutnie ostrzec wszystkich! Przecież to pułapka! Te grzybobrania urządzi się zapewne w tym celu, aby pozbyć się pewnych pracowników! Dlaczego właśnie mnie zaproponowano wyjazd na grzyby! Oczywiście ktoś czyha, aby zająć miejsce kierownika sklepu warzywnego!” Biegając po lesie nie mógł znaleźć nikogo z tych wszystkich, którzy dobrowolnie szykowali sobie śmierć. Nagle zobaczył śliczną blondynkę, zupełnie taką jak owa ze snu. Niosła kosz pełen grzybów. Pan Zenek nie zastanawiając się wiele, chwycił ją za rękę i zdenerwowany zapytał:

– Można wiedzieć, w jakiej branży pani pracuje?

– W Delikatesach, przy wędlinach – odpowiedziała nieco zdziwiona blondynka.

– To mi wszystko tłumaczy! – krzyknął pan Zenek. Na pani miejsce czyha co najmniej pięćdziesiąt innych ekspedientek! Gdyby pani pracowała w pasmanterii, na pewno nie zaproponowaliby pani grzybobrania. Jeden trujący grzybek i już po pani będzie wolne miejsce przy wędlinach!

– O czym pan mówi? – zapytała strwożona dziewczyna, ale zaczęła z pewnym podejrzeniem spoglądać na śliczne borowiki.

– Jeden facet, dobrze poinformowany, powiedział mi, że w tym lesie wszystkie grzyby są trujące (pan Zenek nawet nie spostrzegł, że sieje plotkę, tak mocno pracowała jego wyobraźnia). To nie jest las! To jest śmierć w leśnej postaci! Jest pani piękna i szkoda pani życia!

Blondynka przyglądała się panu Zenkowi. Wydawało się jej, że jest przewrażliwiony, jednak tyle się ciągle słyszało o zatruciu grzybami, że zaczęła tracić pewność, czy aby zebrane grzyby nie skrócą jej życia. Pan Zenek był przekonujący w swoich argumentach i tak obrazowo odmalował męki śmierci po zatruciu grzybami, że w pewnej chwili, w okolicy małego zagajnika, wysypała całą zawartość koszyka na trawę. Wychodząc z panem Zenkiem z lasu, nabrała do niego sympatii. Nie wydawał jej się co prawda śliczny, jak pewien ekspedient z samu spożywczego, ale doszła do wniosku, że charakter najbardziej się liczy w człowieku. Postanowiła umówić się z nim na kawę. „W dzisiejszych czasach nieczęsto zdarza się uczciwy mężczyzna. Jeżeli nie jest żonaty, to można by nawet rozważyć ewentualność małżeństwa z takim człowiekiem” – pomyślała. W subtelnych słowach wyraziła mu swoje myśli. Pan Zenek zataczał się ze szczęścia jak pijany. Co chwila groził mu upadek, bowiem

nie widział wystających korzeni, nie widział nic, oprócz wspaniałej przyszłości, w której blondynka była punktem centralnym.

Kiedy znaleźli się w autobusie i kierowca dał sygnał powrotu, z lasu zaczęli się wysypywać ludzie z koszami pełnymi grzybów. Na końcu siedł mężczyzna, który czekał, aż grzyby przed nim wyrosną, i również dźwigał swój kosz, z którego wyzierały rozkoszne borowiki.

– No i co? Nie mówiłem, że grzyby same do mnie przyjdą? – powiedział spostrzegłszy pana Zenka. – Leżały obok mojego zagajnika i tylko czekały, żebym je pozbiierał. I to nie były zajączki, ale borowiki pierwszej klasy!!!

Blondynka spojrzała na grzyby, w których rozpoznała okazałe sztuki ze swoich zbiorów. „I ja takiemu człowiekowi chciałam oddać rękę! – pomyślała, patrząc z odrazą i wzdrganiem na pana Zenka. – Jak to można się zawieść na ludziach! Chciał mnie niby ratować przed zatruciem, a był po prostu w zмовie z tym pijakiem!” Odrzuciwszy w tył gęstwinę złotych włosów, przeszła dumnym krokiem przez autobus i zajęła miejsce obok przystojnego subiekta z samu spożywczego.

Pan Zenek domyślił się, iż szczęście znowu przemknęło obok jego nosa; pociemniało mu w oczach, zaszumiało w głowie, poczuł się tak, jakby zjadł pełną miskę najbardziej trujących grzybów. Ten dzień miał zatruty do końca!

Rozdział XVIII

A gdyby tak zmienić zawód?...

Istnieje przekonanie, iż właściciele psów po pewnym czasie upodabniają się do swoich ulubieńców. A może po prostu człowiek bezwiednie kupuje takiego psa, który jest podobny do niego?... Pan Zenek zwiąawszy się z zawodem sprzedawcy warzyw, coraz bardziej przypominał towar, który każdego dnia oferował swoim klientom: był długi jak szparag, oczy miał jak dwie, jeszcze niezbyt dojrzałe cebulki, nos niczym pewien gatunek białej rzodkiewki, tylko z nieco mniej szpiczastym zakończeniem, cera przypominała późnowiosenny kartofel, kiedy to gładkość kartofla się kończy i zaczynają wyskakiwać wzgórki kłębów, włosy w swoim kolorze nie przypominały zwiędłego szczypiorku, ale w fakturze owszem. Pan Zenek mimo wszystko uważał siebie za przystojnego mężczyznę, zwłaszcza że nigdy nie przyszło mu do głowy porównywać jakiegokolwiek części swojej powierzchowności z którymś z gatunków warzyw. Posiadając wiarę w swój korzystny wygląd, nie mógł pojąć, dlaczego tak długo przyszło mu tkwić w kawalerskim stanie. Oczywiście o tym, aby miał związać swój los z pierwszą lepszą kobietą nie było mowy. Tylko osoba, która by umiała wzbudzić w nim wzmożone bicie serca, mogła wchodzić w rachubę. Nigdy na przykład nie biło mu mocniej serce, kiedy patrzył na panny Jadzię czy Władzię. Mogły stać obok niego za kontuarem, mogły nawet mizdrzyć się i zwracając się do niego: „panie kierowniku” uśmiechać się czule, on był jak soplek lodu. Pan Zenek wiedział, że wielka miłość musi przyjść niespodziewanie, a

panna Jadzia i Władzia przychodziły zwyczajnie i po prostu (na ogół z małym opóźnieniem) i stawały za ladą sklepu, gotowe do pracy.

„Chyba zmienię zawód – pomyślał pan Zenek, przesypując czosnek z worka do skrzynek. – Jakie szanse może mieć mężczyzna uganiający się cały dzień między główkami kapusty i stertami ogórków? Kobiety wchodząc do sklepu interesują się tylko tym, czy jabłka nie mają plamek na skórce, albo czy pomidory są na pewno krajowe. Nic ich nie obchodzi człowiek, choćby był nawet samym kierownikiem, jak w jego przypadku. Trzeba sobie znaleźć taką pracę, która zjednywałaby mu sympatię kobiet. Pomyślmy... co kobiety najbardziej lubią?... „Mam! – krzyknął w duchu pan Zenek. – Oczywiście! Kobiety najbardziej lubią dostawać listy! Zostanę listonoszem!”

Worek z czosnkiem wymknął się z drżących rąk pana Zenka i czosnkowe kulki potoczyły się zza lady aż na środek sklepu. Panny Jadzia i Władzia z normalnym u nich odruchem ociągania się zabrały się do zbierania czosnku. Przykucnięte za ladą, widząc nieprzytomne, wpatrzone w dal oczy pana Zenka, robiły głupie miny w jego kierunku. Pan Zenek pochłonięty sprawami nieprzeciętnej wagi nie wydał rozkazu: „proszę się pośpieszyć ze sprzątnięciem tego czosnku”, co każdego innego dnia by uczynił, dzisiaj jednak czosnek był mu tak daleki jak Morze Egejskie i tak obojętny, jak stan zdrowia jakiejś ryby albo zwykłej gęsi. Po prostu warzywa przestały istnieć dla niego jako problem. Bez słowa skierował się na zaplecze sklepu. Usiadł na wywróconej do góry dnem skrzynce po cytrynach i oddał się rozmyślaniom. Widział już siebie w dobrze dopasowanym uniformie listonosza, torba przewieszona przez ramię niczym sakwojaż do dalekiej podróży, uśmiech na twarzy, ręka wyciągnięta do dzwonka... Drrrr, brzęczy dzwonek. Słychać drobne kroczki. Stukają obcasiki pod ślicznymi stópkami. „Kto tam?” Zadaje pytanie melodyjny głosik. „A to ja. Mam dla pani lotniczy z Ameryki”... Nim uchyla się drzwi, już się czuje ten upajający, a wytworny zapach perfum. „Tak lubię, jak pan do mnie przychodzi z dobrymi wiadomościami” powie ona i poprosi, żeby na chwilę wstąpił. „Tylko co sparzyłaś świeżą kawę. Wypije pan ze mną? Na dworze ziąb, a u mnie przytulnie i ciepło”.

Pan Zenek, siedząc na skrzynce po cytrynach, przeżywał wszystko tak sugestywnie, że chociaż dzień był ciepły – czerwcowy, wzdrygnął się najpierw z zimna, potem poczuwszy się w ciepłe przytulnego mieszkanka aż się zaczerwienił, tak mu się zrobiło nagle błogo. Rozparł się wygodnie i przymrużywszy oczy przyglądał się urojonej piękności, nawet już wyciągnął rękę po filiżankę z kawą, kiedy na zaplecze zajrzała panna Władzia i krzyknęła:

– Panie kierowniku! Przywieźli cały samochód melonów! Niech pan zaraz leci, bo trzeba podpisać odbiór!

Pan Zenek, z ciągle jeszcze wyciągniętą ręką zerwał się ze skrzynki. Chwilowo nie mógł skojarzyć nowego zawodu listonosza z melonami. Nawet nie posłyszał szmeru, jaki wydaje rozdzierająca się nogawka spodni. Kawalek bielskiej wełny został uczepiony do gwoździa skrzynki, reszta nogawki wyglądała jakby ją ktoś zgrabnie przeciął nożyczkami. Fragment długich płóciennych kalesonów bielił się. W rozcięciu nogawki spodni figlarnie dyndały tasiemki intymnej bielizny.

– Gdzie jest ten facet z melonami??! – zapytał z wściekłością w głosie pan Zenek. – Nie przyjmę żadnych melonów, bo ich nie zamawiałem! – Z tymi słowami wybiegł na ulicę, gdzie stał olbrzymi wóz ciężarowy. Był zdecydowany nie przyjąć melonów. I tak mu już na tej pracy nie zależało.

Za chwilę panna Jadzia i Władzia, piszcząc i zataczając się ze śmiechu, obserwowały kierownika, który najpierw z groźną miną zastukał w szybę szoferki, a kiedy stamtąd wychyliła się głowa bardzo pięknej dziewczyny, kierownik zatrzymał się zdumiony, potem sam osobiście otworzył drzwi szoferki i podając rękę dziewczynie-kierowcy zamierzał sprowadzić ją po schodku, ona jednak zeskoczyła szybko i spojrzawszy na spodnie pana Zenka, zaczęła się śmiać, tłukąc się aż rękami po głowie. Pan Zenek spojrzął w kierunku

wzroku dziewczyny i bez słowa, pędem przemknął przez sklep. Kiedy znalazł się na zapleczu, kopnął ze złością skrzynkę po cytrynach. „Idiota! Kretyn! – obrzucał siebie w myślach obelgami. – Moje najlepsze spodnie diabli wzięli i w dodatku straciłem znowu wielką szansę! Co za dziewczyna! I ona właśnie musiała mnie w takim stanie zobaczyć! Nie daruję sobie tego nigdy! Oto jak człowiek sam potrafi zniszczyć swoje wielkie szczęście!”...

Rozdział XIX

Trzeba wyjść naprzeciw losowi !

Pan Zenek zawsze sam osobiście układał warzywa na wystawie swojego sklepu. Robił to dlatego, iż uważał, że drzemie w nim dusza artysty. Właśnie zawiesił warkocz czosnku i zrobiwszy krok w tył przyglądał się pełen zachwytu: te czosnkowe owoce wyglądały jak wielkie łyzy nanizane na łyko. Pan Zenek marzył, aby zostać artystą malarzem i móc utrwalić na płótnie ten przepiękny, pełen poezji obraz. Kiedy tak stał wpatrzony w czosnkowe łezki, panna Władzia i panna Jadzia porozumiewawczo szturchnęły się łokciami i Władzia szepnęła w ucho Jadzi:

– Nasz stary pewnie ma robaki! Ty tylko zobacz, jak się wpatruje w czosnek!

Panna Jadzia nie bardzo mogła zrozumieć myśl koleżanki.

– No, jak nasz pies miał robaki, to mu się zawsze podawało w kulce mięsa czosnek – wyjaśniła panna Władzia.

Przed sklepem zatrzymała się elegancka kobieta z włosami koloru sarniej skórki. Spojrzała na pana Zenka i poszła dalej.

„Otóż to! – dumiał pan Zenek naprzeciw warkocza czosnku. – Nigdy nie zdobędę żadnej kobiety będąc tylko kierownikiem sklepu warzywnego. Żadna z nich nie wie, jakie struny dźwięczą w mojej duszy. Nie mogę przecież ni stąd ni zowąd powiedzieć klientce, która mi się podoba: Pani wie, że we mnie jest coś z artysty?”

Pan Zenek nerwowo zaciskał ręce ciągle wpatrzony w czosnek. Szukał rozwiązania dla dramatu swojego życia. I znalazł. Doszedł do wniosku, że trzeba zadziałać. Trzeba niejako wyjść naprzeciw losowi. I wyszedł. Wyszedł ze sklepu, aby udać się do Domu Prasy, gdzie mógłby zamieścić odpowiednie ogłoszenie matrymonialne. Dziwił się sam sobie, że do tej pory na to nie wpadł! Idąc do kolejki elektrycznej układał w myślach treść takiego ogłoszenia – „Mężczyzna w średnim wieku, na stanowisku, z bogatym życiem wewnętrznym...” To mu się wydało niezbyt precyzyjne, bo stanowisko nie wiadomo jakie i bogactwo życia wewnętrznego nie określone... „Jakby to najkrócej i jak najdokładniej przedstawić?” – męczył się całą drogę aż do Gdańska. Idąc do budynku Prasy ciągle jeszcze nie był zdecydowany. Pochłonięty swymi myślami, które po prostu targały nim we wszystkie strony, nagle znalazł się w obszernym hallu, gdzie zatrzymał się, nie wiedząc, w jakim kierunku się udać, aby dostać się do działu ogłoszeń. Wprawdzie zauważył z boku portierkę (która właśnie jadła obiad), jednak mina portierki nie spodobała mu się i postanowił sam znaleźć drogę nie pytając

nikogo. Energicznie odbił w lewo od drzwi hallu i po schodach zszedł do sali, która mu się wydawała na pierwszy rzut oka biurem, z olbrzymią liczbą redaktorów i redaktorek, kiedy jednak wzrok jego przebił się przez gąszcz papierosowego dymu, zauważył, że siedzący przy stołach piją coś i jedzą; więc chyba to nie biuro? A może i biuro, ale właśnie w trakcie przerwy na obiad? Postanowił zgłębić to dokładniej i zbliżył się do pierwszego stolika pod filarem.

– Chce pan usiąść? – zapytała urocza kobieta z włosami zaczesanymi gładko i przewiązanymi z tyłu jakimś gałgankiem. – Proszę bardzo, jest jedno miejsce wolne – padły dalsze słowa i pan Zenek niechcący zauważył, że zwracająca się do niego pani posiada prześliczne bioderka jak chłopiec. Był oczarowany. Nigdy nie widział, aby w jakimkolwiek urzędzie tak rozkosznie zapraszano petenta do zajęcia miejsca i to jeszcze przy tym samym stoliku, gdzie się urządzuje. Podziękował grzecznie i usiadł zupełnie jak automat, nie przestając wpatrywać się w tę urokliwą twarz.

– Co ty jesz, Teresa? – zapytała druga, równie piękna kobieta, tyle że z włosami rozpuszczonymi na ramiona.

– Chyba wezmę schab – powiedziała Teresa. – A ty, Ala, co bierzesz? – zwróciła się do tej z rozpuszczonymi włosami. (Pan Zenek nie wiedział, którą kocha bardziej... chyba obydwie).

– Nie ma znowu takiego wyboru. Jest jeszcze tylko fasola po bretońsku. Ja też wezmę schab. Przyniosę dla ciebie i dla mnie – odpowiedziała Ala.

Główka z gładko upiętymi włosami zwróciła się do pana Zenka, który w ogóle nie mógł uwierzyć, że słyszy następujące słowa: – Radzę panu też zaraz na coś się zdecydować. Za chwilę nawet fasolki po bretońsku zabraknie.

Gdyby pan Zenek zjadł przed chwilą całego prosiaka i ten dodatkowy posiłek mógłby mu grozić śmiercią, nie zrezygnowałby za żadne skarby świata! Być tak mile zapraszany i móc jeść w towarzystwie najpiękniejszych kobiet!... Chociaż pan Zenek nie pamiętał żadnego faktu związanego z jego przyjściem na świat, mógłby w tej chwili przysiąc, że z całą pewnością urodził się w czepku! Całkowicie oszołomiony pobiegł za panią Alą do bufetu, gdzie po otrzymaniu zamówionych potraw zaczął po prostu szaleć, upierając się, że on zapłaci za wszystkie trzy obiady – jest dżentelmenem i nie pozwoli, aby kobiety, w których towarzystwie ma zaszczyt przebywać, płaciły za siebie.

Pan Czesio przyglądał się temu zajściu z ironicznym uśmiechem. Pan Czesio pracował w „Dzienniku Bałtyckim”, a pani Teresa i Ala w „Wieczorze Wybrzeża”, zawsze więc korzystał z okazji zakropienia kapką ironii każdego wydarzenia, które miało związek z konkurencyjną redakcją.

– Co się stało? Co się stało? – zapytała jeszcze jedna urocza czarnula, siedząca przy stoliku obok bufetu.

– Cześć, Ala – powiedziała Ala stojąca przy bufecie do Ali przy stoliku. – Nic się nie stało. Po prostu mamy tu kogoś nadzwyczajnego, kto upiera się, żeby za nas płacić.

– No proszę! – zwróciła się do siedzących obok mężczyzn ta druga Ala. – Na świecie są jeszcze prawdziwi dżentelmeni, a wam to się nawet nie chce zdjąć płaszcza z wieszaka i podać kobiecie.

Panowie puścili mimo uszu uwagę, a pan Zenek, który po prostu rozlatywał się z dumy, zdołał się jakoś pozbierać i wyrwawszy pani Ali z rąk talerze (swój uprzednio umieścił na przedramieniu), pomaszerował w stronę ich stolika. Panie, Teresa i Ala, skubiąc przytwardy schab, przyglądały się spod oka panu Zenkowi.

– Czy my się skądś nie znamy? – zapytała pani Ala, żując z trudem ostatni wieprzowy kąsek. – Jak panu na imię?

– Zenek – odpowiedział bez wahania pan Zenek.

– Pan Zenek??! – ucieszyła się pani Ala klaszcząc w ręce. – I jest pan kierownikiem sklepu warzywnego, zgadza się?

– Zgadza się co do joty – znów odpowiedział pan Zenek. – Ale jak pani na to wpadła, można zapytać?

– Właśnie jestem w trakcie czytania książki „Miłosne niepokoje pana Zenka”... Bohater tej książki to wypisz wymaluj pan! No, a skoro jest pan kierownikiem sklepu warzywnego, to już nie może być żadnych wątpliwości! Wczoraj przy kolacji byłabym się zadławiła budyniem; właśnie czytałam rozdział o grzybobraniu... Teściowa twierdzi, że nie powinno się czytać przy jedzeniu, ale sama wyrwała mi książkę z ręki, żeby zobaczyć, z czego się tak śmieję, i już mi jej nie oddała. Do rana słyszałam jak rechoce ze śmiechu w swojej sypialni. Potem oczywiście zasnęła i nie zdążyła wstać, żeby nam zrobić śniadanie.

Pan Zenek zakrztusił się schabową kostką. Wstał, cały czerwony, z trudem wybełkotał – przepraszam – i wyszedł, a raczej wybiegł z budynku Prasy. Całkiem zapomniał, że przyszedł tu w celu umieszczenia ogłoszenia matrymonialnego. Już nie miał ochoty wychodzić naprzeciw losowi. Straszny los wyszedł naprzeciw niego! Biegł ulicą i w popłochu myślał: „Chryste Panie! Kto i w jaki sposób dowiedział się o mnie??! Ta sprawa pachnie mi polityką! Ktoś musiał mnie śledzić! Może jakieś obce mocarstwo chce mnie skompromitować? Tylko w jakim celu??! A może chcą mnie użyć jako eksperymentu i wysłać w kosmos? Myszy i psy już wysyłali, czemu mieliby nie wysłać sprzedawcy warzyw?... Pewnie chcą wypróbować, jak na księżycu rozwijałyby się interes z warzywami. Podobno co bogatsi Amerykanie wykupili już sobie tam działki. Nie dam się nabrać na ten numer! Chociaż moje życie nie jest tkaniną z tęczy kolorów, wolę się trzymać ziemi. Zresztą mam lęk przestrzeni. Gdyby mnie nawet nie wiem jaka kariera czekała na innej planecie, nie wybiorę się tam. I skąd można wiedzieć, jakie oni tam mają kobiety?... Może wyglądają jak pająki?... Lubię piękne nogi, ale tylko dwie, a taka pajęczka piękność miałaby ich sześć. Obrzydliwość! I chitynowy pancerzyk zamiast biustu!... Długo możecie czekać, zanim mnie ujrzycie w księżycowym pejzażu!... Swoją drogą, należałoby jednak zdobyć tę książkę i dowiedzieć się wszystkiego. Ostatnia pozycja, jaką czytałem, to »Potop«. Trzeba będzie nadrobić braki, zwłaszcza w literaturze współczesnej”.

W niewielkiej odległości od budynku Prasy znajdowała się księgarnia. Pan Zenek krążył długo, spoglądając przez szybę wystawową na panie obsługujące klientów. Najpierw nasunęło mu się spostrzeżenie, iż w księgarni obsługa odbywa się w sposób nadzwyczaj wytworny i uprzejmy, w przeciwieństwie do sklepu, w którym był kierownikiem. I o dziwo! Każda książka zostaje nie tylko zawinięta w delikatny papier, ale jeszcze przewiązana sznureczkiem! U niego w sklepie po prostu wpychano towar do siatek, a klient, który dopraszał się kawałka papieru celem zawinięcia oblepionej gliną marchwi, zawsze został skarcony przez pannę Władzię, czy Jadzię, które niezmiennie powtarzały: – Jakbyśmy chciały do byle marchewki dodawać papier, to by trzeba wszystkie lasy w kraju wyrąbać. Należy myśleć, kiedy się wychodzi z domu kupić jarzyny, i zabierać ze sobą papier!

Pan Zenek nie mógł się zdecydować na wejście do księgarni; lękał się ponownego rozpoznania: jeżeli wejdzie i rozlegną się chóralne śmiechy, może to przypłacić życiem! Już i tak trząśnięcie ze zdenerwowania i czuł napływającą gorączkę. Jednak nie chciał zrezygnować z kupna książki. Musiał się przecież dowiedzieć, co oni jeszcze o nim wiedzą. „Należy się zamaskować” – pomyślał. W tym celu podniósł wysoko kołnierz marynarki, tak że twarz do połowy była zakryta, i kapelusz wcisnął tak głęboko na oczy, że prawie nic nie widział. Wszedł bardzo energicznie i skierował się do osoby, która wydała mu się najsympatyczniejsza (mimo zdenerwowania potrafił jednak odróżnić kobietę śliczną, od mniej ładnej). Stał przed panią, która wyróżniała się gęstą czupryną zakończoną półkolistą grzywką, pod którą zieleniły się lekko skośne oczy. W środku twarzy tkwił mały, zadarty nosek.

– Czym mogę panu służyć? – słowom towarzyszył czarujący uśmiech.

„Rozkoszna szelmotka! I głosik ma taki lekko schrypnięty” – pomyślał pan Zenek nieco rozanielony.

– Zapewne coś z beletrystyki? Coś co się przyjemnie czyta w łóżku? – znów uśmiech i grzywka podskoczyła nad skośnymi oczami. – Musiał się pan przeziębic. Dzisiaj taki piękny dzień, a pan zakryty aż po brodę. Oj! Trzeba na siebie uważać! Przy naszym klimacie i w lipcu można złapać grypkę. Ale proszę się nie przejmować; poleży pan dwa dni w łóżeczku i wszystko przejdzie. Znajdę panu odpowiednią lekturę. Nic tak dobrze nie leczy, jak zabawna książka.

„Boże! Co za obsługa! Gdyby to mogły słyszeć te małpiszony Jadzia i Władzia! Już ja się do nich dobiore! Od jutra w jarzynach ma być tak, jak w tej księgarni!” – pomyślał pan Zenek. Tymczasem pani z grzywką w dalszym ciągu uprzejmie szczebiotała: – Kryminału nie polecam. Choroba potęguje wyobraźnię. Potem w nocy nie mógłby pan zasnąć.

Pan Zenek jeszcze wyżej podciągnął kołnierz marynarki i poprzez szparę w materiale wyszeptał konspiracyjnie: – Chciałbym... Słyszałem o pewnej książce... „Miłosne niepokoje pana Zenka”... Proszę o wszystkie egzemplarze, jakie pani posiada. – Nagle przyszło olśnienie, że kiedy wykupi wszystkie książki nikt więcej już się o nim nie dowie!

– Ach! Kompletuje pan bibliotekę! – zaśmiała się osoba z grzywką. – To się często zdarza. Ktoś chce mieć wypełnione regały w bibliotece tylko jednym wymiarem książek, wówczas kupuje każdą ilość egzemplarzy. Niekiedy chodzi tylko o to, żeby kolor pasował do koloru dywanu, w danym wypadku sprzedajemy na przykład wszystkie książki w kolorze zielonym. Niestety, jeżeli chodzi o „Miłosne niepokoje pana Zenka” nie mam ani jednej książki. Miały wygodny format i kolor czerwono-czarny, może dlatego poszły „jak woda”. Ale mogę panu dać coś innego w tym kolorze. Mamy „Miary i wagi”, właśnie czerwono-czarne...

– Nie. Bardzo dziękuję. „Miary i wagi” mnie nie interesują. Interesuje mnie tylko to, co mnie dotyczy – powiedział nieostroźnie pan Zenek, co zresztą i tak nie zostało zrozumiane przez osobę z grzywką. Kiedy pan Zenek wybiegł z księgarni odprowadziło go spojrzenie zielonych oczu, w których malowało się zdumienie.

– Co ten facet chciał przez to powiedzieć – pani z grzywką zwróciła się z pytaniem do koleżanki.

– Nie ma się nad czym zastanawiać – odpowiedziała pani Kasia, zdejmując jakąś książkę z regału. – Klienci często sami nie wiedzą, co mówią. Jak ktoś chce być oryginalny, to posługuje się zagadkami. Pewnie mu się pani spodobała, więc chciał panią sobą zainteresować.

Tymczasem pan Zenek szedł jak we śnie lunatycznym przez ulice, nie zważając nawet na światła przy skrzyżowaniu. Ocknął się, kiedy posłyszał zgrzyt hamulców i poczuł mocne uderzenie w biodro.

– Żeby w pana najjaśniejszy piorun strzelił! – ryczał kierowca wychylony z okienka ciężarówki. – Kosmonauta się znalazł, cholera! Myśli, że jest na księżycu, a nie na jezdni! Czerwone światło się pali, a ten lezie! Rozgniotę idiotę, a będę odpowiadał jak za człowieka!

Powstało zbiegowisko, w którym natychmiast pojawił się milicjant.

– Poproszę pana na bok – zwrócił się do pana Zenka. – Byłby pan spowodował poważną krakę. Proszę o dowód osobisty...

Pan Zenek, oszołomiony wszystkimi nieszczęściami tego dnia, poczuł nagle ochotę do zwierzeń. Podał dokument, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa; stał oparty o ścianę odrapanego domu i jęczał:

– Może mi pan wymierzyć najwyższą karę. Mnie już wszystko jedno. Czy pan wie, jakie nieszczęście mnie spotkało?! Ktoś napisał o mnie książkę!

– Jaką książkę? – zapytał nieuważnie milicjant, spisując równocześnie dane pana Zenka.

– „Miłosne niepokoje pana Zenka”. To skandal, żeby pisać o prywatnym życiu człowieka!

– A skąd pan wie, że to o panu?

– Bo ja mam na imię Zenek i jestem sprzedawcą warzyw, a ta książka jest właśnie o takim człowieku. I wszystko wiedzą! Nawet o grzybobraniu, na którym niedawno byłem.

– Panie! Czym tu się przejmować? Po pierwsze, to nie jeden facet ma na imię Zenek, jest sprzedawcą warzyw i bywa na grzybobraniu, a po drugie, gdyby nawet ta książka była jota w jotę o panu, to powinien się pan z tego cieszyć! Przynajmniej dostał się pan do literatury. Ludzie marzą o czymś takim, a pan leci pod samochód, żeby sobie życie skrócić. No i co? Nie byłoby już o kim pisać. Daj pan spokój! Idź się pan lepiej przespać! Płaci pan dwieście złotych.

Pan Zenek zapłacił i istotnie poszedł się przespać. Jak na jeden dzień miał dosyć wrażeń. W domu wyszperał stary egzemplarz „Potopu” i leżąc w łóżku przerzucał poźółkłe kartki. „Gdyby o tych wszystkich ludziach nie napisano kiedyś, nikt by o nich nie wiedział, a tak to weszli do literatury” – z tą myślą pan Zenek wszedł w sen i przestał się przejmować, czy to on istotnie znalazł się w literaturze, czy też ktoś do niego podobny. Na wszelki wypadek nigdy jednak nikomu nie zdradził swych wątpliwości, zwłaszcza, że nie udało mu się zdobyć książki i przekonać, czy obraz jego jest tam wystarczający pozytywny, jak przystało na kierownika sklepu warzywnego.

Rozdział XX

Strasliwe oko obserwujące pana Zenka od samego wnętrza

W sklepie warzywnym pana Zenka był wielki spokój wczesnego poranka. Pan Zenek mógłby o tej porze jeszcze spokojnie leżeć w łóżku, ale własny dom nie był nigdy dla niego miejscem sprzyjającym kontemplacji. Dopiero kiedy czuł zapach pietruszki czy też koperku, czy jakkolwiek zapach będący zapachem jego sklepu, mógł pograżyć się w zadumie, nawet na tematy nie dotyczące zdrowych życiodajnych produktów warzywnych.

Zmiółszy z lady rękawem resztki po marchewce, rozłożył na czystym miejscu list, który zastał w domu poprzedniego dnia wieczorem, i czytał go po raz drugi bardzo dokładnie i już z pewnymi wnioskami na temat treści. List był od klientki, która od szeregu lat zaopatrywała się u niego w warzywa. Przesłany był ze szpitala, w którym w danej chwili klientka się znajdowała, i zawierał prośbę o nadesłanie za zaliczeniem pocztowym kilku słoików kompotów, soków owocowych oraz dżemów. Prócz tego był w tym liście krótki opis choroby, „która po prostu przyszła nie wiadomo skąd i bez jakiegokolwiek uprzedzenia”. Klientka czuła się dawniej znakomicie, aż tu nagle spostrzegła u siebie zmęczenie, niechęć do życia i ból stawów. Niby nic groźnego, w końcu jednak okazało się, że były to początki rozwijającej się groźnej choroby.

Pan Zenek zamyślił się głęboko: on też od pewnego czasu odczuwał niechęć do życia. Największą niechęć miał zawsze do swego personelu, czyli do panny Jadzi i panny Władzi. Była to niechęć usprawiedliwiona wobec ich lenistwa i karygodnego traktowania klientów, ale oprócz tej niechęci czuł jeszcze inną niechęć, jakąś taką ogólną. Jeżeli idzie o bóle stawów, to co prawda do tej pory nigdy ich nie odczuwał, ale to nic straconego, każdego dnia mogą się zjawić. Na wszelki wypadek wykonał kilka głębokich skłonów w tył i w przód,

potem zaczął wymachiwać rękami, niby skrzydłami wiatraków, rozbestwił się w przysiadach i... postyszał, że najwyraźniej coś zachrząściło. Rozejrzał się po sklepie, ale doszedł do wniosku, że nic nie miało prawa tam zachrząścić, czyli chrząst dochodził z jego stawów. Wpadł w panikę i w dalszym ciągu, teraz już nerwowo, zaczął sprawdzać funkcjonowanie kości. Chrząściło jak diabli! Panna Władzia i panna Jadzia zastały swego kierownika wykonującego morderczą gimnastykę. Kiedy wkroczyły do sklepu, pan Zenek kicał jak zając przez całą długość pomieszczenia. Twarz i całe ciało były złane potem.

– Ojej! Panie kierowniku – zapiszczała panna Jadzia. – Szykuje się pan na olimpiadę?

– Jak panu nie dadzą złotego medalu, to niech ich gęś kopnie! – dorzuciła panna Władzia.

– Przecież pan jest czystej wody akrobatą gimnastycznym!

Pan Zenek spojrzał nienawistnie na ekspedientki.

– Proszę bez żartów! – powiedział grobowym głosem. Teraz wyraźnie czuł bóle we wszystkich stawach. A kiedy weszła do sklepu ruda osoba z okazałym biustem, wyraźnie poczuł zawrót głowy. Nawet kiedy już ruda opuściła sklep, zaopatrzony w coś sfatygowany agrest, on ciągle ją jeszcze widział. Z całej siły zacisnął oczy, ale ruda była pod powiekami tak wyraźna, jakby cały czas stała przed nim i falowała tymi okrągłościami. „Jestem stracony! – pomyślał pan Zenek. – Mam już omamy i zwidy. Jest więc ze mną gorzej niż z klientką, która znajduje się w szpitalu. Trzeba się ratować póki czas!” Bez słowa wybiegł ze sklepu, aby powrócić po godzinie ze skierowaniem do szpitala. Jak tego dokonał, nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, ponieważ pan Zenek unikał w przyszłości nawet wzmianki o pobycie w szpitalu i chorobie.

Naładował w (specjalnie zakupioną w tym celu) siatkę możliwie dużą ilość słoików z kompotami, sokami i dżemami, które, jak wiedział z listu chorej klientki, w szpitalu są niedozwolone, i opuścił sklep.

Zanim pan Zenek załatwił wszystkie formalności, było już późne popołudnie. Został przyjęty na oddział wewnętrzny na obserwację. Dyżurny lekarz obstukał go i obsłuchał, zapytał o przebyte w dzieciństwie choroby. Tu pan Zenek niestety nie mógł się popisać niczym szczególnym, jako że nie miał szczęśliwego dzieciństwa, w którym dzieci mogą chorować, natomiast dał popis krasomówstwa, jeżeli idzie o obecne dolegliwości: pękają mi stawy, straszliwa apatia i zaburzenia wzrokowe. Nie przyznał się, że ciągle widzi tę rudą z dużym biustem, powiedział tylko, że ma coś jakby halucynacje.

Położono go w dwuosobowym pokoju. Towarzysz niedoli, staruszek o twarzy suszonej śliwki węgierki, przyglądał mu się z bieli łóżka, taksując uważnie siatkę wyładowaną słoikami. Staruszek był sympatyczny, tylko w spojrzeniu miał coś niepokojącego – jedno oko biegało w wielu kierunkach, podczas kiedy drugie spoglądało uparcie i martwo zawsze przed siebie.

Pan Zenek władował siatkę do nocnego stolika i z jękiem zwałił się w pościel.

Skoro tylko drzwi zamknęły się za lekarzem i pielęgniarzkami, staruszek wyskoczył z łóżka i zakrzętnął się koło pana Zenka. Przedstawił się, że ma na imię Franio, zapytał o imię pana Zenka i zaproponował, żeby przeszli na „ty”, skoro będą ze sobą długo leżeć. Jeszcze nie wiedział, jaka choroba nawiedziła pana Zenka, ale obejrzawszy go z bliska stwierdził autorytatywnie, że będzie to coś groźnego. Potem, zanim pan Zenek zdążył się zastanowić, wyciągnął siatkę ze słoikami, upychając wszystko w swojej szafce, która dotykała bokiem szafki pana Zenka, i podniósłszy sękaty palec na wysokość nosa, zaskrzeczał ostrzegawczo:

– Ty jesteś ciężko chory! Nie masz prawa nawet dotknąć żadnej z tych rzeczy, jeżeli ci życie mile! – Potem spojrzał nieufnie na pana Zenka. – Czy to na pewno wszystko, co z sobą przyniosłeś? – zapytał.

Pan Zenek przypomniał sobie o szynce, którą na wszelki wypadek kupił (zresztą po znajomości). – Jest tam w... tam między słoikami jest ćwierć kilograma szynki – wydobyl z głębi schorowanego ciała głos, który był jękiem.

– Szyńka! – krzyknął ze zgrozą staruszek. – Powinieneś od razu zamówić sobie trumnę, zanim byś położył plasterk szynki na język!

Pan Zenek próbował się bronić, że przecież jeszcze nie wiadomo, co mu jest.

– Nie wiadomo! Nie wiadomo! – burczał staruszek. – Już oni ci chorobę znajdą, skoro się tu dostałeś. Jedno jest pewne, że z tobą jest całkiem źle! – staruszek nie zwracając już uwagi na pana Zenka kładł na kromki chleba piękne, różowe plastry szynki i zajadał z apetytem.

Pan Zenek tego dnia nie dostał kolacji, ponieważ przyjęto go już po rozdaniu posiłku. Mimo ciężkiej choroby czuł głód, zwrócił się więc nieśmiało do szpitalnego kolegi:

– Zmiłuj się, Franiu! Chociaż jeden kęscek daj pókosztować. Umieram z głodu!

– Z głodu umierają w Indiach albo w Afryce.

U nas się z głodu nie umiera – odpowiedział Franio, zlizując z papieru już ostatnie strzępki szynki. – A w ogóle powinieneś się przespać. Jutro czeka cię ciężki dzień. Od rana pobieranie krwi i różne straszne badania.

Pan Zenek próbował więc zasnąć i uwolnić się od szaleństwa myśli na temat śmiertelnej choroby. Kiedy realny świat odpłynął od niego, staruszek zabrał się do buszowania w kompotach i sokach, potem przeciągnął się, ziewnął szeroko i począł przygotowywać się do snu. Przede wszystkim napełnił kubek wodą, do którego jak w małą studnię wrzucił szklane oko. Teraz pozostało mu w twarzy już tylko jedno, biegające oko, to drugie, uważne i zawsze patrzące wprost, spozierało teraz z dna kubka w sufit. Wreszcie i staruszek zasnął.

Pan Zenek zbudził się w środku nocy. Oprócz głodu czuł śmiertelne pragnienie. Zaczął po omacku szukać ręką, pragnąc natrafić na życiodajny strumień, czyli na jakiś kubek z wodą. Na swoim stoliku nie znalazł nic. Ręka sięgnęła dalej, aż na teren szafki staruszka, i tam był kubek – zbawienie pana Zenka. Gdyby mu teraz nawet odrąbano rękę, nie puściłby go. Jednym haustem wchłonął w siebie wodę. W pewnym momencie gulgnął głośniejsz, potem wyszczył ostatnie krople i delikatnie odstawił kubek na miejsce. Zasnął.

Rano na sali i w całym szpitalu zapanował prawdziwy „sąd ostateczny”. Staruszek, zakrywszy dłonią puste miejsce po oku, miotał się i krzyczał ile sił w płucach, że jakaś bestia ukradła mu w nocy z kubka oko, przy czym cały czas patrzył tym jednym straszliwym okiem w kierunku pana Zenka.

Pan Zenek poprosił o wypis i na własne żądanie opuścił szpital. Biegł do domu nie czując bólu w stawach, czuł natomiast w swoim wnętrzu to straszliwe oko, patrzące uparcie w jakiś punkt, w którym rozgrywała się tragedia jego choroby.

Nie wyszedł z domu, dopóki nie stwierdził, iż oko przestało go wreszcie obserwować. Od tej chwili poczuł się zupełnie dobrze, jedynie jeszcze nawiedzały go niekiedy zwidy na temat rudowłosej piękności.

Rozdział XXI

Nareszcie szansa dla pana Zenka – czyli przyjazd sierotki

Nieprawdopodobna historia! Pan Zenek nie wierzył własnym oczom, czytając już chyba po raz czwarty list od stryjenki ze Skarżyska. Donosiła ona, iż siostrzenica jej dalekiej krewnej została nagle osierocona, co pociąga za sobą konieczność, aby ktoś zajął się tym młodzieńcem, ślicznym dziewczęciem. Stryjenka nie jest w stanie tego uczynić, gdyż nie tylko że dolega jej cukrzyca, ale na domiar złego wybiera się po raz trzeci za mąż. Uważa, iż pan Zenek, czyli jej ukochany bratanek, tkwiąc przez długie lata w kawalerstwie, powinien wreszcie pomyśleć o tym, aby mieć przy sobie jakąś przyjazną, kochającą osobę. „Nikt ci nie zastąpi drugiego człowieka”, pisała stryjenka. „Żadne papużki, kanarki ani rybki w akwarium nie mogą wypełnić człowiekowi życia. Samotność jest nie do zniesienia, wiem coś o tym, dlatego mimo dojrzałego wieku decyduję się na ponowne małżeństwo. Ta dziewczyna to po prostu opatrność dla ciebie. Wiem, że ją pokochasz całym sercem!”

List drżał w ręce pana Zenka. Kilka razy czytał zdanie o zapelnieniu jego samotności i o kochaniu.

Dalsze wynurzenia stryjenki na temat jej ślubnej sukni („granaty i beże uważam dla siebie za najstosowniejsze. Nie wiem tylko, czy założyć kapelusz z małym welonikiem, czy bez?”) pominął, nie poświęcając im zbytnej uwagi. Jeżeli miałby myśleć o ślubnych strojach, to raczej dla sierotki, jego przyszłej żony. Stryjenka mogła sobie pójść do ślubu nawet w stroju do konnej jazdy, to mu było całkowicie obojętne. Na końcu listu była informacja, iż sierotka przyjeżdża dwudziestego, czyli jakby nie licząc, tego właśnie dnia.

Pan Zenek wytarł w fartuch lepkie ręce, którymi przed chwilą przebierał winogrona (odrzucając zepsute), delikatnie złożył list, wsadził go w kieszeń marynarki i zdecydował przystąpić natychmiast do przygotowań na przyjazd sierotki. Przede wszystkim należało odświeżyć mieszkanie, w którym zawsze panował kawalerski bałagan. „Trzeba odmalować ściany – pomyślał. – Tynk sypie się kawałkami. Sierotka czułaby się strasznie w tak ponurym otoczeniu. Niektóre meble też przydałoby się zreperować”. Nic nie było w stanie ostudzić zapału pana Zenka. Był gotów przerobić mieszkanie na całkiem nowe. Zdecydował także, że dokupi trochę niezbędnych przedmiotów upiększających dom, jak na przykład kolorowe poduszki i futrzany dywanik. Bez chwili zwłoki przystąpił do zrealizowania wszystkich swoich zamiarów. Przede wszystkim należało wystosować pismo do władz nadrzędnych, z zawiadomieniem, iż „z powodu ważnych spraw rodzinnych” jest zmuszony wziąć dwa dni bezpłatnego urlopu.

– Gdzie jest papier kancelaryjny, który rok temu sam osobiście kupiłem? – zapytał pan Zenek z groźną miną, gdy w szafce zamiast papieru znalazł upchane siatki z cebulą, a na jedynej wolnej półce różne kosmetyczne rupiecie panny Władzi i panny Jadzi.

– Pan kierownik przecież sam nieraz pakował w ten papier ogórki, a nawet rzodkiewkę, kiedy zabierał towar do domu, bo pan kierownik jest taki higieniczny i nie lubi owijać nic w

gazetę. Teraz więc nie należy się dziwić, że akurat nie ma papieru – odpowiedziała, jak zwykle beczelna, panna Władzia.

Pan Zenek przemilczał to, zwłaszcza że nie było czasu na dyskusję, i z białego papieru pakunkowego wyciął zgrabny prostokąt, na którym napisał podanie, każąc, aby panna Władzia zaniósła je natychmiast tam gdzie trzeba. Potem wyszedł. W drodze do domu wstępował do sklepów, kupując wszystko, co mogło się nadawać do remontu i urządzenia mieszkania, a więc farby, pędzle, gwoździe, klej, naczynia kuchenne, kapę, dywanik, serwetę na stół oraz wykwintne produkty na zakąski i flaszkę włoskiego szampana. Całe szczęście, że drogę znał na pamięć, gdyż szedł obwieszony i obładowany pakunkami, nic przed sobą nie widząc.

W domu najpierw przystąpił do malowania ścian. W tym celu rozebrał się do spodenek gimnastycznych tak zwanych „dynamówek”, na głowę założył nakrycie z gazety w kształcie odwróconej łódki, wszedł na drabinę i zaczął od strącania z sufitu tynku. Już przy pierwszym szrnięciu miotłą tynk zasypał mu całe oczy i chude ramiona. Postanowił zostawić sufit w spokoju i zająć się wyłącznie ścianami. Być może uda się jakoś odwrócić uwagę sierotki od widoku zniszczonego sufitu. Pył w oczach piekł niemiłosiernie i upodabniał je do oczu królika. Pobiegł do łazienki przepłukać twarz, ale zbyt energicznie przekręcił kran i woda zaczęła się lać nie tylko przez właściwe miejsce, ale i górą nad kurkiem. Jak fontanna tryskała na ściany, czyniąc dodatkowe zacieki. Pan Zenek mocował się z kranem, próbując ujarzmić go za pomocą okręcania szmatami i sznurkiem.

Kiedy wyszedł z zalanej wodą łazienki, zabrał się do mieszania farby w kubie i już widział okiem duszy, jak ślicznie będzie wyglądał jego pokój w kolorze dojrzałej poziomki. Stwierdziwszy, iż praca będzie wymagała może więcej czasu niż sobie obliczył, postanowił nie zmywać ścian, lecz kłaść farbę na dawny zielony kolor. Do wieczora dwie ściany osiągnęły barwę leśnego runa, w które ktoś miejscami wdeptał trochę poziomki. Pan Zenek zrobił krok w tył, aby przyjrzeć się efektowi swojego malarskiego kunsztu, przy okazji nadepnął na owoc banana, który wysunął się z produktów pozostawionych na stole i leżał właśnie na podłodze (banan) w charakterze zdradliwej zasadzki. Pan Zenek pośliznął się na bananie i padł plecami w kałużę wody, która bez przerwy przemieszczała się z łazienki do pokoju. Padając trącił drabinę, która zwała się i uderzyła go jednym końcem w czoło. Kiedy oprzytomniał po uderzeniu i stwierdził, że żyje, dotknął ręką czoła i wymacał spory guz. Próbował rozmasować ręką obolałe miejsce, przy okazji zostawiając na czole malinowe ślady po farbie.

Pan Zenek zaczął tracić spokój. Nie był pewien, czy dalej malować, czy może wezwać hydraulika, aby powstrzymał potop, który objąwszy łazienkę i pokój, już przemieszczał się w kierunku kuchni. Przysiadł na moment przy stole, aby zebrać myśli i zdecydować się na coś. Na szczęście decyzję podjęli za niego sąsiedzi z piętra niżej. Rozległo się łomotanie do drzwi, w których, kiedy je pan Zenek otworzył, stała para małżeńska, a za nimi mała dziewczynka. Obecności dziewczynki nigdy do tej pory w domu, w którym mieszkał, nie zauważył. Skruszony wysłuchał złorzeczeń starszych państwa i przyrzekł, że zaraz wezwie hydraulika i w najbliższym czasie odnowi na własny koszt mieszkanie sąsiadów, teraz jednak prosi o wyrozumiałość, ponieważ znajduje się w sytuacji nadzwyczajnej; przygotowuje dom do okoliczności rychłego zawarcia małżeństwa i właśnie lada moment oczekuje przyjazdu swojej przyszłej żony.

– Ojej! – krzyknęła dziewczynka stojąca za plecami sąsiadów. – Gdzie się tylko zjawię, to zaraz ktoś się żeni!

– Bardzo szczęśliwie się zjawiasz, dziewczynko – powiedział rozkosznie uśmiechnięty pan Zenek. – Zapraszam cię na wesele – zażartował. – Na pewno mi przyniesiesz szczęście!

Dziewczynka przepchnęła się między postaciami staruszków, ciągnąc za sobą walizę i wielki kosz. Pan Zenek patrzył zdumiony, jak człapie po wodzie, wprost w kierunku tapczana, na którym układa te przedmioty.

– A już myślałam, że stryjek mnie też przepędzi z powodu ślubu – powiedziała. – W Skarżysku mi mówili, że stryjek się nigdy nie ożeni i że będę mogła być u stryjka zawsze. Bo jak ja zostałam sierotką, to oni tam wszyscy zaczęli się żenić i nigdzie dla mnie nie było miejsca,

– No tak, wesele i do tego jeszcze dziecko... – powiedzieli nieco speszeni sąsiedzi. – Jakoś usuniemy te plamy z sufitu, niech pan się nie martwi. – Po tych słowach zniknęli szybciej, niż się pojawili.

Pan Zenek usiadł przy stole zupełnie załamany. Sierotka sama naprawiła kran, dokręcając kurek obcęgami, potem zaczęła zachęcać pana Zenka do zabawy w ochlapywanie się wodą, dopytując się przy tym natarczywie: – Opowiedz mi stryjkowi o tej twojej narzeczonej! Jak ją poznałeś i w ogóle. Przepadam za romantycznymi historiami!

Pan Zenek obiecał, że opowie jej o tym innym razem, chwilowo bowiem postanowił odłożyć termin ślubu.

Rozdział XXII

Krawat w kolorze dojrzałej śliwki

Pan Zenek znajdował się w sytuacji bez wyjścia. Obecność sierotki w domu nie tylko przekreślała możliwość małżeństwa (która z dzisiejszych kobiet zgodzi się na męża z sierotką? Każda chce mieć własne dziecko). Sierotka w takim przypadku stałaby się prawdziwą sierotką, na co pan Zenek nigdy nie zgodziłby się – był człowiekiem szlachetnym i jeżeli powierzono mu los sierotki, musiał z zadania wywiązać się należycie. Jednak trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że sierotka stanowiła przeszkodę nie tylko w ewentualnym małżeństwie, ale nawet w nawiązaniu bliższego kontaktu z jakąś miłą osobą, choćby tylko w celu spotkania się przy herbatce w domu. Sierotka od pierwszego dnia pobytu u pana Zenka uznała się za osobę najważniejszą. Być może zorientowała się, iż pan Zenek potrzebuje „mocnej ręki”, która by nim kierowała. Nawet w doborze koloru krawata decydował gust sierotki. Nie pomogły żadne protesty, że do zielonej marynarki nie może zakładać krawata w kolorze dojrzałej śliwki. Sierotce właśnie taki zestaw kolorów najbardziej odpowiadał, więc pan Zenek pozwalał sobie zawiązać tenże krawat, mimo odruchów buntu, które skrzętnie ukrywał. Niekiedy udawało mu się, wychodząc z domu, ściągnąć z wieszaka szalik, którym mimo upalnego dnia owijał szyję, aby nie narażać przechodniów na wstrząsy z powodu zestawienia barw, które można by uznać za oznakę buntu przeciwko wszystkiemu (co w wieku pana Zenka nie mogło być normalnym zjawiskiem). „Ktoś gotów pomyśleć, że jestem hippisem i w dodatku palę marihuanę!” – rozmyślał ze zgrozą pan Zenek, pędząc skrótami w kierunku sklepu warzywnego. Przychodził zawsze na tyle wcześniej, aby zdążyć zdjąć krawat

przed nadejściem panny Władzi i panny Jadzi. W rozpiętej koszuli, bez krawata czuł się swobodnie, aż do chwili kiedy zbliżało się południe. W tym czasie sierotka kończyła lekcje w szkole i przychodziła zawsze do sklepu. Pan Zenek truchłał, co będzie, jeżeli każe mu na powrót założyć ten straszny krawat. Na szczęście sierotka zajmowała się w sklepie wszystkim, tylko nie panem Zenkiem, i na ogół nie zwracała na niego zbytnej uwagi. Ważyła się na wadze od ziemniaków, wyklócała się z ekspedientkami, że waga jest niedokładna, czyli klienci są oszukiwani o kilka dekagramów. Wydłubywała z główek kapusty gąsienice, obrywała zwiędłe liście, przez co rujnowała sklep, ponieważ oderwanych liści uskładało się zawsze kilka kilogramów.

– Panie kierowniku! Jak tak dalej pójdzie, to sierotka nas puści z torbami! – ostrzegła pana Zenka panna Władzia. – Dotąd klienci kupowali towar „jak leci”, teraz gotowi się rozgrymasić i żądać kapusty bez zwiędłych liści. A niech pan kierownik tylko popatrzy, co ona robi z marchewką?! Wywaliła cały kosz marchwi trochę tylko podgryzionej przez myszy! My tu chyba mamy normalny sklep z warzywami, a nie jakąś wystawę? Do konkursu nie będziemy stawać! Albo pan kierownik zrobi coś z sierotką, albo my z Jadzią postaramy się o przeniesienie do innego sklepu!

– Niech stryjek nie da się zastraszyć i nie pozwoli sobie skakać po głowie! – z dziecięcym cynizmem wykrzykiwała sierotka. – One stryjkowi grają na nosie, a stryjek tylko udaje kierownika! Jak ja bym była kierownikiem, to bym wszystkim klientom sprzedawała wyłącznie bardzo dobry towar, a tym pannom kazała kupować marchew zjedzoną przez myszy!

– Miałeś odrabiać lekcje! – pan Zenek próbował ratować sytuację i własną godność kierownika. – Dzieci nie powinny się wtrącać do spraw dorosłych. W przyszłości, jeżeli zechcesz pracować w warzywach, możesz wprowadzać własne porządki, a na razie zostaw to nam.

– Wszyscy starzy są oszustami i kombinują tak, żeby im było najlepiej. Gdyby dzieci rządziły, świat byłby dobry. Ja nigdy nie chcę być stara, żeby potem sprzedawać marchew po myszach – upierała się sierotka.

Pan Zenek w głębi duszy uznawał słuszność uwag sierotki. Sam niekiedy ukradkiem wyrzucał co gorsze warzywa, ale chcąc żyć z ekspedientkami w zgodzie, musiał na niejedno przymykać oko, jeżeli nie chciał pozbyć się personelu, o który w obecnych czasach było tak trudno.

Tego pechowego dnia doszło do szczególnie przykrego incydentu; sierotce nie spodobało się, że śliwki są całkiem zielone, i zażądała, aby cały transport odesłać do centrali. Panna Władzia i panna Jadzia powiedziały, że tego już za wiele! Wszyscy sprzedają zielone śliwki i one nie będą robić z siebie idiotek, żeby odradzać klientom kupna, skoro ci godzą się kupować śliwki takie, jakie widzą. – Albo my zostaniemy w tym sklepie, albo sierotka! Innego rozwiązania nie ma! – powiedziała panna Władzia stając w bojowej pozycji przed sierotką.

Pan Zenek przetrząsał swoje myśli, szukając w nich ratunku. – O co ci chodzi, Marysiu? Przecież ty tak lubisz zielony kolor! – zwrócił się do sierotki. – Zielone śliwki są śliczne! Powiedziałbym, że ładniejsze od szafirowych! – Był to błąd. Sierotka w tym momencie spojrzała na pana Zenka, stwierdziwszy, że nie ma na szyi krawata w jej ulubionym kolorze. – Aha! Teraz już wszystko wiem! – wycedziła sierotka. – Zawsze podejrzewałam cię, że nienawidzisz śliwkowego koloru. Zamówiłeś zielone śliwki, żeby pasowały do twojej marynarki!

– O czym ty mówisz, kochanie? – pan Zenek speszony dotknął szyi, na której nie było śliwkowego krawata.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Gdzie masz krawat??!

– Krawat? Ach! Rzeczywiście! Dzisiaj taki upał... Kto by chodził w krawacie? Założę go w domu. Wieczory są raczej chłodne i krawat będzie w sam raz – pan Zenek kręcił się po sklepie, starając się nie patrzeć na sierotkę, która wcale nie zamierzała zrezygnować z walki.

– Jeżeli nie jesteś kłamcą i obłudnikiem, to natychmiast założysz ten krawat!

Panna Władzia i panna Jadzia oniemiałe patrzyły na swego kierownika, który wyciągał z kieszeni jaskrawośliwkowy krawat i drżącymi rękami zawiązywał go pod kołnierzem koszuli. Wówczas do sklepu weszła pani z zadartym nosem i loczkami fruującymi przy uszach.

– Poproszę o dziesięć kilogramów śliwek – zwróciła się do pana Zenka. – Nadszedł czas kompotów i powideł. Trzeba coś przyrządzić na zimowe wieczory, bo nuż trafi się jakiś uroczy znajomy, który właśnie będzie przepadał za powidłami? – zaśmiała się do pana Zenka, marszcząc zalotnie zadarty nosek. Potem spojrzała na śliwki w koszu i znów na pana Zenka. – Szkoda – powiedziała po chwili – gdyby te śliwki były w kolorze pana krawata, nie zawahałabym się nawet chwili. I kto wie, może to właśnie pan mógłby być moim miłym gościem zjadającym powidła ze śliwek... No cóż? Trudno. Może w innym sklepie będą śliwki tak śliczne, jak pana krawat. – Poszła.

Pan Zenek od tej chwili nosił zawsze śliwkowy krawat i śliwki zamawiał tylko w tym samym kolorze. Niestety, nikt już do końca śliwkowego sezonu nie zachwyił się jego krawatem.

Rozdział XXIII

Co znaczy, kiedy śni się duża czarna szafa?..

Pan Zenek miał koszmarną noc! Śnił, że w jego sklepie warzywnym, w miejscu gdzie znajdowały się półki z owocami i warzywami, stoi ogromna czarna szafa, w tej szafie jedenaście półek, a na każdej półce rzędem ułożone stare buty, w których siedzą myszy, trzymając - w łapkach najpiękniejsze jabłka i ogryzają je z niesamowitym łakomstwem. Próbował szczotką przepłoszyć myszy, ale one tylko śmiały się bezczelnie, wypluwając na niego pestki z ogryzanych owoców. Pan Zenek czuł się dotknięty „do żywego” w swej godności kierownika sklepu; myszy ośmiały się sprzeciwić jemu, który tu decydował o wszystkim! Rzucił się na szafę, próbując wyłamać półki, ale wówczas ten czarny przedmiot zachwiał się i całą swoją drewnianą potęgą runął na pana Zenka.

Pan Zenek zbudził się na podłodze, a nad nim pochylała się stroskana sierotka. – Aleś, stryjku, rąbnął sobą spadając z łóżka! – powiedziała sierotka. – Czy aby nie nabiłeś sobie guza? Trzeba uważać na swoje zdrowie. Jak ja się przejadłam dwa dni temu lodami, to teraz cały czas czuję, jak mi w płucach robi się tak: „Hrrr! Hrrr!”

– Nic mi o tym nie mówiłaś – zaniepokoił się pan Zenek. – Czy aby nie jesteś chora?

– To teraz mało ważne. Najważniejsze, że ty chyba jesteś chory. Jak mi umrzesz, to już nie wiem, co zrobić? Tylko ty mi zostałeś na świecie. Musisz iść do doktora. Pewnie jakaś straszna gorączka strąciła cię z łóżka!

– Nie straciła mnie gorączka, lecz czarna duża szafa – wyjaśnił pan Zenek i natychmiast opowiedział sierotce swój sen. Zaniepokoiła się.

– Ty wiesz, stryjku, co taki sen znaczy?... Myszy to nieprzyjemności, kłopoty i choroba. Buty to daleka podróż. Kiedy stryjce w Skarżysku śniły się buty, musiała zawsze gdzieś wyjechać. Nawet jeśli nie miała żadnej potrzeby, wsiadała w pociąg i wyjeżdżała, choćby do najbliższej miejscowości, bo mówiła, że ze snami nie ma co żartować. A jabłka to na radość. Zwłaszcza jeżeli były czerwone. Tylko nie wiem, co znaczy, kiedy śnią się jabłka nadgryzione?... Może to taka nadgryziona radość?

– No a szafa? Co znaczy czarna, wielka szafa ze snu?

Tego sierotka nie wiedziała. Z całą pewnością szafa coś oznaczała, ale stryjce nigdy nie śniła się szafa, więc sierotka nie chciała na własną odpowiedzialność zabierać głosu w tej sprawie.

Pan Zenek pełen najgorszych przeczuć położył się z powrotem do łóżka, sierotka też do swojego i nie mogąc zasnąć, gawędzili do rana, które zresztą wkrótce nadeszło. Pan Zenek dopytywał się o zdrowie sierotki, każąc sobie opowiedzieć w najdrobniejszych szczegółach o dolegliwościach, które odczuwała. Skoro tylko pierwszy wróbel ćwierknął za oknem, pan Zenek zerwał się z łóżka, pobiegł do kuchni przygotować śniadanie i oświadczył sierotce, że natychmiast jeszcze przed otwarciem sklepu, pójdzie z nią do lekarza i to nie do jakiejś tam przychodni, gdzie Bóg wie jak leczą, ale do prawdziwego, prywatnego lekarza! – Trzeba zaraz zrobić prześwietlenie płuc! Teraz wiem, dlaczego śniły mi się myszy! – wykrzykiwał z kuchni, rozbijając jajka na jajecznice. – Oczywiście, że na twoją chorobę!

Po śniadaniu wyruszyli na poszukiwanie dobrego doktora. Szli ulicami miasta, studiując tabliczki na domach. Przy każdej tabliczce, gdzie pod nazwiskiem był napis – internista, pan Zenek zastanawiał się, ale jakoś nie mógł zdecydować się na wybór; to nazwisko mu się nie podobało, to znów tabliczka, że zaniehbana i obtłuczona, wreszcie znalazł okazałą, białą tabliczkę z informacją, która świadczyła, iż lekarz jest kobietą i w dodatku z własnym gabinetem rentgenologicznym. To zdecydowało o wyborze. Dom co prawda był bardzo stary i zaniehbany, ale to wcale nie musiało znaczyć, iż tak samo wygląda zamieszkująca tam lekarka. Drzwi otworzyła osoba chyba młoda (w półmroku korytarza pan Zenek nie mógł dokładnie określić jej wieku, ale wydawała mu się nader sympatyczna). Zaprosiła ich do pokoiku, również przyciemnionego przez zapuszczone story, zapytała, co i komu dolega. Pan Zenek szczegółowo określił niedomagania sierotki.

– Przede wszystkim zrobimy prześwietlenie płuc – powiedziała słodkim głosem lekarka. – To trochę kosztuje, ale na zdrowiu nigdy nie należy oszczędzać. Powiem więcej – człowiek chcąc zachować zdrowie, powinien się nawet zdobyć na niektóre wyrzeczenia. Ja na przykład nigdy nie wyszłam za mąż, mimo iż miałam wielu starających. A moje wyrzeczenie się założenia własnej rodziny wynikało właśnie z poważnych przyczyn – przy mężu traci się zdrowie, bo mężczyźni są nieczuli i brutalni! Pan mi wygląda na kogoś zupełnie innego, no ale nie miałam szczęścia trafić na pana... Proszę bardzo, niech panienka pozwoli za mną do pomieszczenia, gdzie zrobimy prześwietlenie płuc. A pan niech tutaj zaczeka. Za chwilę będziemy wszystko wiedzieli. – Po tych słowach zniknęła z sierotką, prowadząc ją w głąb korytarza do ciemnego pomieszczenia. Pan Zenek siedział oszołomiony. „Ależ to najprawdziwsze oświadczyły! – pomyślał. – Wspaniała kobieta! I że tak z miejsca poznała się na moich zaletach! Tej okazji nie wolno mi przepuścić! Pójdę do niej natychmiast i powiem, że jestem gotów oddać jej siebie! Nie zawiedzie się na mnie!” Nieprzytomny ze szczęścia, przebiegł przez korytarz i pchnął jedyne, znajdujące się na końcu korytarza drzwi. Było tam zupełnie ciemno. Pan Zenek namacał drżącą ręką kontakt i zapłonęła pod sufitem żarówka. Patrzył i nie wierzył własnym oczom: w czarnej szafie, z której wyjęto drzwi, stała obnażona sierotka, a za szafą pani doktor furczała odkurzaczem!!! Zrobiła się zupełnie purpurowa, kiedy spostrzegła pana Zenka. – Tutaj nie wolno wchodzić! – Krzyknęła. Pan

Zenek w jednej chwili pojął, że szafa miała być aparatem rentgenowskim, a odkurzacz miał na celu naśladować dźwięki przy prześwietlaniu. – To jest bezczelność! – powiedział głosem ostrym jak najostrzejsza brzytwa. – I oszustwo, tak jak cała pani podejrzana młodość i uroda, na którą także dałem się nabrać. Jeżeli nie zrobię z tego użytku, to tylko dlatego, aby się nie ośmieszać! – Natychmiast wciągnął na sierotkę jej ubranie i czym prędzej wybiegli z domu, na którym bieliła się piękna porcelanowa tabliczka.

– Stryjku! To była chyba ta szafa z twojego snu – powiedziała sierotka, kiedy już znaleźli się na ulicy. – Ale nie martw się, mnie już wcale nie charczy w płucach; to będzie ta radość, jaką zapowiadały jabłka z twojego snu. Tylko co my zrobimy z butami? Jeszcze nie spełniła nam się podróż!

– Spełni się! – Pan Zenek w tym momencie zdecydował się na czyn jedyny w swoim rodzaju. Był już tak zniechęcony przeciwnościami losu, które po prostu nie dawały mu spokoju w tym mieście, że postanowił raz na zawsze wyjechać stąd. Zwłaszcza, że przecież śniły mu się buty, więc był to znak oczywisty, iż zamiar powinien doprowadzić do końca. Tego samego dnia wystosował pismo do swoich władz nadrzędnych, z prośbą o natychmiastowe rozwiązanie z nim umowy o pracę. Jako motyw podał: „Ważne sprawy rodzinne”. – Przeniesiemy się do Skarżyska – powiedział do sierotki. – Stryjenka wspominała w ostatnim liście, że ktoś tam ma jakiś tani domek, który chce wydzierżawić, odłożyłem trochę oszczędności i mam już dosyć wszystkiego. Może w innym mieście LOS będzie dla mnie łaskawszy...

Rozdział XXIV

Fatalne skutki wdawania się w pogawędkę z bufetową na dworcu kolejowym

Jednak panu Zenkowi nie sędzone było znaleźć się w Skarżysku. W każdym razie nie tego dnia, kiedy postanowił raz na zawsze opuścić Wybrzeże. Wszystko zostało przygotowane do podróży, czyli walizka i dwie torby podróżne wypełnione garderobą. Całkowite przeniesienie miało nastąpić nieco później, kiedy pan Zenek rozejrzy się w terenie, wynajmie domek i znajdzie odpowiednią dla siebie pracę. Tymczasem byli już z sierotką na dworcu w Gdańsku. Pan Zenek w zdenerwowaniu co chwila przetykał ślinę, a przy każdym takim przełknięciu podskakiwało mu „jabłko Adama”, co sierotkę tak wyprowadzało z równowagi, że pozwoliła sobie skarcić pana Zenka: – Ty, stryjku, zajmij się lepiej czymś pożytecznym, zamiast wariować z nerwów!

– Jak mam się nie denerwować??! Opuszczam moje piękne miasto, być może na całe życie i wcale nie wiem, co mnie czeka w Skarżysku?... W dodatku ten straszny ruch na peronie! No i co drugi człowiek może być złodziejem.

– Wiesz co, stryjku? Zachowujesz się jak ten Mazurkiewicz z Radomia, co to byliśmy razem na tej śmiesznej sztuce. Ale ja na szczęście nie jestem ten stuknięty Kazio, lecz rozsądna sierotka. Przy mnie nic ci nie zginie. Skocz lepiej do kiosku i kup coś do jedzenia na drogę, a ja przypilnuję bagażu.

W kiosku za szybą królowała duża i pulchna blondyna w białym fartuchu. Odpędzała gazetą muchy, które próbowały pokosztować wiktuałów ze szklanych półek. Pan Zenek zgiał się, kładąc prawie głowę w otwór okienka i wyszeptał nerwowo: – Proszę o jakiś prowiant na daleką podróż! Tak żeby starczyło dla dwóch osób. Dla mnie i dla sierotki.

– Jedzie pan z sierotką? – zainteresowała się bufetowa. – Z sierotkami, proszę pana, to nigdy nic nie wiadomo. Może pan nie uwierzy, ale ja słyszałam takie historie o sierotkach, że jeszcze dzisiaj włosy mi dęba stają na samo wspomnienie!

Otóż, proszę pana, jedna sierotka zamieszkała u pewnej babci, nie własnej, tylko takiej w ogóle. Żyły sobie razem, niby to w przyjaźni; babunia zadowolona, że ma przy sobie kogoś żywego i sierotka też rada, że ma dach nad głową. Aż tu pewnego razu, proszę pana, sierotka zdobyła sobie jakiegoś narzeczonego, takiego, wie pan, niebieskiego ptaszka. No i z tym niebieskim postanowili pozbyć się babuni, żeby mieć dla siebie chatę. Oni, proszę pana, porąbali tę babunię, przemełli ją w młynku do mielenia mięsa i zrobili z niej kielbasy!... Oczywiście ta sierotka nie musi nikogo zamordować, ale nie jest powiedziane, że jej nie zamordują. – I bufetowa przystąpiła do następnych straszliwych opowieści o zbrodniach w ogóle, a w tym czasie sierotka siedziała na walizce, obok dwóch toreb podróżnych i złościła się, że stryjek znowu wdał się w romans z jakąś blondyną, co jej zdaniem nie mogło się dobrze skończyć. Nudziła się straszliwie. Nagle nadjechał pan w pomarańczowej kamizelce, na czerwonym wózku. Jadąc trąbił, jakby się śpieszył do pożaru. Podjechał aż do samej sierotki, zatrąbił na nią i wskazując bagaże powiedział: – Niech no panienska zabierze te rzeczy, bo rozjadę!

Sierotka przyjrzała się panu w kamizelce. – Ale pan ma fajną fufajkę! Daję słowo! – Zachwyciła się. – I ładnie panu w tym pomarańczowym, bo ma pan czarne włosy. Jakby pan był rudy, to by było do chrzanu.

– No! No! Jaka rezolutna dziewczuszka – powiedział już łagodniej pomarańczowy pan i postanowił nie przejechać sierotki. Nawet zaczął z nią rozmowę. Dowiedział się, gdzie ona jedzie i powiedział, że właśnie na ten pociąg przywiózł bagaże. Sierotka zaczęła nagle coś kombinować. – Długo my tu jeszcze postoiimy? – zapytała.

– Jakies pięć minut – odpowiedział pomarańczowy pan.

– Pięć minut to kupa czasu! Co by pan powiedział na małą przejażdżkę z taką elegancką damą jak ja? Przejedziemy się po peronie tam i z powrotem, bo tu okropnie nudno. Ja jeszcze nigdy nie jeździłam takim autem!

– Niestety, panienczko, ale to jest zabronione. Wozić mogę tylko bagaże, a nie pasażerów.

– Jakbym miała ze siedemnaście lat, to by mnie pan przewiózł! Ale sierotce każdy wszystkiego odmawia! – powiedziała rozżalona.

– Panienska jest sierotką? – jakby rozrzewnił się pomarańczowy pan. – Być może w przepisach ominięto odnośniki dotyczące sierotek... Sierotce i tak los wszystkiego poskapił, jeżeli więc tylko istnieje możliwość, każdy powinien pomóc sierotce... Niech panienska wsiada, ale z bagażem! Musimy zdążyć, zanim nadjedzie pociąg!

W ten sposób sierotka udała się w oryginalną, aczkolwiek krótką przejażdżkę. W tym właśnie czasie pan Zenek zakończył rozmowę z bufetową, dowiedziawszy się o kilkunastu strasznych morderstwach i to właśnie dotyczących zgładzenia ze świata sierotek. Pan Zenek biegł na miejsce, gdzie pozostawił sierotkę, aby sprawdzić, czy jest tam cała, zdrowa i żywa. Oczywiście zamiast sierotki zastał puste miejsce. Najpierw stanął oniemiały, potem zachwiał się, a następnie popędził z powrotem do budki z kanapkami. – Straszne nieszczęście! – krzyczał do wielkiej blondyny. – Miała pani rację! Bandyci! Zboczeńcy! Mordercy ukradli mi sierotkę! Załedwie kilka minut mnie nie było i sierotka już zniknęła!

Bufetowa przystąpiła natychmiast do działania. Chwila była ważna i ona mogła się przydać w odnalezieniu mordercy. Wyszła ze swojej budki wywiesiwszy najpierw kartkę:

„wróć za chwilę” i natychmiast z panem Zenkiem rozpoczęła penetrację terenu. Przebiegli peron wzdłuż i wszerz, nawet minęli wagonik z pomarańczowym panem, ale nie zauważyli sierotki umieszczonej pośród bagaży.

– Nie ma co mówić! Kidnaperzy ukradli sierotkę! – zwróciła się do pana Zenka. – Trzeba lecieć na posterunek kolejowy!

I poleciali. Zaczęło się chaotyczne mówienie o babci przemielonej przez maszynkę, o sierotkach znalezionych w zagajnikach i na wpół zjedzonych przez mrówki, o zboczeńcach, których jest więcej na świecie niż grzybów po deszczu, o niewypałach w lasach, na które nadeptują niektóre sierotki.

– Chwileczkę! Ale o co chodzi? – zapytał oszołomiony potokiem słów bufetowej starszy sierżant.

Pan Zenek nie mogąc słowa wydobyć z powodu ustawicznego, nerwowego łkania śliny, zdołał jednak jakoś się zmobilizować, wyjaśniając szczegóły zajścia. W tym właśnie czasie posłyszeli z peronu zapowiedź nadaną przez głośniki, iż pociąg w kierunku Skarżyska odjeżdża: należy wsiadać i drzwi zamykać. Pan Zenek upadł na krzesło, wczepił się rękami we włosy i zaczął je szarpać. – Już po mojej sierotce! – załkał.

– Po co zaraz popadać w popłoch? – próbował pocieszać pana Zenka starszy sierżant. – Nie takie sprawy rozwiązywaaliśmy, jak zaginięcie sierotki! I to z dobrym skutkiem! Zaraz pójdziemy, sprawdzimy wszystko. Może dziewczuszka poszła zrobić siusiu... Pan, zdaje się, za długo kupował te kanapki z szynką?... Spojrzał z dezaprobatą na pana Zenka.

– Ale skąd, proszę pana władzy! – wtrąciła się bufetowa. – Może pół minuty to trwało, zdążyłam tylko opowiedzieć temu panu parę historii, bo to zawsze lepiej przestrzec podróżnego.

Kiedy pan Zenek, bufetowa i starszy sierżant zamierzali właśnie wyruszyć celem zbadania sprawy, w korytarzu dał się słyszeć płacz dziecka, potem męski uspokajający głos i do pomieszczenia posterunku kolejowego wszedł pan w pomarańczowej kamizelce. – Panie sierżancie – zwrócił się do władzy – ja tu mam ze sobą jedną sierotkę. Miała ze stryjem jechać do Skarżyska, ale on całkiem przepadł. Sierotka mówi, że go kidnaperzy musieli ukraść, ale to chyba niemożliwe. U nas nawet paczek nie kradną, a co dopiero jakichś stryjków...

Pan Zenek nie słuchał już dalszych słów. Wybiegł na korytarz i z radości, ściskając sierotkę, zaczął ją łajać: – A mówiłem ci, żebyś się nie ruszała z miejsca! Ja tutaj cały posterunek postawiłem na nogi! Co się z tobą działo??!

– A co się z tobą działo??! Niejeden raz cię przestrzegałam przed różnymi blondynami. Pociąg przyjechał, a ciebie nie było! Zobaczysz, jeszcze kiedyś źle skończysz! Jeszcze cię któraś namówi na małżeństwo!

– Nic się nie martw, kochanie. Z tą bufetową się nie ożenię. Nie mógłbym zasnąć, słuchając jej makabrycznych opowiadań. Ale dzięki niej nie wyjechaliśmy do Skarżyska! Muszę ci się teraz przyznać, że właściwie jestem zadowolony. Zostawimy bagaże w domu i przejedziemy się do Wejherowa. Tam jeszcze nie byłaś, a Skarżysko znasz przecież doskonale!

Rozdział XXV

Tajemnicza komisja działa na dworcu autobusowym...

Pan Zenek uszczęśliwiony, że „udało mu się” nie wyjechać z sierotką do Skarżyska, popadł w nastrój, który bez przesady można by nazwać beztroskim, a nawet błogim albo rajskim! Pieniądze przeznaczone na dzierżawę domku w Skarżysku wydawał na podróże nie tylko do Wejherowa, ale i w okoliczne prześliczne kaszubskie miejscowości, o których do tej pory nawet nie wiedział, że istnieją. Każdego dnia, trzymając się z sierotką za rękę, szli na dworzec autobusowy, chwilę kręcili się między czekającymi na odjazd pojazdami i pan Zenek niezmiennie zadawał sierotce to samo pytanie:

– W który autobus dzisiaj wsiadamy? Decyzja zależy wyłącznie od ciebie. Możemy jechać w każdym kierunku!

Sierotka prowadziła go po kolei do każdego z autobusów, lustrując uważnie wnętrza, potem przystawała przed kierowcą, wpatrując się w niego z taką uwagą, jakby zdzierając z niego po kolei mięsień po mięśniu, aby wreszcie dotrzeć aż do szkieletu.

Kierowcy czuli się nieswojo w czasie tych zabiegów. Zdarzało się niekiedy, że ktoś niegrzecznie ją ofuknął:

– No i co się tak gapisz, mała? Nie widziałas w życiu kierowcy?

Sierotka nie należała do tych, którzy dają się łatwo speszyć. Odpowiadała (przechylając głowę, jakby z tej pozycji lepiej jej było dojrzeć wnętrza kierowcy): – Widziałam już kierowców, ale tamci mi się lepiej podobali. Po pierwsze: mieli czyste paznokcie, po drugie: byli uprzejmi, a po trzecie: to nic a nic nie zalatywało od nich piwem!

Kierowca purpurowiał, ale zanim zdołał wydobyć ze ściśniętego wściekłością gardła słowo, już sierotka, dumnie potrząsając kitką włosów, związaną gumką, opuszczała autobus, ciągnąc za sobą pana Zenka. Oddalwszy się na bezpieczną odległość, szeptała w ucho pochylonemu nad nią panu Zenkowi:

– Mówię ci, stryżku, on pił piwo! Zagryzał potem listkiem bobkowym, żeby nie było zapachu. Ale mnie nikt nie oszuka. Ja się na tym znam. Przedostatni mąż stryjenki zawsze zagryzał listkiem bobkowym, kiedy wychodził z pijalni piwa, bo stryjenka strasznie nie lubiła, jak on tam chodził, więc potem mówił, że nie był w pijalni, lecz w sklepie z ziołami i dlatego strasznie przesiąkł laurem. Stryjenka dziwiła się, co on codziennie robi w sklepie z ziołami, a on mówił, że szuka jednego bardzo ważnego zioła na porost włosów i nie może znaleźć, ale nie spocznie, dopóki nie znajdzie. A co do tego kierowcy, to chyba sam wiesz, czym grozi prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym, nie jesteś przecież dzieckiem. Nie będę cię narażać na niebezpieczeństwa, dlatego nie pojedziemy tym autobusem. Wyszukamy sobie czysty autobus i z takim kierowcą, który nie lubi piwa.

Po kilku dniach przez dworzec autobusowy przemknęła groźna wieść: „Jakaś tajemnicza komisja, złożona z jednego mężczyzny i, dla zmylenia czujności, dodatkowo małej dziewczynki, działa na terenie dworca!” Wobec czego należy się mieć na baczności, zwłaszcza w sprawach związanych z piwem...

Niby nic się nie dzieje, ale w każdej chwili „bomba może wybuchnąć!” Za tą sprawą kryje się z całą pewnością coś innego, może nawet kontrola z samej stolicy...

Kierowcy zaczęli ze wstrętem omijać pobliską budkę z piwem. Za ich przykładem poszli także konduktorzy. Przed każdym wyruszeniem w trasę obsługa autobusów dokonywała wokół siebie takich zabiegów, jak przy udaniu się na własne wesele. Szczególną uwagę przykładano do czystych paznokci, bo jak mówiła plotka: „ci z kontroli są okropnie uczuleni na paznokcie”. Co sumienniejsi, albo i liczący na awans, nie pozostawiali w spokoju nawet fryzur; w kawałkach lusterka czesano się dokładnie, czasem nawet stosując brylantynę, jeżeli komuś włosy lubiły sterczeć na głowie. Dworzec autobusowy zaczął przypominać salon piękności, gdzie każdy z obsługi autobusu wyglądał jak elegancki model. Nawet koszule zaczęto nosić przesadnie czyste. A wnętrza pojazdów to już były prawdziwe cuda! – nie tylko do czysta wymiecione podłogi, ale nawet szyby przetarte szmatą! Obok kierowcy zawsze jakiś ozdobny element, najczęściej w postaci plastikowych kwiatków.

Pewien szczególnie wrażliwy na piękno konduktor ponaklejał w swoim autobusie na wszystkie szyby kwiatową kalkomanię. Sierotka wybrała ten autobus na jedną z licznych podróży i przez całą drogę nie dawała konduktorowi spokoju, zachwycając się wszystkim, chwalać go pod niebiosa, co mu zupełnie przewróciło w głowie, tak że wróciwszy z trasy do domu spił się jak bela, a potem płacząc ze szczęścia w ramionach żony, zwierzał się jej:

– Kochana, nie mów jeszcze o tym nikomu, ale najdalej za miesiąc awansuję! Jak mi Bóg miły!

Z całą pewnością dadzą mi „kontrolera”, a może nawet i coś więcej!... Z nimi nic nie wiadomo.

– Ale kto? Co? – dopytywała się zaintrygowana żona konduktora, a właściwie już prawie kontrolera.

– Jak to kto? Oni! Komisja! Ty wiesz, że oni dzisiaj nic innego nie robili, tylko całą drogę z Gdańska do Kartuz zachwycali się moją inteligencją, wrażliwością i w ogóle! Słuchaj! Od nich wszystko zależy! Rozumiesz??! Wystarczyło tylko żebym jednego dnia ruszył głową... no i miotłą – dodał po chwili – bo ta mała sprzątaczką ani myśli się przemęczać! Jak te nasze wozy wyglądają??! Śmieć na śmieciu! Bo pasażer i tak pojedzie, jak musi gdzieś jechać. Ale kogo obchodzi, w jakich warunkach podróżuje pasażer??! No powiedz sama, Jania, czy to nie świństwo?...

Jania, żona konduktora, a właściwie prawie że kontrolera, zgodziła się ze wszystkim i pobięła, na konto awansu męża, kupić sobie nową torebkę. Przy okazji nie omieszkała poinformować wszystkich swoich przyjaciółek, że już jest „kontrolerową”, a nie „konduktorową”, jak do tej pory. Kiedy wróciła, przyszedł kontroler spał błogo uśmiechnięty i śnił cudowny sen o nowych ulepszeniach w autobusie. Kładąc się koło męża słyszała, jak mówił przez sen, nawet całkiem wyraźnie: – Tylko trochę dobrej woli, trochę wysiłku, odrobinę inteligencji i zwyczajny autobus można zamienić na dzieło sztuki...

Przez okrągły miesiąc pan Zenek z sierotką podróżowali w luksusowych warunkach. Pan Zenek nie mógł w żaden sposób pojąć przyczyny zmiany w wyglądzie wozów oraz w stosunku obsługi tychże wozów do pasażerów. Był przyzwyczajony do odezwań w stylu: „Zanim każdy rozplaszczy tyłek na siedzeniu, niech najpierw zapłaci za bilet!” Nagle zaczął słyszeć jakieś niezrozumiałe słowa: „Czy można prosić o należność za bilet?” Albo co gorzej: „Proszę bardzo, niech państwo spokojnie zajmą miejsca, ja sam za chwilę od każdego odbiorę pieniądze za przejazd”.

Sierotka musiała pocieszać pana Zenka, który wpadł w popłoch i zwierzył się jej, że podejrzewa zbliżającą się wojnę albo jakiś straszny kataklizm. – Zawsze przed każdym groźnym wydarzeniem ludzie się dziwnie zachowują – szeptał pan Zenek do sierotki, kłapiąc nerwowo zębami.

– Przestań się martwić na zapas! – karciła pana Zenka sierotka. – A zresztą nie wiem, co ty w tym widzisz dziwnego? Przecież tak właśnie powinno być!

Należy darować tę naiwność sierotce. Była ona jeszcze dzieckiem i nie mogła wiedzieć, co to jest życie, a zwłaszcza życie w autobusach.

Pan Zenek może by nawet wpadł w jakiś stan depresyjny z powodu tych wygód w podróży oraz przeczuć zbliżającej się zagłady, gdyby nie zdrowy rozsądek sierotki, która pewnego dnia powiedziała:

– Koniec zabawy! Najeździliśmy się, jak nie wiem co! Teraz trzeba pomyśleć o pracy. Wracasz do jarzyn! Mężczyzna musi dbać o utrzymanie rodziny.

Wówczas pan Zenek ciężko zstąpił z obłoków na ziemię: – Ale ja już nie mam pracy! Być może nie zechcą mnie przyjąć nawet na ekspedienta, nie mówiąc już o stanowisku kierowniczym...

– Już ty się nie bój! – powiedziała z twardym przekonaniem sierotka. – Ja się wszystkim zajmę. – I zajęła się.

Tymczasem na dworcu autobusowym rozeszła się wieść: „Kontrolerzy przestali się pojawiać!”... Ciągle jeszcze zachowywano czujność, konduktorzy i kierowcy każdego dnia pucowali siebie i wozy z dawną przesadą, czekając na pojawienie się kontroli, która powinna zwrócić uwagę na wspaniałą wykładnię pojazdów i obsługi. Opóźniano nawet odjazdy autobusów, no bo „wypucowany autobus ruszy w drogę, gdy tymczasem pojawi się kontrola i kto zauważy wszystkie starania?... Pasażerowie wściekali się, słuchając nadawanych przez megafony komunikatów:

„Z przyczyn natury technicznej, autobus numer taki a taki, odjedzie z opóźnieniem. Przepraszamy”. Zamieszanie na dworcu autobusowym zaczęło niepokoić nie tylko pasażerów, ale już i cały personel. Po kilka wozów tłoczyło się na stanowiskach, nikt nie chciał pierwszy ruszyć, aby nie przegapić momentu zablasyśnięcia swoim wyglądem przed tajemniczą kontrolą. W końcu jednak wygasł zapał i nadzieja, iż kontrola zjawi się kiedyś jeszcze. Wszystko wróciło do normalnego stanu, czyli przeciętnych opóźnień, stosowanych jak dawniej regularnie, ale bez przesady. W budce z piwem zaczęły zwiększać się obroty, pomieszczenia sanitarne straciły wykładnię piękności, jeżeli wpadano tam, to tylko z racji zwyczajnej ludzkiej potrzeby, a nie aby przylizać włosy brylantyną, czy też obficie spryskać się lawendową wodą kolońską. Wrócił brud za paznokcie i normalne, ludzkie słowa: „Zanim rozplaszczycie tyłki na siedzeniach, najpierw podawać pieniądze za przejazd!” Tylko jeden człowiek, którego żona za żadne skarby świata nie chciała zrezygnować z szansy stania się panią kontrolerową, z fanatycznym uporem sprzątał swój pojazd, uzupełniał go coraz to przemyślniejszymi ozdobami ze sztucznych kwiatów; na każde wolne miejsce w ścianie autobusu przyklejał kolorowe obrazki wycinane przez żonę z zagranicznych pism, tak że w końcu wewnątrz autobusu przypominało bardziej wnętrze wędrownego cyrku, niż pojazdu przeznaczonego do przewożenia szarych pasażerów. Człowiek ten został uznany za szaleńca. Przyzwyczał się do tego, że zamiast powitania przez

podanie ręki, witano go stuknięciem palcem w czoło.

Po kilku miesiącach o „kontrolach” wspomniano już tylko czasem, jak o pojawieniu się niezidentyfikowanego pojazdu kosmicznego, który pojawił się i zniknął – może go nawet nie było, może został stworzony przez zbiorową imaginację... Lecz niedoszły kontroler ciągle jeszcze walczył o wymarzony awans i o wyróżnienie. Upór jego został nagrodzony; pewnego dnia jakiś zblizowany reżyser filmowy, penetrując autobusy wpadł w zachwyt i powiedział:

– To jest to, czego szukałem! – Ten reżyser kręcił film o Cyganach. Film miał posiadać bardzo współczesne akcenty, toteż reżyser uważał za stosowne zrezygnować z typowo cygańskich wozów i zastąpić je jakimiś gruchotami na ogumionych kołach. – Nic dodać i nic ująć! – zdecydował reżyser. – Będziemy kręcić we wnętrzu tej dryndy!

Za odpowiednią opłatą wypożyczono autobus na jeden dzień kręcenia filmu. Wtłoczono tam ośmiu Cyganów z różnymi instrumentami i dwie Cyganki, które miały wykonywać cygański taniec. W ostatniej chwili okazało się, że jeden z Cyganów, który miał grać na

skrzypcach, zatrul się zimnymi nóżkami do tego stopnia, iż musiano nieszczęśnika położyć w szpitalu. No i zabrakło Cygana do skrzypiec! Ale od czego inteligencja i szybki refleks reżysera?... Skoro tylko wzrok jego padł na konduktora, przyglądającego się zabiegom przy rozpoczęciu kręcenia filmu, natychmiast zdecydował: – Od tej chwili jesteś pan Cyganem! Wskakuj pan w cygańskie odzienie! Dzisiaj muszę mieć gotowe to ujęcie!!! Nie będę tracił czasu na szukanie innego Cygana. – No i konduktor wskoczył w cygański strój. Miał tylko lekkie opory co do sprawy skrzypiec, gdyż nigdy w życiu nie miał w ręku żadnego instrumentu.

– Niech pana o to głowa nie boli! – krzyknął reżyser usłyszawszy szept przerażenia konduktora. – I tak muzyka idzie z plejbeku. Pan ma tylko rznąć smykiem od ucha do ucha!

Konduktor nie wiedział, co to jest „plejbek”. Potem kiedy oglądał film, nie mógł się nadziwić nie tylko swojej cygańskiej urodzie, którą sprytnie i wyrafinowanie skombinował charakteryzator, ale szczególnie zastanawiał go fakt, iż wyczarował tak przepiękną melodię; pamiętał jeszcze przeraźliwy jazgot, kiedy szarpał struny skrzypiec smyczkiem (podczas kręcenia filmu). – Jak to się mogło stać? – pytał żony, leżąc obok niej w łóżku i wpatrując się w sufit, jakby tam właśnie była wypisana odpowiedź na dręczące pytanie.

– A co cię to obchodzi? – odpowiedziała żona, czule wpatrując się w jego twarz w ciemności. – Oni wszystko potrafią zrobić. Gdybym ja się znalazła w filmie, już by takie cuda ze mną powyczyniali, że kto wie, czyby się więcej o mnie nie mówiło, niż o takiej Zośce Loren...

– Jednak to jest zadziwiające – w dalszym ciągu zastanawiał się konduktor.

– No i co z tego? Najważniejsze, że Zdziśkę szlag trafi, jak cię zobaczy na ekranie! Stale mi dogadywała, że nie zostałeś kontrolerem, chociaż ja na to konto kupiłam już sobie torebkę. Zostałeś za to artystą! Kontrolerem może zostać każdy, a artystą nie. Na to się trzeba urodzić! Sam to chyba rozumiesz? Nigdy w życiu nie trzymałeś skrzypiec w rękach, a zagrałeś jak sam Chaczaturian!

Konduktor nie był pewien, czy Chaczaturian grywał na skrzypcach, ale on już niczego nie był pewien, nawet tego, czy w dalszym ciągu będzie konduktorem, czy też spadnie na niego sława artysty, zwłaszcza iż mieszkańcy ulicy, na której mieszkał, kłaniali mu się z przesadną uprzejmością, a małe dziewczynki szeptały do siebie, kiedy tylko się pojawił w pobliżu: – Patrzcie! To nasz artysta! On grał w filmie!

Konduktor wiele jeszcze lat spędził na stanowisku, jakie zajmował, ciągle oczekując następnej propozycji do filmu. Patrząc po latach na wyblakłe strzępki kolorowych wyklejanek w autobusie, prostował przygarbione plecy i nucił pod nosem melodię cygańską, która pozostała w jego pamięci na całe życie. Kiedy żona odeszła od niego z powodu utraty wiary, iż jej mąż zrobi kiedykolwiek karierę albo w branży autobusowej, albo w filmie, kupił sobie skrzypce, próbując wyczarować z nich cygańską melodię. Co innego jednak film, a co innego życie; nic prócz fałszywych pisków i zgrzytów nie dało się słyszeć. Sąsiedzi złożyli zażalenie do odpowiednich władz, że nie mogą słuchać ani radia, ani programu telewizyjnego z powodu tych niemiłych dźwięków, więc zamknął skrzypce w futerał i schował je pod łóżko. Futerał pokrył kurz, a życie konduktora obojętność. W odpowiednim czasie bardzo cicho i już bez buntu odszedł z tego świata. Znalezione go na łóżku, a pod łóżkiem skrzypce. Ktoś tam zaczął wygrzebywać w pamięci wspomnienia o nim, ale wspomnienia były stare i bardzo nieścisłe: jedni mówili, że był kiedyś konduktorem w autobusach, inni że kontrolerem, ktoś się upierał, że Cyganem, a ktoś, że niedoszłym Paganinim... Jakie to jednak ma znaczenie? Mógł być wszystkim. Teraz już go nie było.

Rozdział XXVI

Ołówek ostry jak sztylet

Sierotka, która musiała zawsze wiedzieć wszystko, wiedziała oczywiście, gdzie mieści się dyrekcja, czyli dawne władze nadrzędne pana Zenka. Któregoś dnia, podrobiwszy uprzednio w dzienniczku podpis stryjka, wypisała sobie zwolnienie z dwóch ostatnich lekcji. Nawet zupełnie zgrabnie była sformułowana prośba o zwolnienie bratanicy, tylko ortografia świadczyła o niezbyt wysokim wykształceniu stryjka. Wszystko razem brzmiało następująco: „Uprzejmie proszę o zwolnienie mojej bratanicy z dwu ostatnich lekcji. Jest mi ona niezbędnie poczebna w warznych sprawach rodzinnych”. Potem następował sfalszowany podpis, nad którym sierotka męczyła się kilka godzin, próbując uprzednio na osobnym papierku skomplikowanych zawijasów, jakie pan Zenek miał zwyczaj stawiać przy swoim podpisie.

Zwalniając ją nauczycielka zapytała z ironiczną miną:

– Kim właściwie jest twój stryjek?

– Jak to kim jest? – niby zdziwiła się sierotka, domyślając się, że pytanie i ironiczna mina mają coś wspólnego z ortografią, co do której zawsze miała uprzedzenia. – Jest moim kochanym stryjkiem – zaakcentowała ostatnie słowa. – Nie musi się nikim specjalnym być, jeżeli jest się już stryjkiem biednej sierotki. Nie każdy potrafi udźwignąć taki ciężar na swoich barkach! A mój stryjek potrafi.

– Dobrze, że chociaż to rozumiesz, że jesteś dla kogoś ciężarem – nauczycielka przeskoczyła myślą z tematu ortografii do problemów ogólnoludzkich, dzięki czemu sierotka czuła się już całkiem bezpieczna i pewna, że nauczycielka nie zacznie badań autentyczności podpisu stryjka.

Wsiadła w tramwaj, któremu pozwoliła się wieźć przez osiem przystanków, potem stanęła przed budynkiem z olbrzymim napisem, który wyraźnie świadczył o tym, iż tutaj właśnie mieści się dyrekcja stryjka, czyli cel podróży oraz powód, dla którego popełniła fałszerstwo. Sierotka będąc dzieckiem nad wiek rozwiniętym, zdawała sobie sprawę z niewłaściwości swego postępowania i nawet wyznaczyła sobie karę za ten niegodny czyn: „w przyszłym tygodniu ani razu nie zjem lodów; za pokutę”. Nikt nie dowiedział się nigdy, dlaczego pokutę wyznaczyła dopiero na przyszły tydzień. Ten tydzień dopiero się zaczął i mógł być również zdatny do pokuty. Może jednak wołała przez cały tydzień męczyć się myślą, iż w przyszłym tygodniu nie będzie jej wolno zjeść lodów, a może był inny, znany tylko samej sierotce powód.

Weszła więc sierotka do gmachu i zaraz „caps!” została capnięta przez krzywonosego portiera: – Zara, zara! Nie tak śpieszno! Dokąd to panienka się wybiera? – zawarczał krzywonosy.

Sierotka nie była przygotowana na podobną niespodziankę. Po prostu pan Zenek nigdy jej nie mówił, że w dyrekcji jest jakiś krzywonosy, który może zastąpić drogę małej dziewczynce. Sierotka od zaskoczenia przeszła do wyrzutów (w myślach) pod adresem stryjka: już ona mu powie, że powinien zawsze o wszystkim jej mówić i to ze szczegółami! Potem wzięła górę sierocy rozsądek i roztropność: trzeba coś wykombinować, żeby

krzywonosy ją wpuścił. Nie będzie mu przecież tłumaczyć, po co przyszła. Mógłby powiedzieć, że takich spraw dzieci nie mają prawa załatwiać, że niech stryj sam przyjdzie. A przecież wiadomo, że stryjek nigdy by tego nie zrobił; był uparty i dumny. Skoro poprosił o zwolnienie z pracy, teraz za żadne skarby świata nie przyszedłby tutaj, żeby się o pracę z powrotem napraszać. Musiała to za niego załatwić sierotka. Jednak wszystko zależy od tego typu z krzywym nosem i wredną gębą... Sierotka wpadła na pewien pomysł, najpierw jednak musiała się upewnić, czy istnieje możliwość zrealizowania go; rozejrzała się wokół po niewielkiej przestrzeni... Nigdzie nie widać było drzwi odpowiednio oznakowanych, czyli że toalety musiały być usytuowane wewnątrz budynku, to właśnie mogło spowodować, że znajdzie się poza zasięgiem wzroku krzywonosego. Zakryła oczy rękami, skuliła głowę w ramiona (co oznaczało wielkie zażenowanie), wreszcie ledwie dosłyszalnie wyszeptała:

– Strasznie chcę siusiu... Jestem chora na pęcherz, bo ja jestem sierotką i jak byłam malutka, to mnie przeziębili w sierocińcu...

– Ja też jestem sierotką – rozrzewnił się krzywonosy portier i o mało nie zapłakał. – Wiem, co to sierocy los. Oj wiem ja, wiem!

– A od jak dawna jest pan sierotką? – zapytała sierotka, gdyż serduszko miała czule i to, że była sprytna, nie miało nic wspólnego z jej dziecięcą wrażliwością.

– Od dwóch lat – odpowiedział krzywonosy i tym razem już jawnie zapłakał.

Sierotka współczuła mu, choć pomyślała sobie, że łatwiej chyba być sierotką, kiedy się ma sześćdziesiąt lat, tak jak krzywonosy, niż jeśli się jest małą dziewczynką.

Krzywonosy od płaczu przeszedł do konkretnego: – Leć tam, za te drzwi! Na lewo jest korytarzyk, a tam już zobaczysz... Aha! I masz tu kawałek papieru toaletowego. Wszystko tam urzędnicy, niby inteligencja, ale pożałuj Boże, jeżeli chodzi o papier! Każdy ukradnie i za chwilę nic nie ma... A najlepiej to idź na pierwsze piętro, tam gdzie jest gabinet pana dyrektora; o wiele przyjemniej i mniej papieru kradną. Jakby cię kto zaczepił, że po co się tam kręcisz, to powiedz, że jesteś bratanicą portiera i idziesz do pana dyrektora, żeby mu zanieść zaostrzony ołówek kopiowy. O! Nawet możesz to zabrać! Masz tu ten ołówek. Nie będę musiał chodzić po schodach – i krzywonosy wręczył sierotce pięknie, do szpica wyostrzony ołówek.

Pobiegła sierotka z tym ołówkiem, teraz już całkiem pewna załatwienia sprawy. Na schody wskakiwała po dwa stopnie, uważając przy tym, aby obydwie nogi były złączone; inaczej było nieważne. Zastukała do drzwi z napisem „Dyrektor” i nie czekając na zaproszenie, weszła. Sekretarka (w pokoiku odgradzającym kancelarię dyrektora od korytarza) prawie że nie spojrzała na nią, wyciągnęła tylko rękę: – Daj ten ołówek! Można bzik dostać! Jak tylko który dochrapie się „dyrektora”, to mu już w niczym dogodzić nie można! Musi mieć ołówek cienki na końcu jak sztylet! Sekretarka takiemu nie wystarcza! Potrzebuje jeszcze do pomocy portiera! Jak się stanie jeszcze bardziej ważny, to mu i portier nie wystarczy! Pewnie zażąda osobnego etatu dla ostrzyciela ołówków! – sekretarka była najwyraźniej zdenerwowana i z trudem panowała nad swoim głosem.

Sierotka cofnęła rękę z ołówkiem: – Ja muszę osobiście oddać! Stryjek kazał „nikomu tylko samemu panu dyrektorowi”. Powiedział: „Pan dyrektor przykazał, żeby osobiście oddać”.

Sekretarka wybałuszyła oczy na sierotkę. Najpierw w tych oczach było zdziwienie, graniczące z niedowierzaniem, potem coś jakby przestrasz: – Aha! – powiedziała po chwili namysłu – daje mi do zrozumienia, że mi nie ufa. Czekaj tylko na okazję, żeby mnie wylać. Myślał pewnie, że cię nie wpuszczę z tym ołówkiem i wtedy zrobiłby mi drakę. Ale nie na mnie te numery! Tam jest konferencja i zakazał, aby kogokolwiek wpuszczać, skoro jednak tak sprawy wyglądają... Otóż ja go właśnie przechytuję! Idź z tym ołówkiem! Wchodź śmiało! Bez pukania!... Bęcwał! Dyrektor od kopiowego ołówka! – ostatnich słów sierotka już nie słyszała, była bowiem w samym środku gabinetu pana dyrektora. Pomachała trochę

ręką, żeby rozwiać gęstwą dymu papierosowego. Nie była pewna, który z wielu siedzących przy długim stole panów jest dyrektorem, jednak wiedzona sierocą inteligencją domyśliła się, że musi to być pan siedzący pośrodku stołu i z najgroźniejszą miną.

– Czego ty tu??! – zaryczał środkowy pan. – Jakim prawem ta oślica sekretarka wpuszcza kogoś podczas ważnej konferencji??! Wyraźnie jej mówiłem...

– Ale ja... – sierotka skonsternowana nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Najbezpieczniej chyba było zacząć od ołówka. Wyciągnęła więc rękę.

– A? – dyrektor spojrział na ołówek. – Ta sprawa nie była aż tak paląca, żeby przerywać mi konferencję.

Sierotka zdążyła tylko pomyśleć: „niech się dzieje co chce! Teraz albo nigdy!” i już popłynęły słowa: – Sprawa jest bardzo paląca, bo mój stryjek...

– Wyostrzył mi ołówek. W porządku. Podziękuj stryjkowi – dyrektor odwrócił się zniecierpliwiony od sierotki, z powrotem kierując spojrzenie w dziesięć par oczu utkwionych w niego pokornymi spojrzeniami, przebijającymi się z trudem przez chmurę dymu.

– Ja mam jeszcze drugiego stryjka – powiedziała szybko sierotka – i właściwie to o tego drugiego stryjka chodzi...

– Zmykaj stąd i nie zawracaj mi głowy stryjkami! – dyrektor lekko zsiniał ze złości.

– Nigdy bym się nie ośmieliła, gdyby nie chodziło o sprawę wielkiej wagi! Mój stryjek, ten drugi, nic nie wie, że ja tu przyszedłam, ale dobrze zrobiłam i dobrze, że właśnie jest konferencja, bo będzie można z miejsca całą sprawę załatwić, bez papierków i bez tej całej biurokracji, która nam tak niszczy życie. Bo musi pan dyrektor przyznać, że w dzisiejszych czasach trudno trafić na prawdziwego człowieka; gdzie się spojrzy, to biurokrata! Na szczęście pan dyrektor jest całkiem inny, o czym całe miasto wie, a w każdym razie ci, którzy wiedzieć powinni. Cały świat warzyw tylko huczy o panu dyrektorze, aż czasem słuchać przykro, bo każdy by chciał, żeby o nim też dobrze mówiono, ale jak ktoś nie zasługuje, to co robić, no nie?

Dyrektorowi wyraźnie odjęło mowę. Siedział w fotelu i przyglądał się sierotce nic nierozumiejącym wzrokiem, a razem z nim próbowało nic nie rozumieć dziesięć par innych oczu. Po chwili dyrektor jakby zaczął się budzić po ciężkiej operacji, do której przedtem użyto sporej dawki narkozy: – Słuchaj no, mała, albo ja zwariowałem, albo z tobą jest coś nie w porządku – wymamrotał.

– Ze mną na razie jest dobrze, ale będzie całkiem źle, jeżeli stryjek nie wróci na poprzednie stanowisko. On ma zatwardziałą ambicję i nigdy by sam nie przyszedł do pana dyrektora. A co wtedy ze mną się stanie, jak „zostaniemy na bruku?”... Jestem przecież sierotką, a świat nie jest za dobry dla sierotek. Tylko stryjek jest dla mnie dobry, ale bez potrzeby wbił sobie w głowę to Skarżysko, bo on czasem to postępuje jak szalony poeta i teraz mamy tego skutki! – sierotka rozszlochała się prawdziwymi łzami.

Dyrektor ukrył głowę w dłoniach. Za jego przykładem poszło dziesięć innych głów. – Błagam cię! – wyszeptał dyrektor – powiedz mi wyraźnie, o co chodzi, ale tak, abym mógł z tego coś zrozumieć. Ja teraz mam ważną konferencję... Niech to wszyscy diabli!!! – opanował zaraz wzburzenie i znów próbował mówić spokojnie: – w dwóch słowach powiedz, co to za sprawa stryjka! Postaram się wszystko załatwić, tylko żebym cię tu już nie widział!

– A więc: mój stryjek był kierownikiem sklepu warzywnego... Był bardzo dobrym kierownikiem. Aż tu nagle napisał list do pana dyrektora, że nie chce być kierownikiem, a wszystko przeze mnie, bo ja mu źle wyjaśniłam jego sen i przez to chcieliśmy się przenieść do Skarżyska, aleśmy się nie przenieśli i teraz stryjek nie jest kierownikiem. No to skoro ja nie umiem tak dobrze tłumaczyć snów, jak to robi stryjenka w Skarżysku, i przeze mnie stało się to wszystko, że stryjek nie jest kierownikiem, to moim obowiązkiem było naprawić, co popsułam, bo to jest obowiązek każdego człowieka, nawet jeżeli jest jeszcze mały.

– Dobrze – powiedział dyrektor, który postanowił zachować anielską cierpliwość. – Podaj mi teraz dokładne dane: jak się stryjek nazywa, o który to sklep z warzywami chodzi i tak dalej...

Sierotka bezbłędnie i szybko dyktowała dane, które spisywała wezwana sekretarka, przy czym dyrektor* podczas całego tego zabiegu nie przestawał mordować wzrokiem sekretarki. Sierotce nawet w pewnym momencie wydawało się, że bierze sekretarkę na ząb, co istotnie musiało być prawdą, bo za chwilę ćwirknął na zębie i splunął, jakby wypluł kawałek niesmacznego mięsa. Potem zaczął dyktować ostatnie słowa: – Od dnia... Proszę wpisać jutrzejszą datę – zwrócił się do sekretarki – obywatel taki to a taki, zostaje z powrotem powołany na stanowisko kierownika sklepu warzywnego... Tam pani ma dane, więc proszę wpisać! – znów przeżuł w zębach sekretarkę, ale już nie brudził dywanu splunięciem. – Zdaje się, że tamtego sklepu nie mieliśmy w dalszym ciągu obsadzonego? – zwrócił się do siedzących panów. Wszyscy równocześnie wykonali przeczący ruch głową. – Ktoś tam pełnił funkcję zastępcy, czy coś takiego... Zresztą to nie ma znaczenia. Nawet jeżeli był jakiś kierownik, to się go przeniesie do innego punktu. Panowie mnie rozumieją?... Jeżeli dzisiaj nie skończymy tej konferencji, to cały plan leży!...

Panowie zrozumieli, co zostało wyrażone kiwnięciem głów.

Nie patrząc na sekretarkę, dyrektor skierował do niej słowa:

– Proszę to przepisać na maszynie, w kilku kopiach. Po konferencji przyniesie mi pani do podpisu.

– Tak jest, panie dyrektorze. Zwłaszcza że ma pan dyrektor już ten dobrze wyostrzony ołówek, a będzie przecież kilka kopii – odpowiedziała sekretarka. Choć głosu nie zabarwiła ironią, powinna była jednak przewidzieć, co przynieść mogą jej słowa.

– Aha! Jak już pani usiądzie do maszyny, to proszę również wypisać dla siebie przeniesienie do działu transportu. Sekretarka z transportu przejdzie na pani miejsce. Jest w odmiennym stanie, nie można pozwolić, aby biegła na jedenaste piętro; wymiana windy potrwa jeszcze z kilka tygodni.

Po tych słowach nastąpiła cisza, w której sekretarka z sierotką wymknęły się prawie bezszelestnie. Sierotka nie zatrzymywała się już w pokoiku sekretarki, która rzuciwszy się na krzesło zaczęła ze złości gryźć czcionki maszyny do pisania. Sierotka pomyślała sobie tylko, że dorośli ludzie zachowują się czasem jak dzieci, i zbiegła po schodach. – Stryjku! Kocham cię, wiesz? – powiedziała bardzo serio. – A ten ołówek był chyba zaczarowany, jak ten z telewizji. Jeżeli nie oglądałeś programów dla dzieci, to rób to od dzisiaj! Można się mądrych rzeczy nauczyć. Idę już. Jeżeli jednak pozwolisz, to od czasu do czasu wpadnę tu do ciebie. Strasznie się cieszę, że mam jeszcze jednego stryjka. A najlepiej, żebyście się poznali! Dam ci adres naszego sklepu – skrobiąc na bibułce adres, mówiła dalej: – Nigdzie nie dostaniesz tak dobrych warzyw, jak u nas. Teraz, skoro stryjkowi z powrotem załatwiłam tę pracę, zaprowadzi się w sklepie inne porządki. Nie zgodzę się na żadne stare warzywa. Myślę, że dyrektor byłby tego samego zdania, tylko nie zdążyłam z nim omówić szczegółów przez tę konferencję. W każdym razie najważniejsze, że tak szybko załatwiłam sprawę stryjka... Tego drugiego... Tylko trochę szkoda mi sekretarki; będzie musiała chodzić na jedenaste piętro. Chociaż, ja wiem?... Jest trochę za gruba, może jej to nawet dobrze zrobi... No to pa! Dziękuję ci za wszystko i nie zapomnij wpaść do nas! – sierotka wybiegła z budynku, zostawiając zupełnie zdezorientowanego portiera. Spoglądał na adres i nic nie mógł zrozumieć... „Jaki sklep z warzywami? Jaka praca? Jaki drugi stryjek?”... Poczul się nieswojo; „czy aby nie pokpiłem swoich obowiązków portiera wpuszczając do dyrekcji tę dziewczynkę? Bratanicę niby... I czy ona aby z pewnością miała kłopoty z pęcherzem?... Coś dziwnego kryło się za tym wszystkim... A! Wszystko jedno!” – pomyślał krzywonosy portier. „Może nawet postąpiłem niecałkiem formalnie, ale za to jestem czymś stryjkiem!”

W niedługim czasie udał się pod wskazany adres, do sklepu warzywnego, aby wypić na miejscu butelkę soku z marchwi. Królował już tam pan Zenek, jego przypadkowy bliski krewniak. Sokiem z marchwi przypieczętowano dozgonną przyjaźń. Ta marchwiana pieczęć była trwalsza od pieczęci z krwi!

Rozdział XXVII

Dlaczego sierotka rozmyśla?

Począwszy od pewnego poniedziałku za miesiąc miały być urodziny pana Zenka. Sierotka bardzo dbała o tę datę, miała ją dokładnie wypisaną w pamięci i nie było obaw o to, aby ją przegapiła, natomiast trudność stanowił wybór jakiegoś szczególnie miłego podarunku. Musiało to być koniecznie coś niezwykłego! Sierotce przychodziło sto pomysłów do głowy, jak:

oswojenie piwnicznego kota i zainstalowanie go w koszyczku w kącie mieszkania, jak akwarium ze złotymi rybkami albo morska świnka... Wszystko to jednak, zdawała sobie sprawę, sprawiłoby więcej przyjemności jej samej, niż stryjkowi. Należało pomyśleć o podarunku, który dotyczyłby wyłącznie pana Zenka i który byłby w stanie ucieszyć go tak, jak nic do tej pory.

Myśli płoszyły sen z oczu, kiedy sierotka kładła się do łóżka. Pojękiwała przez sen, przewracała się w pościeli, aż zaniepokojony pan Zenek zrywał się w środku nocy, dopytując, co jego ukochaną dziewczynkę dręczy i czy aby nie jest chora? Mimo protestów ustawicznie zaparzał rumianek, który to lek, wiadomo, pomaga na wszystko i poił nim stroskaną sierotkę. Sierotka z tajemniczą miną mówiła, że nie długo skończą się jej kłopoty i bezsenność. – Ja po prostu myślę – tłumaczyła wystraszonemu panu Zenkowi. – Nic się nie martw, jak tylko wymyślę, co trzeba, będę spać tak dobrze, jak dawniej.

– Ale o czym ty tak myślisz, na miłość boską?! – dopytywał się pan Zenek. – Chwała Bogu, mamy co jeść, jesteśmy zdrowi i nic nam nie zagraża. Co to za myślenie, z powodu którego jęczysz przez sen?

– Bo ja się zmagam z myślami – tłumaczyła sierotka. – Nie mogę ci chwilowo nic więcej powiedzieć.

Pan Zenek odbywał długie rozmowy telefoniczne z przyjacielem Franiem, czyli krzywonosym portierem. Często wybiegał ze sklepu, z czego korzystały ekspedientki, ładując nieuważnym klientom co gorszy towar. Pan Zenek okupował budkę telefoniczną i drażnił czekające przed budką osoby, które stukwały w szybę, pokazując na zegarki, że rozmowa trwa zbyt długo. Jak mogła trwać krócej rozmowa, skoro wszystko było niejasne i tajemnicze, a koniecznie należało wprowadzić choćby błysk rozeznania w niepokój trawiący pana Zenka.

– Franciszku! Jak myślisz? Z jakiego powodu nasza sierotka może się zmagać z myślami? I z jakimi myślami? – dopytywał się w słuchawkę pan Zenek.

– Zeniu! Zlituj się! – błagał głos po drugiej stronie przewodu telefonicznego. – Ja tu dzisiaj mam urwanie głowy! Bez przerwy petenci przychodzą i muszę wypisywać przepustki!

– Chyba ciebie również powinien obchodzić los naszego dziecka? – pan Zenek poczuł się dotknięty we wspólnym ojcostwie.

– Zeniu! Jeżeli ci o to idzie, to powiem ci, że mnie nic więcej nie obchodzi poza losem naszego dziecka, ale musisz zrozumieć, że mnie wywałą na zбитy łeb, jeżeli będę przepuszczał każdego, komu się spodoba odwiedzić naszą dyrekcję! Nie daj Boże jeszcze jeden taki numer, jaki wystrugała mi sierotka, i mogę się pożegnać z posadą! Ktoś gotów znowu wtargnąć i zakłócić spokój dyrektorowi. On ledwie mi się raczy odkłaniać za tę aferę z sierotką. Ostrzegł mnie nawet, że jeżeli kiedykolwiek powtórzy się...

– To znaczy, że żałujesz tego? Tak??! – nie dał skończyć zdania krzywonosemu pan Zenek. – Żałujesz, że miałeś szczęście poznać sierotkę??! W takim razie ja od dzisiaj przestaję się tobie kłaniać! – I pan Zenek energicznie rzucił słuchawkę na widelki, wczepił się z wściekłością w aparat, próbując go rozgnieść (prawdopodobnie w ten sposób rozgniatł całego Frania, którego „o święta naiwności!” uważał do tej pory za przyjaciela).

– Coś podobnego??! Co za nickszemne chuligaństwo! – krzyczała jakaś pani. – Niszczyć aparat telefoniczny i to w biały dzień, na oczach wszystkich, którzy cierpliwie czekają w kolejce, aby skorzystać z telefonu! Sam się nagadał i teraz zostawia po sobie zgliszczą!

Pan Zenek został siłą odciągnięty od aparatu, któremu na szczęście nie uczynił żadnej krzywdy. Potracono go i grożono przed nosem groźnie wyciągniętymi pięściami. Pan Zenek jednak nic nie rozumiał, cały czas przejęty myślą o zdradliwości ludzkich uczuć oraz o sierotce, z którą nie wiadomo co się działo i nikt mu tego nie był w stanie wytłumaczyć, skoro jedyny człowiek, na którym mógł polegać, wolał wyskrobywać jakieś idiotyczne przepustki, zamiast pośpieszyć mu z pomocą. W tym miejscu pan Zenek pozwolił sobie na malutki margines w myślach: „stanowczo zbyt wiele papieru marnuje się na takie wypisywanie przepustek! Warzyw w sklepie nie wolno pakować ze względu na oszczędność papieru, jedynie miękkie owoce mają prawo dostąpić tego zaszczytu, aby się znaleźć w torebce, ale na przepustki idą całe kilogramy papieru! Z ośmiu przepustek można by zrobić zgrabne opakowanie na pietruszkę... O Boże! O czym ja w tak tragicznym momencie myślę” zastanowił się pan Zenek i roztargnionym wzrokiem przebiegł po tłumie karcących go osób. Tylko jedne dosyć ładne oczy, zielone z brązowymi cętkami, spoglądały nań łagodnie spod ronda słomkowego kapelusza. „Zupełnie ładne oczy i jakie łagodne... – pomyślał pan Zenek w dawnym nawyku spostrzegania wszystkiego, co dotyczyło kobiet. – Gdybym nie miał na głowie kłopotów z sierotką, może nawet zainteresowałbym się bliżej tymi brązowymi plamkami na zielonych oczach? Ale gdzie mi teraz myśleć o podobnych błahostkach... Ziemia pali mi się pod stopami! Raz na zawsze skreślam z życia wszystkie zielone, błękitne i brązowe oczy! W każdym razie do momentu, kiedy sprawa z sierotką się nie wyjaśni” – poprawił się po namyśle.

Sprawa wyjaśniła się dopiero w dniu jego urodzin. Do tego czasu pan Zenek bezustannie i gorączkowo szukał na własną rękę wyjaśnienia ustawicznych zamyśleń sierotki, sierotka zaś szukała ciągle czegoś w codziennym „Kurierze”. Gazetę kupowała za oszczędzone pieniądze, ukradkiem w szkole studiowała pod ławką pewną rubrykę, wypisywała coś na strzępkach oderwanych rogów gazety, strzępki te troskliwie chowała do osobnej przegródki w portmonetce, gazetę zaś wrzucała po lekcjach do kosza. Przestała przychodzić odrabiać lekcje do sklepu z warzywami, co było panu Zenkowi nawet na rękę, ponieważ stwarzało mniej konfliktów między nim a personelem. Konflikty przeważnie wynikały z racji wtrącania się sierotki do sposobu zarządzania sklepem, którego personel, zdaniem sierotki, ciągle jeszcze pozostawiał wiele do życzenia. Ekspedientki czuły się swobodniej, kiedy nie spoczywało na nich taksujące spojrzenie sierotki. Obecność pana Zenka nie przeszkadzała im, zwłaszcza że dosyć często był zajęty jakimiś tajemniczymi rozmowami z krzywonosym Franiem, który

oczywiście, tego samego dnia po tragicznym wydarzeniu z telefonem zjawił się w sklepie, i chociaż pan Zenek nie raczył mu się odkłonić (tak jak to sobie przyrzekł), nie zrażony tym nie tylko nie obraził się, ale jeszcze nakrzyczał na pana Zenka: – Jesteś starym osłem, Zeniu! Jak mogłeś mnie posądzić o obojętność??! Nawet nie dałeś mi dojść do słowa! Ja tylko mimochodem wspomniałem o zajściu z sierotką, żeby ci uzmysłowić, że mój brak uwagi może mieć tragiczne skutki! Człowiek na portierni to jak straż przygraniczna! Musi być czujny! Wypadek z sierotką był jedyny w swoim rodzaju i wcale nie mam ochoty żałować, że tak się wszystko stało, nawet powiem więcej: gotów byłbym utracić pracę, żeby tylko spotkać naszą sierotkę, ale obecnie, kiedy już jestem jej stryjem i nie mam zamiaru powiększać rodziny, mam chyba prawo sumiennie wypełniać swoje obowiązki zawodowe? Ty przecież także nie przestajesz sprzedawać warzyw, chociaż jesteś prawdziwym stryjem sierotki! A teraz mów powoli i dokładnie, o co chodzi?

Pan Zenek niewiele miał do powiedzenia, tyle że sierotka źle sypia, a czasem nawet mówi coś niewyraźnie przez sen i nie można z niej wydusić mc! Tyle tylko, że ma coś do przemyślenia. – Jak myślisz, Franiu, o czym taka mała dziewczynka może tak intensywnie myśleć? – Pan Zenek miał nadzieję znaleźć ratunek w wyjaśnieniu Frania.

– To bardzo dobrze, że myśli! – z całkowitą beztruską odpowiedział krzywonosy. – Myśli, bo jest inteligentna. Na pewno ma to po nas. Gorzej by było, gdyby kłamała albo wyrażała się nieprzyzwoicie. Dziecko rośnie, rozwija się, więc myśli. Każdy ma prawo mieć jakiś własny stryzek, na który chce się czasem schować. Poczekaj cierpliwie. Ona sama nam w odpowiednim czasie powie, o czym myślała. Więc pan Zenek, odrobinę uspokojony, czekał. Tymczasem sierotka każdego dnia po powrocie ze szkoły szybko odrabiała lekcje, a potem pisała listy:

przeważnie cztery dziennie. Za każdym razem najpierw wyciągała z portmonetki strzępki gazety, z których tekst przepisywała na kopertę. Potem przyklejała znaczki (wszystko z pieniędzy przeznaczonych na drugie śniadanie), wybiegała z domu, wpadała na pocztę, wrzucała listy do przepastnej skrzynki w ścianie, potem stawiała w kolejce przy okienku z napisem „Poste-restante” i zapytywała:

– Czy dzisiaj jest jakiś list dla godła „Rzodkiewka”?

Panienka, nieuważnie przerzucając listy, przyglądała się spod oka sierotce: – Są cztery listy. Już cię nie pierwszy raz tutaj widzę – dodawała wręczając listy. – Czy można wiedzieć, jaką to interesującą korespondencję prowadzisz prawie z całą Polską?

– A czy pani wie, co to jest tajemnica pocztowa? – odpowiadała pytaniem sierotka. – Jeżeli istnieje zakaz czytania cudzych listów, powinien też istnieć zakaz dopytywania się o listy i ich treść.

Panienka przy okienku marszczyła się niezadowolona, może nawet odpowiedziałaby coś w niegrzecznych słowach, ale musiała powrócić do zajęć, gdyż już jakiś zdenerwowany petent purpurowiał z gniewu i złorzeczył, że nie czas na prywatne pogawędki, kiedy ludzie cisną się przed okienkiem i czekają na załatwienie swoich spraw.

Sierotka biegła do domu, zamykała drzwi na klucz i szybko zabierała się do czytania listów. Przy niektórych uśmiechała się bardzo zadowolona, przy innych zastygała na chwilę w zamyśleniu, szepcząc pod nosem: – hm... Ogromne wymagania, ale przecież jak się tak dobrze zastanowić, to można by to wszystko dopasować. Zresztą na początku zawsze tak jest, że Bóg wie czego się wymaga, a potem poprzestaje się na czymś skromniejszym... Zastanowię się jeszcze... Może w ogóle nie wezmę tego listu pod uwagę. – Zdarzały się i takie listy, przy których zanosiła się śmiechem, skakała przy tym z listem w rękę po mieszkaniu, potem darła go na strzępy, podpałała zapalką i dopiero spalony wrzucała do kosza. Zresztą i te uważnie czytane listy, kiedy już zdążyła na nie odpowiedzieć, również paliła, a list z odpowiedzią natychmiast zanosiła do skrzynki.

Pan Zenek, wracając ze sklepu do domu, ciągle jeszcze pełen zapachu dojrzałych owoców i warzyw, natychmiast stwierdzał czułym nosem, że coś się w domu paliło. – Marysiu, ty chyba nie palisz ukradkiem papierosów? – zapytywał z niepokojem.

– Ależ skąd, strytku! – oburzała się sierotka. – Spaliłam tylko niepotrzebne kartki, żeby nie zapelniać kosza. Nie mamy zsypu na śmieci, a nie chcę, żebyś się sam przemęczał wynoszeniem ich. Co innego, gdybym to ja mogła robić, ale ty się uparłeś, żebym nie schodziła nigdy na podwórko, bo tam mogę spotkać tego jakiegoś „typka”... A właśnie? Powiedz mi wreszcie, kto to jest? Jeżeli mam się czegoś bać, to muszę wiedzieć czego...

– Och! Doprawdy! – pan Zenek poczuł się speszony – trudno o pewnych sprawach rozmawiać z małą dziewczynką... To bardzo nieokrzesany człowiek.

– Ale ubiera się nadzwyczaj gustownie! Zawsze nosi marynarki w kratę, taką wielką! I kolory! Liliowy i czerwony, albo żółty i pomarańczowy! No i te dwie panie, z którymi on mieszka! Och! Jakie one cudaczne! Jedna strasznie czarna, a druga znów przeraźliwie zblondyniała! Ta blondyna to ma takie biodra jak cygańska patelnia. I utyka na jedną nogę. Ale oni muszą być szalenie gościnni, bo tam zawsze dużo różnych panów przychodzi. Czasem po prostu kogoś zapraszają wprost z ulicy. Nasza stryjenka w Skarżysku to zawsze się zamykała, żeby tylko nie przyszli do nich jacyś goście. Tutaj ludzie są o wiele lepsi.

Pan Zenek przerywał tę rozmowę, gwałtownie zajmując się kolacją. Krzyczał, że sparzył się w palec, albo że mleko wykipiło. Nagle potrzebował pomocy sierotki do pokrojenia chleba, czy też podania soli, chociaż normalnie sam się lubił wszystkim zajmować. Twierdził, że po pracy w sklepie, takie zajęcia domowe są wspaniałym relaksem. Ilekroć jednak sierotka zadawała pytania, na które pan Zenek nie potrafił albo nie chciał odpowiedzieć, natychmiast znajdowało się dla niej zajęcie i to wymagające natychmiastowej jej obecności i skupienia. Aby nie doprowadzać do powtórnej rozmowy na temat niebezpiecznego mężczyzny w marynarce w kratę, pan Zenek przestał zauważać codzienne stosy spalonych papierów w koszu. Nie bardzo rozumiał przyczynę, dla której sierotka urządzała te ustawiczne ogniska, wolał jednak nie wnikać w to, w zamian za uniknięcie niebezpiecznego tematu, dotyczącego osób, których drzwi do mieszkania znajdowały się właśnie na wprost śmietnika.

Sierotka zaczęła lepiej sypiać, natomiast dom był przesiąknięty spalenizną do tego stopnia, że nawet skrapianie ścian i firan płynem do odświeżania pomieszczeń nic już nie pomagało. Pan Zenek znów udał się po radę do swego krzywonosego przyjaciela, Frania:

– Jak myślisz, Franiu? Codziennie w koszu jest coraz więcej spalonego papieru. Może powinienem jednak poprosić sierotkę o wyjaśnienie! Nigdy dotąd mój dom nie był tak przesiąknięty spalenizną.

– Nie martw się, kochany – pocieszał pana Zenka krzywonosy. – Mole nie będą się lęły, bo one okropnie nie lubią różnych smrodów.

– No ale to ustawiczne palenie jakichś papierów coś musi znaczyć? – upierał się pan Zenek. – Gdyby to był okres konspiracji, to jeszcze bym rozumiał. Paliło się różne dokumenty... Zresztą właśnie na tych spalonych strzępkach najbardziej można było wpaść. Gdyby kapusie zwąchali zapach spalenizny, od razu by wiedzieli, w czym rzecz.

– Zeniu! Ulituj ty się nad sobą! – załamywał ręce Franio. – O czym ty mówisz?! Konspiracja!... Przestań ty myśleć o upiornej przeszłości! Ciesz się, że żyjemy i że na starość mamy taką pociechę, jak nasza kochana dziewczuszka!

– No właśnie. Ale co ona stale tak pali? Czy nie uważasz, że to jest zastanawiające?

– To wcale nie jest zastanawiające – odpowiadał krzywonosy. – Dzieci miewają różne zwariowane pomysły, a już zwłaszcza przepadają za wszystkim, co jest związane z ogniem. Może to jest ten pęd do ryzyka, który my, starzy, zdołaliśmy zdusić w sobie. Robi się taką próbę: „spali się dom, czy się nie spali?”... Zauważ, że każde dziecko najchętniej bawi się zapalkami. Jak tylko jest okazja, biorą się do zapalek. Oczywiście bardzo często kończy się to spłonieniem domu, ale w naszym przypadku możemy mówić o szczęściu, ponieważ sierotka

jest ostrożną dziewczynką, bawi się ogniem, ale jak do tej pory mieszkania nie spaliła. Miejmy nadzieję, że w dalszym ciągu przy tej zabawie będzie uważała. Zobaczysz, jak dorośnie, to jej się to znudzi.

Rozdział XXVIII

Niezwykły prezent urodzinowy

Kilka dni przed urodzinami pana Zenka zniknął zapach spalenizny w mieszkaniu. Sierotka przestała kupować „Kuriera”, przestała odbierać i wysyłać listy, natomiast stała się ogromnie podniecona, miała tajemniczą minę i bez przerwy zajmowała się porządkami w domu. Nawet jeden pyłek nie miał prawa skazić czystości podłogi. Nie rozstawała się ze szmatką do ścierania kurzu, co chwila przecierała i pucowała jakiś przedmiot.

Wreszcie nadszedł dzień urodzin pana Zenka. Sierotka nie mogła doczekać się świtu. Starła się spać czujnie, aby móc wstać wcześniej, jeszcze zanim pan Zenek się zbudzi. Cichuteńko wysunęła się z łóżka. Pan Zenek oczywiście natychmiast się przebudził, udawał jednak przepastny sen, nawet pochrapywał trochę, czego na ogół nie robił, i poprzez szparki przymkniętych powiek obserwował sierotkę; szybko wciągnęła na siebie ubranie, potem na palcach, z butami w rękę, przemknęła do przedpokoju, chwilę najpierw zatrzymała się przy łóżku pana Zenka, sprawdzając, czy aby śpi, zamknęła cicho drzwi za sobą, również cicho przekręciła klucz w zamku i dopiero na schodach założyła buty.

Pan Zenek wiedział, że sierotka pragnie wrócić do domu ze świeżo zakupionymi kwiatami, po które pobiegła na rynek, i nie chciał jej w tym przeszkadzać.

Kiedy sierotka wróciła z olbrzymim bukietem peonii, który ją prawie całą zakrywał, ciągle jeszcze udawał ten swój mocny sen. Sierotka podeszła do łóżka, chrząknęła raz i drugi. Pan Zenek jakby nagle zbudził się ze snu; usiadł gwałtownie na łóżku i niby człowiek, który nagle został zaskoczony zwaleniem się nieba na jego głowę, zapytał:

– Gdzie ja jestem? Co się dzieje? Co to za dziewczynka stoi przede mną. I skąd się tu wzięło tyle przepięknych kwiatów??!

Sierotka z ogromną powagą wyrecytowała wierszyk:

W dniu urodzin stryja Zenia
niechaj spełnią się marzenia,
te ogromne i te małe
ale wszystkie doskonałe!
Niech pod stopy mu się ściele
radość, szczęście i wesele!
Szczęście musi stryja spotkać,
tego życzy mu sierotka!

Pan Zenek poczuł silne pieczenie pod powiekami, ale jak przystało na prawdziwego mężczyznę, nie dopuścił do żadnych łez, starał się je wetrzeć pięściami w oczy, natomiast sierotka rozbeczała się na całego! Objęła pana Zenka za szyję, zapomniawszy o kruchości kwiatów, które znalazły się między nią a panem Zenkiem, i urywanym przez wzruszenie głosem wyszeptła:

– O rany! Jak ja cię kocham, stryжку!... Teraz dostałeś tylko kwiaty, ale wieczorem zastaniesz w domu prezenty! Stryj Franio na pewno wstąpi po ciebie do sklepu, to jak już przyjdziecie razem do domu, wszystko będzie czekało. Prezenty zamówiłam na godzinę ósmą wieczorem. Tylko pamiętaj, żebyś mi wyjątkowo pięknie wyglądał! Zawsze jesteś piękny, ale dzisiaj masz specjalnie o siebie zadbać!

Pan Zenek, jak zwykle delikatny, nie próbował nawet dopytywać się, jakie to prezenty będą na niego czekały. Kiedy zjedli śniadanie, oczywiście wyjątkowo uroczyste, gdyż na stole, pośrodku, panoszył się ten olbrzymi bukiet peonii, pan Zenek położył przed sierotką dwieście złotych i poprosił, aby wracając ze szkoły zakupiła coś, co by się nadawało na urodzinową kolację, którą spożyją we troje, razem ze stryjem Franieniem.

Sierotka spojrzała niepewnie na pieniądze. – Obawiam się, że stanowczo za mało – odezwała się speszona. – Chyba będę potrzebowała około tysiąca złotych...

Pan Zenek nie był sknerą, jednak suma, którą wymieniła sierotka, wydała mu się zbyt wysoka, jak na koszty przyjęcia dla trzech osób. – Bój się Boga! Na jedzenie dla trzech osób to aż nadto! Zwłaszcza że ja przyniosę owoce i warzywa ze sklepu.

– Nigdy nic nie wiadomo – odezwała się skromnie sierotka. – Może się przecież zdarzyć, że zjawi się ktoś niespodziewanie... Do stryjenki w Skarżysku to czasem zwaliło się tyle osób, że potem cały miesiąc zlorzeczyła, że nikogo nie zapraszała, a przyszli i narobili jej kłopotu.

– Ba! Stryjenka w Skarżysku ma wielu znajomych, a my, jak ci wiadomo, jesteśmy tylko w trójkę. Nigdy do nas nikt nie przychodził, więc skąd nagle nabralibyśmy tych znajomych, czy też przyjaciół? Przecież nawet nikt nie wie, że ja mam urodziny, tylko ty i Franio.

Sierotka siedziała zgnębiona. – Mam dziwne przeczucie, że będziemy mieli gości. Ty wiesz, że moje przeczucia zawsze się sprawdzają.

Pan Zenek wpadł w popłoch. Rzeczywiście przeczucia sierotki na ogół się sprawdzały... Może nagle zwali się stryjenka ze Skarżyska ze wszystkimi swoimi znajomymi?... To by było straszne! Nie miał czasu się zastanawiać, jeżeli zamierzał zdążyć na czas otworzyć sklep. Położył cały tysiąc na stole, obok tych dwustu złotych, i dręczony niepokojem pobiegł do sklepu z warzywami. Cały dzień był nieuważny w pracy; zamiast selera zaczął ważyć szpinak, przy czym naraził się nie tylko na naganę ze strony klientki, ale dodatkowo na ironiczne śmiechy panny Władzi i panny Jadzi, które popiskiwały za kotarą, stukając się palcem po mocno upudrowanych czołach, a kiedy na zapytanie jednego z klientów: czy są ogórki konserwowe w słoikach? – odpowiedział nieprzytomnie: nie mam pojęcia, proszę pana – panna Jadzia natychmiast pozostawiła nieobsłużonego do końca klienta, wpadła na zaplecze do Władzi, która właśnie podzerała najpiękniejsze czereśnie, i szepnęła:

– Zostaw jedzenie na później i chodź teraz do sklepu! Zobaczysz coś całkiem ekstra! Naszemu staremu szare komórki wyciekają spod włosów! Stoi cały spocony, wpatruje się baranym okiem w klienta i nie umie odpowiedzieć, czy mamy w sklepie ogórki konserwowe, a przecież pełna półka słoików z tymi ogórkami jest za jego plecami.

– To po co klient się pyta, czy są ogórki, skoro je widzi? – zapytała rzeczowo panna Władzia. Nie miała ochoty odrywać się od smacznego zajęcia, jakim było wyjadanie ogromnych czereśni.

– Ojej! Nie chodzi o klienta, tylko o starego! Klienci zawsze pytają o wszystko po to tylko, żeby nas zmusić do odpowiedzi. Nie wiesz, jaki to złośliwy naród? Jak nie odpowiesz, to zaraz: „proszę o książkę zażaleń, albo proszę kierownika!”, bo klienci są bez serca i wydaje im się, że my musimy być na każde ich zawołanie. Nawet są takie bezczelne baby, które

zajmują nam czas opowiadaniem: jakim sposobem będą przyrządzały zakupioną kapustę. Tak jakby nas to co obchodziło. No więc jak? Idziesz czy nie?

– Jak przebioreę czereśnie, to cię zmienię. Może staremu do tej pory jeszcze więcej szarych komórek wycieknie...

Panna Jadzia wróciła do sklepu, gdzie wściekły klient próbował ją zmiążdżyć słowami i wzrokiem:

– Co tu się dzieje w tym sklepie??! Po co pani poszła na tyły sklepu, skoro marchew, o którą mi chodziło, leży na ladzie?

– A może ja poszłam „za potrzebą”? – odpowiedziała zaczepnie panna Jadzia. – Pan myśli, że ekspedientka to już nie człowiek??!

– Przepraszam – powiedział speszony klient i już bez słowa wziął rzuconą mu marchew, nawet nie próbując protestować, że mógłby otrzymać świeży pęczek, zamiast tego całkiem zwiędłego.

Tego dnia pan Zenek, mimo usilnych starań, aby się skupić, popełnił jeszcze wiele błędów, pośród innych i ten, że nie zwracał uwagi na ekspedientki pałaszujące co najładniejsze owoce. Kiedy przed zamknięciem sklepu chciał wziąć do domu dwa kilogramy czereśni, okazało się, że były to tylko pestki obleczone pomarszczoną skórką. – Co się stało? – zapytał zaskoczony.

– Mieliśmy przecież dzisiaj takie piękne czereśnie?

– Sam pan zawsze mówi i ta pana sierotka też, żeby klientom sprzedawać najlepszy towar – odpowiedziała bezczelnie panna Władzia. – No to sprzedaliśmy. Trzeba było wcześniej odłożyć dla siebie. Teraz już nie ma rady. Może pan za nie zapłacić po obniżonej cenie. W domu się wszystko zje, chyba że pan wydaje jakieś wielkie przyjęcie? – zachichotała w nieświadomości, iż trafiła w bolesną ranę pana Zenka.

Pan Zenek przejrzawszy nikczemne resztki zasobów owocowo-jarzynowych, postanowił zrezygnować z zakupów we własnym sklepie. Miał zamiar nabyć owoce w prywatnym sklepie, w pobliżu domu. Nawet to uznał za właściwsze; nie będzie bowiem zmuszony dźwigać wszystkiego przez całe miasto.

Kiedy się zabierał do zamknięcia sklepu, wkroczył jego krzywonosy przyjaciel, Franio. Trzymał przed sobą spory bukiet kwiecica, owinięty w przedziwne opakowanie. Pan Zenek rozpoznał z bliska sklejkę zrobioną z przepustek. – A niechże cię! – śmiał się, całując policzki po obydwu stronach krzywego nosa. – Ty masz pomysły, Franciszku! Żeby sobie zadać tyle trudu! Przecież trzeba było chyba cały dzień sklejać te przepustki na taki zgrabny arkusik.

– Ano, sklejało się – odpowiedział zadowolony krzywonosy. Lubił, kiedy doceniano jego dowcip. – Akurat miałem mało klienteli, a dużo przepustek. Zawsze gderasz, że się tyle papieru marnuje na te przepustki, więc postanowiłem raz właściwie je wykorzystać.

– A co to dzisiaj za święto? – zapytały równocześnie panna Władzia i panna Jadzia. – Może to bukiet zaręczynowy? – dorzuciła już solo panna Władzia.

– Pan kierownik nam się żeni, a my nic o tym nie wiemy! – To był wykrzyknik panny Jadzi.

– Czy zostaniemy zaproszone na wesele? – zapytały znów równocześnie.

Pan Zenek zeszytniał i spurpurowiał ponad śliwkowym krawatem, który tego dnia założył, aby sprawić przyjemność sierotce.

– Lubię żarty, ale w dobrym stylu – odpowiedział bardzo chłodno. – Proszę łaskawie opuścić sklep, ponieważ pragnę udać się do domu. Nie mam czasu na pogawędki. A w przyszłości proszę raczej dokładać starań przy obsłudze klientów, zamiast interesować się moimi prywatnymi sprawami.

– Jezu! Jak ja tego dziadygi nie lubię! – powiedziała panna Władzia do Jadzi, kiedy znalazły się już poza sklepem. – Nigdy nie nadawał się do życia, a odkąd ta pierońska sierotka nim zawładnęła, to już ludzkiego słowa się od niego nie usłyszy. Zauważyłaś, jaki stał się ważny? Nawet pożartować z nim nie można.

– Coś w tym musi być! – panna Jadzia zastanowiła się. – Cały dzień zachowywał się jak wąż, który dostał wścieklizny. I dlaczego ten z krzywym nosem przyniósł mu kwiaty??!

Imienin nie ma, bobyśmy wiedziały z kalendarza. Może ma urodziny?... Ale żeby tak się tym przejmować?... Tu chyba raczej chodzi o jakąś babę. Zawsze z powodu bab stawał się nienormalny. Sierotkę szlag trafi, jeżeli on się ożeni! Żadna żona nie zniesie w domu takiego wściekłego bachora. Dobrze jej tak! A zresztą, co nas to wszystko obchodzi? – i panna Jadzia z Władzią pomaszerowały dalej, zgodnie falując biodrami.

Pan Zenek wkroczył do domu z krzywonosym Franiem około godziny dziewiętnastej trzydzieści. Jeszcze będąc za drzwiami z trwogą przysłuchiwał się, czy aby nie usłyszy hałasu czynionego przez niespodziewanych gości. Panowała absolutna cisza.

W domu odświętnie przystrojona sierotka stała obok uginającego się pod potrawami stołu. Widok ten znów wprowadził niepokój w duszę pana Zenka, natomiast Franio rozpromienił się cały na widok różnorakich wędlin i dwóch butelek szampana. – Zeniu! Wygląda na to, że nasza dziewczuszka postanowiła nas urządzić! – zatarł ręce, spoglądając czule na sierotkę. – Ma rację! Takie święto! Pierwszy raz będę obchodził twoje urodziny. To dla mnie ważniejsze niż urodziny Mickiewicza albo Słowackiego, chociaż byli wielkimi wieszczami! Przyjaźń jest tak samo ważna, jak poezja, żyć bez niej trudno.

– Marysiu, możesz już podać zastawę. My z Franiem tylko wymyjemy ręce i zaraz zasiadamy do stołu. Może uda nam się zjeść chociaż część tego wszystkiego, co nakupiłaś. A widzisz? Dzisiaj nie sprawdziło się twoje przecucie! – wołał już z łazienki pan Zenek. – Na szczęście żadni goście nie zwałili nam się na kark. Ja dzisiaj cały dzień miałem zepsuty przez te twoje przecucia. Nie daj Boże, żeby nam ktoś miał zakłócić naszą rodzinną uroczystość!

Panowie odświeżeni, przyglądając jeszcze mokre włosy, wkroczyli do pokoju. Sierotka nerwowo spoglądała na drzwi wejściowe. – Stryjku, ja uważam, że możemy poczekać z jedzeniem do ósmej. Chciałbym, żeby do ósmej stół pozostał nietknięty. Wiesz... o ósmej mają nadjechać... to znaczy, nadejść moje prezenty...

– Ciekawe, co ty mi takiego szykujesz? Co to za prezenty, z powodu których nie wolno zabrać się wcześniej do jedzenia? Może to będą jakieś pikantne przyprawy do wędlin i mięs?

– Do ósmej nic nie mogę powiedzieć – z powagą odparła sierotka.

Siedzieli więc we trójkę wokół stołu i czekali, aż nadejdzie godzina ósma. Punktualnie o ósmej zaczął się dziwny rumor za drzwiami. Dało się słyszeć wiele damskich głosów, niektóre wyraźnie skłócone. Pan Zenek chwycił się za serce. – Nic tylko stryjenka ze Skarżyska przyjechała ze swoimi przyjaciółkami! – powiedział drżąc na całym ciele.

– Opanuj się, stryjku, i nie rób takiej wystraszonej miny! To nie stryjenka. To moja wielka niespodzianka. Zaraz zobaczysz! – sierotka szeroko otworzyła drzwi, przez które wepchnęły się dwadzieścia cztery panie w różnym wieku. Każda miała w ręku wiązankę kwiatów i każda płonęła oburzeniem. Wykrzykiwały jedna przez drugą:

– Coś podobnego! Chyba sobie ze mnie zakpiono??! Myślałam, że ja jedna zostałam zaproszona na te urodziny??!

– W jaki sposób mam rozmawiać o mariażu w obecności tych wszystkich antypatycznych dam??!

– Jeżeli nawet korzysta się z ogłoszeń matrymonialnych i ma się prawo do wyboru przyszłej małżonki, należy jakoś podzielić terminy zapoznania i spotkania!

– Przejechałam całą Polskę, gdyż otrzymałam listowne zapewnienie, że sprawę małżeństwa traktuje się serio. Tymczasem ktoś chce się zabawić moim kosztem! Żądam zwrotu za bilet i to w obydwie strony!

– Gdzie jest ten cholerny kandydat na męża? Miał być przystojny i na stanowisku! A tu widzę tylko dwóch starych cherlaków!

– Ja mam prywatną hodowlę nutrii i syrenę z przyczepą! Na to poszedłby niejeden młody i przystojny mężczyzna. Wyraźnie zaznaczałam w liście: młody i przystojny!

Jedna z pań trzepnęła drugą wiązanką kwiatów, aż wkleśło denko naruszonego kapelusza i urwany kwiatek wbił się w słomkę. Panie przepychały się do wnętrza mieszkania, próbując ponad swoimi głowami dojrzeć „wybrańca”, jeżeli się tam znajdował. Pan Zenek zgarbił się i ukrył twarz w rękach, przez co nie można było odczytać ani jego wieku, ani dojrzeć urody. Krzywonosy Franio siedział oniemiały, z szeroko otwartymi ustami, co nadawało mu wyraz bezgranicznego zdziwienia. Mieszkanie zaczęło pęcznieć od nadmiaru podniesionych głosów. Sierotka przystąpiła do akcji. Stała na krześle, podniosła ręce w górę, robiąc gest uspokajania tłumu i przemówiła głośno:

– Proszę o ciszę! Zaraz się wszystko wyjaśni! Otóż to ja osobiście odpowiadałam na matrymonialne ogłoszenia pań i wybrałam te, które wydawały mi się najodpowiedniejsze. Mogłabym mieć kandydatek ponad setkę, gdybym skrupulatnie nie wybierała. Kobiet niezamężnych jest tysiące, a wolnych i wspaniałych mężczyzn tyle co nie! Mój stryjek jest wspaniałym mężczyzną i chciałam mu podarować na urodziny taką samą wspaniałą narzeczoną. My nie mamy czasu, aby się umawiać z każdą na osobny dzień, bo my ciężko pracujemy, dlatego zaprosiłam na dzisiaj wszystkie panie. Stryjek i tak sam musi wybrać.

– Ejże! Panienko! – powiedziała jedna z kandydatek i groźnie podparła się pod boki. – Gdybym nawet darowała ten „festyn”, na który nas sprowadzono, to pytam się: gdzie jest ten wspaniały, przystojny, inteligentny mężczyzna, o duszy wrażliwej jak wiosenna pietruszka... To własne słowa panienki... Mężczyzna o ujmującym uśmiechu i charakterze ze szczerego złota? Ja nikogo tutaj nie widzę, kto byłby podobny do opisanego przez panienkę wizerunku!

– A to już jest bezczelność! – Franio nagle odzyskał mowę i zerwał się z krzesła. Stał na środku pokoju, dotykając ręką zgiętych w kłębek pleców pana Zenka. – Mój przyjaciel i mój krewniak z wyboru jest właśnie takim mężczyzną, jak to zostało opisane przez nasze dziecko. Ale nie dla psa kielbasa! Nie dla takich babsztyli ten wspaniały kęsek!

– Ładna historia! Jeszcze dziecko do tego dochodzi! I to wspólne! Zboczeńcy jacyś, czy co?! Tym powinna się zająć milicja! – krzyczała pani, na której czubku kapelusza chybotął wbity tam uprzednio przez rywalkę kwiatek.

– Stryjku, coś mi się wydaje, żeśmy źle wybrali

– wyszeptala w ucho pana Zenka sierotka. – Pisały o sobie, że są takie łagodne i dobre i że tylko im chodzi o uczciwego człowieka, bo że jesteś przystojny, to się samo przez się rozumie. Więc im odpisałam zgodnie z prawdą. Tragicznie zblądziłyśmy, stryjku. Ale jeszcze nie jest za późno! One jeszcze nie są twoimi żonami! Nic się nie bój. Ja to załatwię. – I rzeczywiście sierotka to załatwiła. Głośno i odważnie powiedziała paniom, że jeżeli mają życzenie, mogą ją zaskarżyć do sądu o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Stryjkowi nie może nic grozić, gdyż on tych listów nie tylko nie pisał, ale nawet o nich nie wiedział. Ona tylko gorzko żałuje, że dała się zwieść słodkim słowom, w których każda z pań odmalowała siebie jako anioła, gdy tymczasem żadna nie jest godna, choćby spojrzeć na jej ukochanego stryja, nie mówiąc już o małżeństwie! Za żadne skarby świata nie oddałyby ręki stryja którejkolwiek z obecnych tu dam i bardzo prosi, aby były uprzejmie opuścić mieszkanie i nie zakłócać rodzinnej uroczystości.

Po przemówieniu sierotki panie zbratały się ze sobą. Teraz były jedną wrogą masą, ale nie wrogą dla siebie, a dla tych tam... a zwłaszcza dla sierotki.

– Cóż za obrzydliwa i wyrafinowana dziewczucha! – Wysyczała jedna z pań. – Już teraz widać, jakie z niej wyrośnie ziółko! I czym się to zajmuje? Stręczycielstwem! W przyszłości pewnie będzie urzędowała pod latarnią!

Tego już było dla pana Zenka za wiele. Zerwał się z miejsca i w iście bohaterskiej postawie wyciągnął na całą długość rękę, wskazując nią drzwi i krzyknął:

– Won! Żeby za sekundę śladu tu po was nie było, bo powystrzelam! – rzeczywiście zaczął się rozglądać po ścianach, jakby tam szukał zawieszzonego starego sztucera. Niestety, nic nie było oprócz miedzianej wielkiej patelni, którą sierotka kupiła kiedyś na „Targach

Dominikańskich” jako starość dla ozdoby. Pan Zenek pochwycił tę patelnię, nie zdążył jej jednak użyć, ponieważ damy, piszcząc miażdżyły się w drzwiach, za którymi jak najszybciej chciały się znaleźć.

Sierotka zamknęła drzwi na klucz i na łańcuch, wsłuchując się w rumor toczących się po schodach ciał. Kiedy umilkł odgłos ostatniego stukania wysokich obcasów, odetchnęła z ulgą. – No, już po kłopotcie – powiedziała. – Po całych nocach nie spałam, żeby wymyślić dla ciebie oryginalny prezent, no i nie wyszło. Jedno jest pewne, że z żadnych ogłoszeń nie należy korzystać. Jak już coś ogłaszają, to powinno się z góry przewidzieć, że to będzie szmelc.

Pan Zenek w dalszym ciągu stał z patelnią w ręku, tyle że już teraz miał opuszczoną rękę. – Co ci przyszło do głowy? – zapytał, zaczerpnąwszy uprzednio powietrza. – Dlaczego nagle chciałaś znaleźć dla mnie żonę? Przecież nikt mi nie jest potrzebny, kiedy ty jesteś ze mną.

– Masz rację, stryжку – powiedziała z dziecinną powagą sierotka. – Na szczęście jesteś jeszcze dosyć młody i masz czas pomyśleć o małżeństwie, zanim ja wyjdę za mąż.

– Jak to „wyjdiesz za mąż”? – pan Zenek znów chwycił się za serce.

– Zwyczajnie – odpowiedziała spokojnie sierotka. – Każda dziewczyna kiedyś wychodzi za mąż i ja też wyjdę, ale mamy jeszcze czas. Zanim to się stanie, ty na pewno trafisz na odpowiednią kandydatkę do twojej ręki. Zresztą osobiście dopilnuję, żebyś nie popełnił jakiegoś fałszywego kroku, bo ty za bardzo ufasz ludziom i jesteś za dobry.

Pan Zenek poczuł słodycz w sercu po tych ciepłych słowach sierotki, równocześnie coś go ścisnęło z rozpaczą na myśl, że sierotka kiedyś może go opuścić dla jakiegoś obcego człowieka. Pocieszał się tylko, że ma jeszcze wiele czasu na podobne zmartwienie. W wyobraźni pana Zenka sierotka jeszcze długo miała pozostać małą dziewczynką.

Po niemiłych zajściach nikt nie miał ochoty, aby sięgnąć po smakołyki rozstawione na stole. Jedynie szampan miał powodzenie. Sierotka siedziała przy stole ze szklanką owocowego soku i smętnie spoglądała, jak zielenieją płatki szynki, natomiast zielona sałata żółknie.

Dwaj przyjaciele: pan Zenek i krzywonosy Franio, siedzieli obejmując się za szyję i co chwila dolewali sobie szampana do wysmukłych kieliszków. Nie było rozmów. Były tylko westchnienia. Każdy na swój sposób przeżywał dramat dzisiejszego dnia i może przyszłe dramaty, które nadejść miały, a które już przeczuwali, jako że przyszłość nie przynosi nam samych radości, o czym wie każdy myślący człowiek.

Rozdział XXIX

Trzeba ratować sierotkę!

Mijały dni i tygodnie. Wszystkie niby monotonne i zwyczajne, jak w życiu wielu ludzi. Pan Zenek między ladą a półkami pełnymi świeżych warzyw ciągle jeszcze marzył o wielkiej miłości, która może kiedyś nadejść, ale jego marzenia nie miały już poprzedniego żaru. Przyzwyczał się do tych marzeń, tak samo jak do obecności sierotki, jednak wkładał w nie mniej serca. Nie miał przecież serca wielkiego jak świąteczny placek. Skoro prawie całe

poświęcił sierotce, dla dawnych marzeń pozostał tylko kawałeczek, prawie że strzępek serca. Zdarzało się, iż zadrżał cały na widok jakiegoś błękitnego oka i długich rzęs trzepoczących z radością na widok wspaniałej marchwi, jednak natychmiast z zainteresowania błękitnymi oczyma przechodził do większego zainteresowania sierotką, która właśnie siedziała na krzeselku w kącie sklepu, między skrzyniami selera i porów. Sierotka miała smutną i zaszępioną minkę, co oczywiście dla pana Zenka było ważniejszym problemem, niż jakieś tam oczy, choćby nawet były bardziej niebieskie od najbłękitniejszego nieba. – Co ci jest, kochanie? – dopytywał się z troską w głosie pan Zenek, podbiegając do sierotki.

Przed ladą czekała klientka. Powieki nad błękitnymi oczyma zwięzały się, podczas kiedy głos z aksamitnego brzmienia przechodził prawie w zgrzyt: – Jak długo mam czekać na tę marchew? Czy pan zechce „łaskawie” mnie obsłużyć, czy też mam czekać, aż pan skończy flirty z tą panienką?

– Jakie flirty? Z jaką panienką??! To jest sierotka i do tego prawie jeszcze dziecko! – odpowiadał oburzony pan Zenek.

– Dziecko? – kpiły niebieskie oczy. – Takie „dzieci” już niejednemu mężczyźnie zrujnowały życie, ale to pańska sprawa. Nie obchodzi mnie niczyje prywatne kłopoty, chciałabym jednak być obsłużona, a wygląda na to, że pan bardziej dba o „podrośnięte sierotki”, niż o klientów.

Pan Zenek byłby wpadł w furję, gdyby nie wrodzona sumienność w wykonywaniu zawodu. Obsłużył klientkę i nawet słowem nie odpowiedział na jej niegrzeczną uwagę. Potem całą gorycz skupił na pannach Władzi i Jadzi, które właśnie wyładowywały towar na zapleczu sklepu:

– Tak się grzebiecie z tym wyładowywaniem, jakbyście przesypywały z worków brylanty, a nie brukselkę! Proszę się pośpieszyć i zająć klientami! Nie będę sam za wszystkich pracował!

Kiedy opuścił zaplecze, panna Władzia powiedziała do Jadzi:

– Stary robi się coraz bardziej zgryźliwy. On na pewno ma bzika. Przedtem miał bzika z powodu każdej ładnej baby, która wchodziła do sklepu, a teraz bzikuje przez tę sierotkę. Stale mu się zdaje, że to malutkie, biedne dziecko, którym się musi bez przerwy zajmować, ale on się jeszcze doczeka! Ani się obejrzy, jak zostanie stryjecznym dziadkiem!... Widziałaś, jak sierotka strzyże oczyma za chłopami? To pewnie rodzinne... Że też ludziom nic innego nie chodzi po głowie, tylko amory...

– Właśnie – zgodziła się panna Jadzia – każdy tylko o kochaniu myśli. Mówię ci, że to wszystko przez te filmy w telewizji. Nic tylko golizna! Jak się człowiek napatrzy na to wszystko, to potem nie może sobie dać rady ze sobą. – W tym momencie worek z brukselką wysunął się z drżących rąk panny Jadzi i kulka po kulce potoczyła się drobna zieloność po nie zamiecionej podłodze.

– O rany! Jadźka! – nie wiadomo dlaczego zachichotała panna Władzia. – Jak to stary zobaczy, to go szlag trafi!

Panna Jadzia wzruszyła ramionami. – A niech go trafi. Każdemu może się zdarzyć, że mu się worek z rąk wymknie. Jak taki mądry, to mógł sam wyładować towar. Jest niby mężczyzną. Dla kobiet to za ciężka praca. Niech tylko słowo piśnie, to mu zaraz powiem: „pana obowiązkiem jest zajmować się sklepem, a nie sierotką! Dopóki ta mała strzyga nie przyjechała, wszystko tu wyglądało inaczej! I pan kierownik był prawdziwym kierownikiem sklepu warzywnego. Skoro pan tak bardzo pokochał sierocą dołą, niech się pan przeniesie na kierownika do sierocińca!”

Panna Władzia ubrudzonymi rękami odrzuciła z oczu kosmyki włosów i wpatrzyła się w Jadzię: – Daj słowo, Jadźka, że mu to powiesz! Ale by to była heca! O rany! Chciałabym usłyszeć, jak mu mówisz to wszystko!

Panna Jadzia przysięgała, że w razie czego powie. Chwilowo nie było potrzeby, ponieważ pan Zenek przez dłuższy czas nie zajął na zaplecze. Obydwie panienki, kapustka po kapustce, nie śpiesząc się, zbierały z podłogi brukselki, podczas kiedy pan Zenek przykucnięty przed siedzącą w kątku sierotką próbował pocieszać ją w nie znanym mu jej smutku:

– Jeżeli masz trudności w nauce, to wezmę ci korepetytora!

Sierotka przecząco potrząsnęła głową.

– A może nie podoba ci się kierunek nauki? Sama sobie wybrałaś szkołę handlową, żeby umieć poprowadzić każdy sklep na sposób nowoczesny. Tak mi mówiłaś. Pochwalałem to, ale jeżeli zmieniłaś zdanie i chcesz wybrać inny zawód...

Sierotka znów przecząco potrząsnęła głową.

Pan Zenek uniósł się z przysiadu i zaczął energicznie przechadzać się między ladą a półkami warzyw. Jarzynom spiętrzoną na półkach groziła zagłada; lada moment pan Zenek mógł potrącić którąś z wysuniętych skrzynek i jarzyny potoczą się lawiną. Wąsy zielonej cebuli, najbardziej wysunięte na zewnątrz, raz po raz były trącane ramieniem pana Zenka, w końcu zwisały już bez życia w dół; sok z połamanych cybuchów wydawał ostry zapach. Być może właśnie to stało się przyczyną łez sierotki... Widoku płaczącej sierotki nie mogło znieść czułe serce pana Zenka; wczepił więc rozcapierzone ręce w to miejsce, gdzie właśnie serce się znajduje, a potem całą siłą oparł się o skrzynię z cebulką. Tęgo cebulka miała już dosyć; razem ze skrzynką runęła na podłogę, jakby na znak protestu: „każdy mój zielony pęd jest na wagę złota! A w każdym razie na wagę, na jaką zasługuje! Nie zniosę podobnego lekceważenia i nikczemnego postępowania z moimi delikatnymi cybuszkami!” – krzyczała w proteście zielona cebulka. Pan Zenek oczywiście nie słyszał tego, cały wsłuchany wyłącznie w smutek sierotki.

Sierotka, która niegdyś była praktycznym dzieckiem, a teraz stała się praktyczną panienką, pierwsza opanowała sytuację: – Stryjku! Uwważaj, bo depcesz po szczypiorze! Przesuń się trochę, to pobieram wszystko. Ty jesteś zbyt zdenerwowany. – Z tymi słowami zaczęła delikatnie wyciągać spod trzewików pana Zenka okaleczone jarzyny. Potem dodała: – Bez potrzeby tak się przejmujesz. Zaczynam się obawiać, że przeze mnie zrujnujesz sobie karierę i całe życie... Z całą pewnością awansowałbyś przynajmniej na czwartego zastępcę dyrektora w waszej centrali, gdyby nie ja. To moja wina, że zajmowałeś się więcej mną, niż rozwojem interesu. Panna Władzia mówiła mi, że dawniej, kiedy mnie jeszcze nie było, miewałeś olśniewające pomysły... Co chwila coś ulepszałeś. A teraz?... Dbasz tylko o dobrą jakość jarzyn i o mnie. Wydaje mi się, że powinnam się usunąć z twego życia...

Pan Zenek struchlał. – Jak to? „Usunąć z mego życia??!” Jaki sens miałyby moje życie, gdyby ciebie w nim nie było?

– Nawet się nie ożeniłeś... Wiadomo, żadna kobieta nie wyjdzie za mężczyznę, który ma na karku sierotkę.

– Ha! Takiej kobiety bez serca ja również bym nie chciał! – powiedział zdecydowanie pan Zenek, co poparł głośnym plaśnięciem ręką w ladę. Nie zauważył przy tym, że na ladzie leżał odłożony do wyrzucenia podgniły pomidor. W danym momencie z pomidora zrobił się płaski placek, a cała zawartość zgniłej skórki znalazła się na twarzy pana Zenka. Nie zważał jednak na nic. Nawet nie strącił pestek z powieki, tylko dalej perorował: – Żadna kobieta nie jest warta mojego uczucia. Mam doświadczenie w tych sprawach, wierz mi! Niejeden raz próbowałem oddać komuś moje serce, lepiej nie wspominać z jakim skutkiem... Moje szlachetne uczucia były zawsze odrzucane. Kobiety marzą o gwiazdorch filmowych, o dyrektorach... Komu potrzebne jest serce zieleniarza? Nawet gdybym posiadał urodę Gregory Pecka, nie jestem pewien, czy któraś z tych wyrafinowanych szelm zdecydowałaby się związać swoje życie z moim?... Teraz dopiero widzę to całkiem wyraźnie. Dla kobiet liczą się tylko pieniądze i sława!!!

– Nic podobnego? – wykrzyknęła sierotka z jakimś szczególnym zapalem. – Nie wszystkie kobiety są takie. Ja mogłabym pokochać nawet zwyczajnego ekspedienta ze sklepu warzywnego! – Przy tych słowach zaczerwieniła się gwałtownie i cebulki, które układała w skrzynce, zaczęły drżeć w jej rękach.

– Dziękuję ci, moja kochana – powiedział rozrzuwiony pan Zenek. – To ładnie, że chcesz mnie pocieszyć. Na szczęście ty nie będziesz musiała wychodzić za mąż za subiekta. Ja ci wybiorę męża! Nie mówię, że to będzie maharadża, ale w każdym razie ktoś na wysokim stanowisku. Nasze dzieci powinny zajść wyżej, niż my!

– Obawiam się, że nie masz racji – wtrąciła nieśmiało sierotka. – Dlaczego niby subiekt wydaje ci się niegodnym kandydatem na męża?... Ja myślę, że właśnie subiekt... Jeżeli tylko jest uczciwy... Jeżeli... A w ogóle, subiekt, nie subiekt, jakie to ma znaczenie, skoro się kogoś kocha?... – Sierotka nie zdążyła już nic dodać z tych zagmatwanych słów, podczas wypowiedzania których pan Zenek wpatrywał się w nią z trwożną uwagą, bowiem właśnie panny Władzia i Jadzia wtaszczyły do sklepu dwie skrzynki brukselki.

– Gdzie pan kierownik każe to postawić? – zapytała panna Władzia.

– Co postawić? – jakby spadł z obłoków pan Zenek. Patrzył na Władzię nic nie rozumiejącym wzrokiem.

– No! Brukselkę?

– Jaką brukselkę? – znów zdawał się nic nie rozumieć pan Zenek.

– O rany! Tę brukselkę cośmy ją właśnie przesypywały z Jadzią!

– Tę brukselkę coście ją właśnie przesypywały z Jadzią – powtórzył jak automat pan Zenek. – Tę brukselkę... Tę brukselkę... – starał się połapać myśli, które absolutnie nie chciały zatrzymać się na brukselce.

– Możemy z powrotem zanieść na zaplecze, jeżeli pan kierownik nie wie, gdzie to postawić – zdecydowała panna Jadzia i już z Władzią taszczyły skrzynki za kotarę. Tam oczywiście natychmiast przystąpiły do konspiracyjnych szeptów:

– Starego powinni oddać do wariatów albo na rentę – szepnęła panna Władzia. – Widziałś jego wzrok? Zamiast oczu miał dwie wybałuszone cebule; wiadomo, cebula nic nie rozumie, tak jak i jego oczy.

– Może go znów coś „naszło” i zakochał się? – panna Jadzia sapała przesuując skrzynki z brukselką.

– Ale! – nie zgodziła się panna Władzia. – Mówię ci, że zbzikował! Kochał się już więcej niż sto razy, ale nigdy do tego stopnia, żeby nie wiedzieć, co zrobić z brukselką. Może ma już sklerozę?

– Powinien jeść czosnek. To bardzo pomaga przy sklerozie. Tyle czosnku jest w sklepie, a on pozwala, żeby mu się rozum rozleciał – panna Władzia usiadła na brzegu skrzynki i zaczęła czyścić paznokcie za pomocą spinki do włosów.

– Mówiłaś, że czosnek jest dobry na robaki – zauważyła panna Jadzia.

– Na wszystko jest dobry. Nie jest dobry tylko na wątrobę. Strasznie jej szkodzi. Mój dziadek umarł na sklerozę przez to, że miał chorą wątrobę i nie mógł jeść czosnku. A przed śmiercią to sam nie wiedział, co robi. Nawet zaczął pić wódkę i gonić za młodymi dziewczynami. Wszystko z tej sklerozy. Zagonił się na śmierć. Dopadło go na szynach tramwajowych; leciał za tramwajem, w którym była ładna konduktorka, ale nim doleciał do przystanku, to go drugi tramwaj przejechał, taki co nagle wyjechał z zakrętu.

– No to dziadek umarł w wypadku tramwajowym, a nie przez sklerozę.

– A właśnie że tak! Jakby nie miał sklerozy, to by nie leciał za tramwajem. Chyba nigdy nie czytałaś o tym, że zwykle umiera się na coś innego, niż się choruje – powiedziała naukowym tonem panna Władzia. – Jak kto ma suchoty, to umiera na serce, a jak choruje na wrzody, to umrze na zapalenie płuc. Ty możesz chorować na raka, a umrzesz na tęcza, bo sobie na przykład zapaprasz jakiegoś zadrapanie brudną brukselką...

Panna Jadzia przeżegnała się na wszelki wypadek. – Wypluj te słowa! Co ci przyszło do głowy? U mnie w rodzinie nigdy nie było raka, a to podobno dziedziczne.

– Mówię tylko dla przykładu.

Mimo wszystko obydwie panienki pobiegły do umywalni wymyć ręce; z taką brukselką nigdy nic nie wiadomo. Nawet jeżeli się nie ma raka.

Tymczasem pan Zenek, ogarnięty niepokojem i złymi przeczuciami, wyszedł na chwilę ze sklepu, tłumacząc sierotce, że musi natychmiast zadzwonić do hurtowni po nowy transport brukselki, wydaje mu się bowiem, że tego dnia brukselka dobrze pójdzie. Jakoś brukselka uczepliła się jego myśli i nie miał czasu ani ochoty łamać sobie głowy nad wymyśleniem innego pretekstu. Sierotka zaprzątnięta własnymi myślami nie zwróciła na ten fakt uwagi, a panny Władzia i Jadzia po prostu nie słyszały, o czym była mowa, tak bardzo zajęte były rozmową.

Pan Zenek istotnie udał się do budki telefonicznej, nie zadzwonił jednak do hurtowni, lecz do przyjaciela Frania. Mówił w słuchawkę, przysłaniając dłonią usta, jakby w obawie, iż całe miasto może przysłuchiwać się tej rozmowie:

– Musisz koniecznie przyjść dzisiaj do mnie, Franiu! Straszne kłopoty! Razem coś uradzimy. Chodzi oczywiście o naszą sierotkę. Jej nie będzie w domu. Przed chwilą mi powiedziała, że znowu musi wyjść wieczorem, bo ma coś ważnego do załatwienia. Pojmujesz mnie chyba? Osiemnaście lat i coś ważnego do załatwienia... Z początku myślałem, że rzeczywiście. Może z kimś odrabia lekcje, czy coś takiego?... Franiu! Musimy ratować nasze dziecko! Jeszcze pięć lat temu była malutką okruszynką... Właściwie dopiero dzisiaj przyjrzałem się jej dokładniej. Wybujala jak rabarbar! Może widziałeś kiedyś takie okazałe łodygi rabarbaru?... Z liliowymi żyłkami... Rośnie to w górę, aż pod niebo...

Po drugiej stronie słuchawki niecierpliwiał się głos krzywonosego:

– Przestań mi teraz opisywać, jak wygląda rabarbar! Mów wyraźnie, o co chodzi?

– Kiedy ja sam nie wiem, o co chodzi? Właśnie muszę to z tobą ustalić. Ja tylko mam złe przecucia i jakbym się czegoś domyślał, ale jeszcze nie wiem czego... Ty masz do czynienia z różnymi młodymi biuralistkami w waszym biurze, to może prędzej się zorientujesz?

Krzywonosy się zdenerwował: – Biuralistki! Biuralistki! Co takie zwyczajne biuralistki mogą mieć wspólnego z naszą sierotką??!... Widzę, że sprawa jest poważna, więc jasne, że przyjdę, zwłaszcza że już dwa dni nie widziałem sierotki... Aha! Mówiłeś, że nie będzie jej w domu? Ale przecież wróci na noc??!... Tak żeś mnie zdenerwował tym telefonem, że mi jakaś baba przemknęła koło portierni. Ale wszystko mi jedno! Niech nawet wielbłąd wejdzie do budynku, to go nie zatrzymam i nie będę się zajmował wypisywaniem przepustki... Takie rzeczy się dzieją!!! Jak mogłeś do czegoś takiego dopuścić??!

– Do czego? – zdziwił się pan Zenek.

– A!... Rzeczywiście... Nie wiemy, do czego... No to, Zeniu, czekaj na mnie wieczorem! Ustalimy, o co chodzi. Co dwie głowy, to nie jedna! – i krzywonosy odłożył słuchawkę, zwłaszcza że właśnie wszedł do budynku typ o podejrzanym wyglądzie. Dla Frania każdy i wszystko zaczęło być podejrzanym. Po prostu wpadł w panikę, tak jak pan Zenek.

Rozdział XXX

Początek miłości sierotki i koniec miłosnych zmagañ pana Zenka

Zmierzchało, kiedy krzywonosy zastukał do drzwi pana Zenka. Szedł szybko po schodach i stuknąwszy w umówiony sposób, oparł czoło o drzwi. Z głębi płuc wydobywało się świstanie. Kiedy pan Zenek gwałtownie rozwarł drzwi, krzywonosy stracił równowagę i wpadł w ramiona pana Zenka.

– Franiu! Kochany! – mówił pan Zenek, tuląc krzywonosego w ramionach. – Nie wolno ci się przejmować aż do omdlenia! Zwłaszcza że jeszcze nie wiemy nic pewnego. Musimy dopiero ustalić, o co chodzi.

– To nie to – wysapał Franio. – Astma. Jeszcze nie odsapnąłem, kiedy ty już otworzyłeś drzwi. Mów zaraz co z sierotką!

– Mamy czas. Powiem ci wszystko, jak usiądziesz. Odpocznij chwilę. Przygotowałem nasz rodzinny soczek z marchwi. Nic się nie bój, to nie jest firmowy soczek. Zrobiłem go osobiście na twoje przyjęcie.

Panowie usiedli przy soczku z marchwi, bardzo dobrym na wszystkie okazje, i potoczyła się rozmowa:

– Sierotka jest ostatnio jakaś zamyślona i smutna, a dzisiaj się bez żadnego powodu rozpląkała – zaczął pan Zenek i zawisł spojrzeniem na oczach krzywonosego; spodziewał się znaleźć w nich zrozumienie. Znalazł.

– Rozpląkała się, powiadasz? To musi mieć jakąś głębszą przyczynę... – Franio potarł pięścią krzywy nos; gest ten zawsze pomagał mu w myśleniu. – Co by to mogło znaczyć?... Człowiek płacze, kiedy mu jest źle na świecie i kiedy jest samotny. Sierotka nie jest samotna, bo ma ciebie i mnie. I źle jej także być nie może... A właśnie! – przypomniał sobie krzywonosy. – Przyniosłem dla sierotki torebkę miętowych cukierków! Przepadała kiedyś za nimi! – I wyciągnął z kieszeni wymiętoszony pakunek.

– Franiu, obawiam się, że my ciągle sierotkę traktujemy jak małe dziecko, którym niegdyś była... Sierotka już od dawna nie jada miętowych cukierków... I chyba przestała już być dzieckiem... To straszne, ale musimy się z tym pogodzić.

– Ty mi, Zeniu, nie mów takich rzeczy. Ona dla nas zawsze będzie dzieckiem, choćby nawet nie wiem jak wyrosła. Nawet jeżeli już nie jada cukierków miętowych...

– Żeby tylko chodziło o miętowe cukierki! Franciszku! Ja się obawiam znacznie poważniejszych spraw! Miłości! Podejrzewam, że sierotka się zakochała!

– Skąd ci takie głupie myśli przyszły do głowy?

– Z początku w ogóle mi nie przyszły, ale miałem cały dzień na myślenie... No i krok po kroku doszedłem do tego, że to musi być nie co innego, a miłość! Bywały czasy, kiedy i ja się kochałem. Wtedy też wpadałem w zasepienie, milczałem, tyle tylko że nie płakałem, bo przecież mężczyźni nie wypadają płakać. Ale dziewczęta płaczą z miłości. Widziałem to niejednemu raz w telewizyjnych filmach.

– Z samej tylko miłości nie można płakać i martwić się. Ja tam nigdy, z moim krzywym nosem, nie próbowałem zakochać się, bo któraż by mnie chciała?... Ale i bez tego wiem, że nikt nie płacze dlatego tylko, że się zakochał. Chyba, że miłość jest bez wzajemności! Albo jeszcze gorzej: że ten, w którym się kochamy, robi nam krzywdę!

Pan Zenek zadrżał. – Otworzyłeś mi oczy! Ktoś skrzywdził naszą sierotkę! Sierotka ma dwóch kochających stryjów i po prostu pod ich nosem ktoś ją krzywdzi! A oni nawet palcem nie kiwną, żeby ją obronić! Franciszku! Wzywam cię do czynu! – pan Zenek energicznym gestem odsunął szklanę z marchwiowym sokiem, aż chlupnęło na białą serwetę. Nie raczył nawet spojrzeć na płamę.

– Zenonie! Staną przy tobie ramię w ramię! – zakrzyknął krzywonosy i również odepchnął szklanę z marchwianym płynem (z tym samym efektem). Stali przy sobie – mężczyzna przy mężczyźnie, a na stole plama przy płamie rozpląwały się coraz szerzej, aż połączyły się w jedną marchewkową kałużę. Płamy oczywiście milczały, natomiast panowie zagrzewali się do boju:

– Po pierwsze: dowiemy się, kto to jest! – zdecydował krzywonosy.

– Po drugie: damy mu taką nauczkę, że popamięta! – Pan Zenek naprężył resztki mięśni pod zieloną marynarką.

– Poobrywa mu się uszy!

– Rozkwasi się go jak kiszoną kapustę w beczce!

– Powie mu się też ze dwa słowa, co się o nim myśli!

– Zażąda się pozostawienia sierotki w spokoju!

– Gdyby się nie chciał zgodzić, zagrozi się sądem!

– Wyśle się go na galery, wówczas sierotka zapomni o nim. Z galer tak szybko się nie wraca...

Pierwszy ochłonął krzywonosy: – Zeniu, przecież teraz nie ma już galer... Wystarczy jak go zamkną w więzieniu.

– Niech będzie więzienie, ale poniżej dożywocia się nie zgodzę! – pan Zenek tak się rozjuszył w chęci zemsty, że najpierw dostał nerwowej czkawki, co mu już niejednokrotnie się zdarzało, potem zaczęło nim trząść, jak przy ataku żółtej febry, i tak się tym wszystkim zdenerwował i przejął, że nie był chwilowo zdolny nie tylko do wyjścia naprzeciw niebezpieczeństwu, ale nawet z domu, chociaż krzywonosy go usilnie do tego namawiał:

– Skoro sierotka wyszła, to ani chybi po to, żeby spotkać tego drania! Mamy więc szansę natknąć się na nich, bo chyba odprowadzi ją do domu? – Widząc jednak oplakany stan pana Zenka (co mogło doprowadzić sierotkę do przedwczesnej żałoby po stryjkę), postanowił przede wszystkim zająć się przyjacielem-krewniakiem. – Wiesz co, Zeniu? Tego draba możemy upolować innym razem. Sierotka na pewno będzie się z nim częściej spotykała. Ty się teraz połóż. Ja ci naparzę rumianku, to łagodzi wapory. Okropnie się wszystkim przejąłeś... Ja nie mówię, że mnie to nic nie obchodzi... Chociaż nie jestem takim bliskim krewnym sierotki, jak ty, to przecież kocham ją nie mniej od ciebie. Ale we wszystkim należy zachować rozum i umiar. Stracisz życie i dopiero wtedy sierotka będzie prawdziwą sierotką! Kto ją wtedy obroni przed tym draniem?! Ja mam astmę i sam nie dam rady takiemu dryblasowi.

– Skąd wiesz, że on jest dryblasem? – zapytał podejrzliwie pan Zenek. Pytanie zostało zadane słabym głosem. Pan Zenek cały był osłabiony po niedawnym wybuchu. Stał na zgiętych nogach, przytrzymując się poręczy krzesła. Przekrzywił tylko głowę w kierunku krzywonosego, kiedy zadawał pytanie. W tym skrzywieniu głowa zbyt ciężka, więc opuścił ją na ramię i pozostał tak chwilę w pozie bardzo cierpiącego człowieka.

Franio znowu potarł pięścią krzywy nos. Bezradnie rozejrzał się po mieszkaniu, potem przyskoczył do łóżka i rozgrzebał je, chcąc przygotować pościel do ułożenia w niej przyjaciela, wreszcie ujął półomdlałego pana Zenka pod ramiona i próbował zawlec do łóżka. Wówczas zgrzytnął klucz w zamku i do mieszkania weszła sierotka. Za nią stał średniego wzrostu młody brunet.

– Stryju Franiu! Co się stało stryjkowi Zeniowi? – krzyknęła przerażona sierotka i podbiegła do pana Zenka. Nie czekając na odpowiedź pochyliła się i próbowała ująć za bezwładne nogi, aby pomóc krzywonosemu w transporcie chorego na rozesłane łóżko.

Nigdy nie wiadomo, co człowieka przywraca życiu: czasem nagle szczęście, a czasem wściekłość, tak jak to się stało tym razem; pan Zenek nagle nabralł zupełnie nowych sił, wyrwał się z objęć Frania i sierotki i wyprężony stanął w bojowej postawie naprzeciw młodego mężczyzny.

– Kto to jest??! – raczej zaryczał niż zapytał, wskazując palcem na młodzieńca.

– Teraz nie będziemy o tym mówić – powiedziała szybko sierotka. – Jesteś chory...

– Może właśnie jestem chory z powodu tegoż człowieka! – krzyczał dalej pan Zenek.

Krzywonosy z pełnym podziwu uznaniem patrzył na przyjaciela: „Ten się potrafi znaleźć! Nawet będąc na progu śmierci! – pomyślał z pewną zazdrością. – Nie wiem, czy ja bym, w agonii, był w stanie wydobyć ze siebie taką moc głosu? No, ale przy mojej astmie...”

– Stryjku, Czarek jest subiektem z warzywnego. Wspominałam ci dzisiaj trochę o nim. Ale on pracuje w innej dzielnicy, więc nie musisz się obawiać konkurencji. Dzisiaj próbowałam z tobą o tym mówić, ale ty właśnie musiałeś lecieć do telefonu, żeby zamówić nowy transport brukselki. Miałaś mylne przeczucie, że brukselka dobrze pójdzie...

– Mniejsza o brukselkę! – przerwał pan Zenek twardo i energicznie. – Miałem przeczucie, ale nie co do brukselki... I moje przeczucie nie zawiodło mnie! Poza moimi oczami zakochałaś się!

– Ależ stryjku! Nikt się nie kocha na oczach!

– I to w kim??! W subieckie! Z warzywnego! Ha! Skandal!

– Jak ci nie wstyd, stryjku! – sierotka zawstydzona się za pana Zenka. – Sam pracujesz w warzywach i jesteś najwspanialszym człowiekiem! Właśnie dzięki tobie zrobiłam ten wybór. Chciałam mieć męża takiego jak ty! Gdzie go miałam szukać? Tylko w sklepie z warzywami! Byłaś dla mnie przykładem, a teraz chcesz być katem! – Tu sierotka rozplakała się.

Pan Zenek zmienił się w jednej chwili. Zupełnie jakby z piołunu przemienił się w łagodny, leczniczy rumianek: – Ależ kochanie! Kto mówi, że ja ci źle życzę?... I zaraz „katem”... Ja? Dla ciebie? – próbował drżącym palcem otrzeć łzy sierotki. – Chodzi mi tylko o to, żebyś była szczęśliwa. I jeżeli ten drań! – uniósł głos – to znaczy, ten młody człowiek – głos znów nabralł aksamitnego brzmienia – nie ożeni się z tobą i nie uczyni cię najszczęśliwszą z dziewcząt... – znów groźba zabrzmiała w głosie.

– Stryjku! Przecież my się właśnie chcemy pobrać! I po to tu dzisiaj z nim przyszedłam! Ale żeby Czarek nie wiem jak się upierał, nie wyjdę za niego za mąż bez twojego zezwolenia i błogosławieństwa... No i oczywiście bez błogosławieństwa stryjka Frania – dodała.

– Franiu, ja nie wiem jak ty? Ale ja w żadnym wypadku nie stanę na drodze szczęścia dwojga młodych! – zwrócił się pan Zenek do krzywonosiego.

– Zeniu, jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że należy skoczyć po szampana! Jak się to mówi: „baba z wozu, koniom lżej!” Ta mała tak nam zawróciła w głowach, że nie mieliśmy czasu pomyśleć o sobie. Trzeba i nam rozważyć sprawę żeniaczki. Może kiedyś jeszcze spotkam jakąś z krzywym nosem?... Do tej pory nie spotkałem, ale świat jest duży i życie dzisiaj się nie kończy! – Krzywonosy śmiał się, a łzy cienkim strumykiem spływały między bruzdami jego twarzy, omijając krzywiznę nosa.

Pan Zenek nie był zupełnie pewien, czy są to łzy radości... – Siadaj, Franiu – powiedział bardzo czule. – Szampana wypijemy na weselu. Dzisiaj wystarczy nam sok z marchwi.

W ciszy czerwcowego wieczoru młodzi sącząc sok z marchwi rozmawiali ze sobą szeptem zakochanych. Pan Zenek i krzywonosy również szeptali, o tym, jak to po ślubie sierotki zabiorą się do „podboju świata!” Będą oczywiście odwiedzali sierotkę, niezbyt często, żeby się nie narzucać, a resztę czasu wykorzystają dla siebie...

– Słuchaj, Franiu! Ty nie dasz wiary, jakie cudne kobiety, w kwiecie wieku, odwiedzają mój sklep! Zamień sobie godziny dyżurów w portierni na noce, wtedy będziesz mógł za dnia wpadać do mnie! Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś u mnie trafić na kobietkę, która ci się spodoba... Sześćdziesiąt pięć lat to dla mężczyzny żaden wiek!... Przyznam ci się, że ja już dla siebie mam na oku pewną szatynkę... Niczego sobie i zawsze się do mnie przymilnie uśmiecha. Nie miałem czasu zająć się nią, bo wiesz, jak to jest... Dziecko w domu... Ale teraz?... Jak tylko przyjdzie do sklepu w najbliższym czasie, nawiążę rozmowę... Niby to o jarzynach... A potem przejdzie się do konkretów. Jeżeli tylko nie jest mężatką i ma łagodny charakter, to ja nie widzę żadnych przeszkód...

W ten oto prosty sposób pan Zenek wstąpił znów na udeptaną drogę swoich miłosnych tragedii. Miały się one dopiero zakończyć za kilka lat, z chwilą zejścia ze świata pana Zenka. Ostatnie tchnienie oddał porażony pięknem pewnej platynowej blondyny. Zdołał tylko pomyśleć: „taką piękność ujrzeć i umrzeć natychmiast!”, i rzeczywiście natychmiast umarł.

Lekarze orzekli, że umarł na udar serca. Krzywonośy, który wówczas był w sklepie i dostrzegł przepelnione szaleństwem miłości spojrzenie pana Zenka, wiedział, że jego przyjaciel nie umarł na żaden udar serca, lecz na „platynową blondynkę”.

Mimo wszystko pan Zenek ciągle żył w opowieściach Frania, sierotki oraz panny Władzi i panny Jadzi, które zostały kierowniczkami sklepu warzywnego; obydwie jednocześnie, bez żadnego pomocniczego personelu, wykonywały kierowniczą funkcję. O panu Zenku wspominały zwyczajem dawnych lat, tylko że już nie mówiły „nasz stary”, ale „nasz poprzednik był zdrowo szurnięty! A jak on wariował za babami! Wszystko przez te filmy i przez książki! Co człowiek weźmie do ręki, to o miłości... Oczywiście oprócz książek kucharskich i ogrodniczych. Mógł jeszcze trochę pożyć, gdyby nie baby... Ale wtedy my nie zostałybyśmy kierowniczkami. A zresztą... Wcześniej czy później wszystko się musi skończyć”.

Koniec